

ADAM BAHDAJ

TAŃCZĄCY SŁOŃ

KTO NA OCHOTNIKA?

Zulejka stanęła na pomoście przystani, oparła się plecami o poręcz, spojrzała wyzywająco na siedzących na ławce.

- Kto z was popłynie na wyspę i zdobędzie totem tych tchórzliwych kojotów?

- Zulejka, zlituj się - odezwał się cieniutkim sopranem najmniejszy ze szczepu Arapachów, Kieł Kuguara.

- Jak ty się odzywasz do swego wodza, Gradowej Chmury! - skarciła go dziewczyna.

- Bo... bo... - trąc zarumieniony policzek wydusił z trudem chłopiec.

- Co bo? Nie ma żadnego „bo” ani „ale”. Ktoś z nas musi popłynąć na wyspę i wykonać to zadanie.

Wysoki, szczupły chłopiec z kędziorami opadającymi na czoło podniósł rękę.

- Brawo! - zawołała uradowana. - Znalazł się jeden odważny.

- Nie o to chodzi... - zająknął się.

- A o co, Milcząca Skała?

- Nie widzisz, że deszcz pada i jest cholernie zimno? Dziękuję za taką zabawę.

Gradowa Chmura tak na niego spojrzała, jak gdyby za chwilę z jej oczu miały trysnąć błyskawice.

- To nie zabawa, a jeśli tak sądzisz, możesz odejść na pustynną prerię i tam zdechnąć z głodu, a potem stać się żerem sępów.

Milcząca Skała nie przejął się zbyt groźbą wodza.

- Nie wygłupiaj się, Zulejka, bo nikt w taką pogodę nie popłynie ci na wyspę. Nasza zabawa dobra jest... Chciał powiedzieć, że jest dobra na słoneczną pogodę, lecz Gradowa Chmura przerwała

mu:

- Milcząca Skąło - powiedziała z ironią - do tej pory myślałam, że jesteś najodważniejszym wojownikiem naszego szczepu. Lecz teraz...

- Teraz chodźmy do „Goplany” na gofry - wpadł w słowo rudawy chłopiec o zielonych kocich oczach.

Za ten pomysł chłopcy nagrodzili go burzliwą owacją, a kiedy ucichli, spojrzeli w stronę wodza. Gradowa Chmura, uniósłszy hardo głowę, obdarzyła ich wzgardliwym uśmiechem.

- Widzę, że to wy, a nie Apacze, jesteście bojaźliwymi kojotami. Gardzę wami. Nie jesteście godni zawiązać sznurowadła u mego mokasyna. Strach was obleciał. - Uniosła wysoko rękę i pełnym powagi głosem zakończyła: - A teraz słuchajcie: wasz wódz pokaże wam, jak należy postępować! - To powiedziawszy, zbiegła truchtem po schodkach na plażę. Potem zrzuciła z siebie wierzchnie odzienie - tak że została tylko w kostiumie kąpielowym - i weszła do wody, a dotarłszy do głębiny, rzuciła się w toń.

Chłopcy stanęli przy poręczy. Miny mieli nietęgie. Długo milczeli we wstydlwym zakłopotaniu. Zulejka tymczasem, rozgarniając ramionami wodę, skierowała się ku wyspie.

- Ale dała nam po nosie - powiedział w zamyśleniu Milcząca Skąła, w metryce Bartek Dziwisz.

TOTEM WODZA APACZÓW

Zulejka była już blisko wyspy, zwanej przez naszych Indian Wyspą Rybitwy, gdyż na jej brzegu gnieździło się wiele tych ptaków. Spojrzała przed siebie. Do brzegu miała jeszcze około stu metrów. Zmieniła więc kierunek, by nie dotrzeć do brzegu w miejscu, gdzie Apacze zostawili kajaki. Przyspieszyła. Wkrótce znalazła się wśród przybrzeżnych trzcin. Drobnny deszcz ciał z ukosa, wysokie sitowie gięło się pod uderzeniami wiatru, a stare olchy rozmawiały z jeziorem szelestem listowia.

Gdy stanęła, zapadła się po kolana w mule. Z trudem przedarła się przez gęste zarośla, a gdy wyczuła pod stopami twardy grunt, wybiegła z wody. Płynąc do wyspy rozgrzała się, lecz teraz, gdy krople deszczu cięły ją tysiącem lodowatych szpilek, poczuła chłód. Wzdrygnęła się. Wnet jednak zapomniała o wszystkim, a jej myśli zajęło jedno jedyne pytanie: gdzie znajduje się totem wrogiego szczepu Apaczów?

Wspięła się na piaszczystą skarpe. Kryjąc się za pękatymi pniami, zdążyła ostrożnie ku środkowi wyspy, gdzie zwykle rozbijali namioty. Przeprowa była ciężka. Zulejka z trudem

przedzierała się przez las podszyty kolczastą ostrężyną i gęstymi kępami paproci. Kolce raniły jej nogi, ręce i ramiona, a w mokrych włosach miała pełno pajęczyny i igieł sosnowych. Nie zważając na to, z uporem parła ku polanie. Nagle zatrzymała się. W prześwicie między omszałymi pniami ujrzała wielki totem. Była to dwumetrowej długości deska powycinana i pomalowana w nieregularny deseń przedstawiający głowy wilka, sępa i jelenia. Arcydzieło to wyszło spod dłuta i pędzla Benka Downara - organizatora i zarazem wodza szczepu Apaczów.

Widok wspaniałego totemu olśnił ją, a potem zachęcił do działania. Ukryła się za potężnym pniem sosny. W skupieniu śledziła roztaczający się przed nią teren. Do niedawna cała wyspa należała do jej szczepu, lecz dwa dni temu Apacze podstępem zabrali ją pod swe panowanie. Jedynym sposobem zmycia hańby było wykradzenie totemu.

Nasłuchiwała chwilę. Docierał do niej monotony plusk deszczu i płaczący głos szybujących nad wyspą rybitw. Polana była pusta, tylko na jej środku między zbudowanymi z gałęzi tipi tkwił dumnie barwny i tajemniczy totem, magiczny symbol szczepu.

Apaczów nie było widać. Zulejka zatarła z radości dłonie. Teraz albo nigdy - pomyślała i jęła się czołgać. Gdy dotarła do skraju polany, jeszcze raz oceniła sytuację. Dziwiło ją, że wojownicy Apaczów zostawili totem bez straży. Widocznie lekceważyli swych wrogów. - Będziecie się mieli z pyszna - szeptała - kiedy wrócicie do obozu i zastaniecie zamiast swego totemu figę z makiem.

Zbliżała się już do totemu, gdy nagle usłyszała bojowy okrzyk, a za chwilę ujrzała wybiegającego z szałasów Apacza. Zawahała się - uciekać czy stoczyć z nim walkę. Wnet jednak honor wodza kazał jej się bronić, zwłaszcza że Apacz, mimo pomalowanej czerwona szminką twarzy i wspaniałego pióropusza z gęsich piór, nie przedstawiał się okazale: był niski, chuderlawy i nie przejawiał zbyt chęci walki, tylko krzyczał wniebogłosy, jakby go przypalali na wolnym ogniu. Dla dodania sobie odwagi wywijał w powietrzu toporkiem.

Zula podniosła z ziemi grubą gałąź. Odparowała mizerne ciosy wroga, a gdy zyskała nad nim przewagę, jednym skokiem znalazła się przy totemie. Wyrwawszy go z ziemi, biegiem wycofała się do lasu. Za sobą usłyszała wołanie:

- Alarm! Alarm! Wojownicy, do broni!

Roześmiała się. Głos wołającego o pomoc Apacza brzmiał jak kwik zarzynanego prosiaka. Po chwili jednak usłyszała z boku nawoływanie. Zrozumiała, że wnet ruszy za nią pościg. Chciała przyspieszyć, lecz nasiąknięta wodą deska ciążyła i utrudniała jej ucieczkę. Upuściła ją na ziemię i wlokła za sobą przez zasieki z kolczastych jeżyn. Po stu metrach tej szarpaniny była tak wycieńczona, że zaplątała się w wiotkie pręty. Upadła.

Zanim się podniosła, usłyszała wokół siebie bojowe okrzyki wrogów. Rzuciła więc deskę, a sama starała się przedrzeć do brzegu. Dysząc ciężko, parła do przodu, lecz czuła, że słabnie, a wokół siebie coraz wyraźniej słyszała okrzyki Apaczów. Wreszcie gdy była już blisko skarpy, między pniami ujrzała czerwone twarze i pióropusze. Zawróciła. Po kilku krokach dwóch wojowników złapało ją za ramiona i obaliło na ziemię.

- Związać ją - usłyszała za sobą znajomy głos wodza Apaczów.

- Zawiązać jej oczy! - wołał ktoś z boku.

- Gdzie nasz totem?

- Nie cackać się z wrogiem! - Wokół niej zbierało się coraz więcej barwnych pióropuszy. Ci dwaj, którzy powalili Gradową Chmurę, podnieśli ją z ziemi, a gdy otworzyła oczy, ujrzała przed sobą wodza Apaczów - Szarego Niedźwiedzia, w cywilu Benka Downara. Na tle potężnych pni i spokojnej tafli jeziora wyglądał groźnie. Miał na sobie kaftan i spodnie z jeleniej skóry, mokasyny z frędzlami, pas wybijany mosiężnymi cekinami, za pasem piękny tomahawk, a w dłoni dzierżył myśliwską strzelbę. Wszystko było w pierwszym gatunku i super, a biedną Zulę sparaliżowałyby ze strachu, gdyby nie wiedziała, że ten strój przysłał Benkowi z Włoch jego stryj.

Szary Niedźwiedź zmarszczył groźnie brwi.

- Gdzie nasz totem? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

Zulejka wyprężyła się, zadarła głowę i bez strachu odparła:

- Na twoim miejscu, Szary Niedźwiedziu, spaliłabym się ze wstydu. Przegraliście, bo mamy wasz totem. Teraz Wielki Duch Puszczy przestanie opiekować się wami. Wyginiecie jak stado parszywych królików

- Milcz! - zachnął się wódz Apaczów. - Jeżeli nie powiesz, gdzie schowałeś totem naszego szczepu, będziemy cię przypiekać na wolnym ogniu.

Dziewczyna zaśmiała się kpiąco.

- Teraz możecie drzeć ze mnie pasy, a nie powiem. Wnet przyplyną tu moi wojownicy i zatrutymi strzałami zrobią z was sito.

Waleczny Niedźwiedź nie zląkł się jednak tej groźby. Skinął na wojowników, a gdy tamci zbliżyli się do niej, rozkazał:

- Związać ją i zaprowadzić do obozu.

KTO CIĘ TAK URZĄDZIŁ, DZIEWCZYNO?

Dygotała z zimna, szczełakała zębami. Cienka linka namiotowa, którą przywiązali ją do pnia sosny, wrzynała się boleśnie w ciało, a knebel ze starego ręcznika, wepchnięty głęboko w usta,

utrudniał jej oddychanie. Jedyne myśli, że mimo poszukiwań nie znaleźli totemu, kazała jej z godnością znosić tortury.

- Poczekajcie, tchórzliwe gnojki - myślała. - Wnet przy płyną tu chryżymi kanoe moi dzielni wojownicy. Uwolnią mnie, a potem... nie chciałabym być w waszej skórze. Ja, wódz Arapachów, potrafię zemścić się, a zemsta moja będzie straszna.

Z zalem myślała, że Apacze już dawno odpłynęli kajakami, siedzą przy stołach i jedzą obiad, a ona przywiązana do pnia marznie haniebnie.

- Żebyście się udławili, żeby wam podali na obiad trujące grzyby - szeptała. Wnet jednak myśl o gorącej zupie i wołowej pieczeni nadwątlila jej hardość. Zapachniało jej świeżymi goframi, a zapach ten tak ją roztkliwił, że z zielonkawych oczu wódza Arapachów na policzki potoczyły się łzy. Nie mogę nikomu ufać - ciągnęła myśl - ani wierzyć. Zawiedli nawet najdzielniejsi. - Nie! - powiedziała głośno. Nie wolno mi okazać słabości. Ja, Gradowa Chmura, wódz walecznych Arapachów... - Nie dokończyła zdania, gdyż z oddali usłyszała trzask łamanych gałęzi, a po chwili na ścieżce wiodącej na polanę ujrzała posuwającego się ostrożnie mężczyznę. W pierwszej chwili chciała wołać o pomoc, lecz zanim wydała z zakneblowanych ust głuchy jęk, zmiarkowała, że lepiej wpierw przekonać się, czego ten osobnik szuka na wyspie. Może wysłali go Apacze... a może...

Przerwała tok myśli, gdyż tajemniczy osobnik zaczął zachowywać się nieco dziwnie jak na dorosłego mężczyznę. Kiedy dotarł do szałasów, rozejrzał się, a po chwili zbliżył się do najgrubszego pnia, obszedł go dokoła, by wreszcie odmierzyć od niego pięć długich kroków. Słyszała dokładnie, jak liczył do pięciu, a kiedy zatrzymał się, ze zwisającej z ramion torby wyjął saperkę - łopatkę z krótkim trzonkiem - i jął kopać. Najpierw zdjął ostrożnie warstwę darni, potem wykopał niewielki dół i, rozejrzawszy się jeszcze raz, włożył coś do tego dołu.

Zulejka aż westchnęła z wrażenia. Ze wzrastającym napięciem śledziła każdy jego ruch. W jej skołatanej poprzednimi przeżyciami głowie rodziły się najrozmaitsze domysły i pytania: Kto to? Dlaczego kopie dół? Co w nim schowa? Może to jakiś złodziej, zakopujący łup? A może?...

Na złodzieja jednak nie wyglądał. Ubrany bardziej niż starannie, miał na sobie gumową, sztormową kurtkę, nowiutkie welwetowe dżinsy, sportowe buty - adidasy, granatową czapkę-amerykankę, a w zębach trzymał wygasłą fajkę.

Jeżeli to złodziej - pomyślała - to na pewno o międzynarodowej renomie, taki, o którym pisują w angielskich czy amerykańskich powieściach detektywistycznych.

Do tej pory miała możliwość obserwować go z tyłu i z boku, lecz gdy po zakończeniu czynności obrócił się do niej przodem, zrozumiała, że to nie może być zwykły przestępca. Jego twarz miała szlachetne rysy. Był wysoki, dobrze zbudowany, ruchy miał opanowane jak dżentelmen, a jego oblicze, otoczone siwymi kędziorami włosów, pasowało raczej do wytwornego Anglika z telewizyjnego serialu niż do złoczyńcy.

To wszystko było tak niecodzienne i zaskakujące, że Zulejka zapomniała o swym rozpaczliwym położeniu, a w jej głowie zagościła nowa myśl: trzeba go śledzić!

Ba, ale jak? W mgnieniu oka rozważyła wszelkie możliwości i postanowiła przeczekać. Niech sobie odejdzie, a wtedy...

Wtedy właśnie nieznajomy zapalił fajkę i skierował swe kroki w jej stronę. Zulejka zdrętwiała z nagłego wrażenia. Gdyby mogła, zapadłaby się pod ziemię lub rozpułnęła w powietrzu. Niestety. Tak mocno przywiązali ją do pnia stuletniego dębu, że nie była w stanie nawet drgnąć.

Niech się dzieje, co chce. Nie ma na to rady - pomyślała

W tej samej chwili nieznajomy dżentelmen spostrzegł ją. Zdawało się, że fajka wypadnie mu z zębów, a on zamieni się ze zdumienia w słup soli, lecz nic takiego nie nastąpiło. Zatrzymał się tylko i wydal cichy okrzyk. Wnet jednak - jak na dżentelmena przystało - opanował się i schowawszy fajkę, podbiegł do niej. Zamknęła oczy, by nie widzieć, co nastąpi, lecz nie stało się nic nadzwyczajnego. Tajemniczy osobnik zmienił rolę: z podejrzanego przemienił się w wybawcę. Nie śmiała otworzyć oczu. Czują jednak, jak uwalnia ją z pęt i wyjmuje z ust zalatujący mydłem ręcznik. Ona zaś zupełnie podświadomie; odegrała rolę niewinnej ofiary - osunęła się na ziemię jak zemdlona i wydała cichutki okrzyk ulgi.

Nieznajomy zrzucił z siebie kurtkę, zdjął sweter. Starał się wciągnąć go na sine z zimna ramiona dziewczyny. Zulejka uznała, że dłużej nie może udawać zemdlonej, otworzyła więc oczy i głucho westchnęła. Złapał ją za ramiona.

- Dziecko - zawołał - kto cię tak szkaradnie urządził?

- To nic, pro... pana - wyszeptała - tylko bawiliśmy się w Indian.

- Ładna zabawa! Przecież ty możesz dostać zapalenia płuc.

- Eee... - wydeła wargi - jestem zahartowana

- Zahartowana... zahartowana... - mrucał - To nieludzkie zostawić kogoś w taki ziąb. - Jął wycierać ręcznikiem jej ramiona i ręce. Nagle odwrócił się. - Nie patrzę na ciebie - dodał. - Zdejmuj piorunem ten mokry kostium.

Ociągając się, wykonała jego rozkaz.

- A teraz wdziejaj mój sweter i kurtkę - dyrygował.

- To pan teraz zmoknie.

- O mnie się nie martw. Musisz jak najszybciej wracać do domu, wziąć aspirynę i wygrzać się pod kołdrą. Gdzie mieszkasz?

- My z tatą jesteśmy na kempingu.

- W namiocie?

- Nie, w przyczepie.

- Całe szczęście... W namiocie zapalenie płuc murowane. Masz ciepłe okrycie?

- Mamy śpiwory.

- To jeszcze lepiej. - Zbliżył się do niej, odwrócił się i powiedział: - Złap mnie za szyję. Zaraz zaniosę cię do łodzi

TO BYŁA DZIECINNA ZABAWA

Na drugi dzień rano Zulejka rozesłała gońców z rozkazem, żeby wszyscy wojownicy zebrali się pod leśniczówką. Było to ich ulubione miejsce. Pod zakolem sosnowego lasu rozciągały się bujne łąki. Na ich skraju sterczały dwa wielkie brogi z zeszłorocznym sianem, a pod lasem rosła kępa jałowców, wśród których pleniły się złotawe łaty rozchodnika.

Przybyli wszyscy punktualnie o dziesiątej.

- Słuchajcie - zaczęła niezwykle poważnie. Chciała dokończyć, lecz nagle tak ją zawierciło w nosie, że zobaczyła świece, a potem kichnęła potężnie.

- Na zdrowie - powiedział Milcząca Skala, uśmiechając się kpiąco.

- Nie śmiej się - natarła na niego. - Gdybyś przez godzinę stał w mokrym kostiumie na lodowatym deszczu, tobyś teraz inaczej śpiewał.

- A co będzie z tym totemem Apaczów? - wyrwał się Płomienne Oko, rudawy chłopiec o zielonych oczach.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Kichnęła jeszcze głośniej. - Zawiodłam się na was. Jesteście mięczaki i patałachy.

- Nie żartuj, Zulejka - odezwał się spoza pleców Milczącej Skąły Muminek, czyli Kiel Kuguara. - Taka kława zabawa, a ty... - Zaciął się. Chwilę mrucał coś niewyraźnie, a gdy spostrzegł, że nikt go nie słucha, opuścił głowę i zawiedziony kopnął leżącą w trawie szyszkę.

- Bawcie się sami. Ja wczoraj marzłam na deszczu, a wy tymczasem wtrajaliście gofry w „Goplane”.

- Nie rozumiem cię, Zulejka - wtrącił wysoki, tyczkowaty chłopiec w okularach. Wydawało się, że on jeden traktuje poważnie zabawę w Indian, przyszedł bowiem z wymalowaną na czerwono

twarzą i w paradnym pióropuszu.

Zulejka, patrząc na niego, roześmiała się.

- Julek, zlituj się. Indianie nie nosili okularów.

- Tak, ale...

Bartek Dziwisz nie dał mu dokończyć.

- Zulejka, przedwczoraj ponieśliśmy straszliwą klęskę. Nie dość, że Apacze wypędzili nas z naszych szałasów i zdobyli wyspę...

- Człowieku - przerwała mu dziewczyna - mówię ci, że zmyłam już hańbę, bo świsnęłam im plemienny totem.

- A ja myślałem - wyrwał się Muminek - że będziemy się naparzać.

Zulejka pokiwała z politowaniem głową.

- Spójrz na siebie, Muminku, to zrozumiesz, dlaczego przegraliśmy z nimi.

- To co, nie będziemy już bawić się w Indian? - powiedział smętnym głosem okularnik.

- Możecie bawić się sami, ale ja pasuję.

- Zlituj się, Zulejka - jęknął Muminek.

Okularnik wystąpił przed chłopców z wypiętą piersią i z ognistym błyskiem w oczach.

- Wojownicy! - zawołał gromko. - Kto chce zostać w szczepie walecznych Arapachów, niech stanie przy mnie.

Zaległa cisza. Chłopcy pospuszczali głowy i utkwili wzrok w ziemi. Pierwszy odezwał się Muminek.

- Ty, bracie, jesteś za słaby.

Okularnik odął się.

- Człowieku, dźwigam w podrzucie dwadzieścia kilo.

- Nie o to mi chodzi. Nie nadajesz się na wodza

- Wodza wybierzemy później. Teraz trzeba uratować nasz szczep i zemścić się.

- Ma rację - poparł go milcząco do to pory Franek Grzyboń - bo, pomyślcie, w co się zabawimy? A po drugie - ściszył głos i spojrzał znacząco na Zulejkę - to jakoś głupio, że mamy za

wodzka dziewczynę.

- Zamknij się - zawołał z oburzeniem Muminek - sam na nią głosowałeś. Nikt cię nie zmuszał, a Zulejka była najlepszym wodzem. Pokazała to wczoraj. Ona...

- Nabawiła się kataru - dokończył kpiąco Grzyboń.

- Nie kłóćcie się. - Wtargnęła między nich. - Nie macie o co się spierać. Kto chce, niech zostanie w szczepie, ale ja już wam powiedziałam...

- Może dasz się namówić? - westchnął żałośnie Muminek.

- Teraz będziemy się starali dorównać ci... i... i... będziemy wypełniali wszystkie twoje rozkazy.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Szczerze mówiąc, to dziecinna zabawa. Znudziło mnie przebieranie się i udawanie Indian. Ja... - Chciała powiedzieć, że przedzierzgnie się w prawdziwego detektywa i zacznie śledzić osobnika, który zakopał na wyspie tajemniczy przedmiot, lecz w porę ugryzła się w język i dokończyła wesoło:

- No, co się tak na mnie gapicie? Nie macie innych, oryginalniejszych pomysłów?

- Mamy, Zulejko - wyrwał się Muminek. - Będziemy się bawić w gangsterów i policjantów. Ja będę Kojakiem.

- Bravo! - zażartowała. - Panie inspektorze, donoszę, że u gospodarza Ciapuły kura zniosła sześcienne jajko.

Wszyscy roześmiali się, tylko Muminek pokraśniał aż po opadające mu na czoło złotawe włosy.

- Z tobą nie ma zabawy - mruknął i ze łzami w oczach odszedł wolnym krokiem, a kiedy był już przy leśniczówce, odwrócił się i zawołał gniewnie: - Jeszcze mnie poprosisz, żebym się z tobą bawił.

Okularnik zwiesił smętnie głowę.

- To znaczy, że mama niepotrzebnie zrobiła mi pióropusz. - Zerwał go z głowy i rzucił o ziemię. - Teraz nie nabierzecie mnie na żadną zabawę.

A Franek Grzyboń dodał:

- A mnie możecie pocałować w nos. Idę zagrać z chłopakami w piłkę.

ZAŁOŻYMY SPÓŁKĘ DETEKTYWÓW

Stali jeszcze chwilę pod wielkim stogiem zeszłorocznej słomy. Miny mieli nietęgę, jakby czegoś im zabrakło, coś kończyło się nieodwracalnie. Pierwsza ocknęła się z zadumy Zulejka. Skinęła głową na Bartka Dziwisza.

- Chodź, Bartek, mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Byli wojownicy walecznego szczepu Arapachów spojrzeli na chłopca z nie ukrywaną zawiścią.

- No tak, jego wybrała, bo jego fater jest ufologiem - powiedział okularnik.

- Pojadą na latającym talerzu w krainę baśni - zaśmiał się zielonooki Zbyszek.

Bartek ociągał się chwilę. Głupio mu było odchodzić od kolegów, lecz gdy spostrzegł, że Zulejka ruszyła szybkim krokiem w stronę lasu, wzruszył ramionami, jak gdyby chciał w ten sposób otrząsnąć się z wszelkich wątpliwości i biegiem ruszył za dziewczyną. Odprowadzały go śmiechy i drwiące okrzyki chłopców.

- To jakoś głupio wypadło - powiedział, gdy ją doścignął.

Zulejka uśmiechnęła się tajemniczo.

- Gdybyś wiedział, dlaczego ciebie zawołałam, tobyś tak nie mówił.

- O co chodzi, Zulejka, bo naprawdę byliśmy dobrą i zgraną paczką.

- Jeżeli chcesz, to możesz jeszcze do nich wrócić.

- No nie, ale nie lubię takich sytuacji.

Zulejka zatrzymała się gwałtownie.

- Ciebie wybrałam, bo ty jesteś najbardziej rozgarnięty z całej paczki.

- Czy ja wiem - mruknął pod nosem, a potem rzucił stanowczo: - Powiedz wreszcie, co masz do powiedzenia.

Weszli w brzozowy las. Białe pnie rozjaśniały mrok gęstwiny. Poprzez listowie na bujną trawę przenikał łagodny blask słońca.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy.

- Powiedz, czy potrafisz dotrzymać tajemnicy?

- No jasne! Tylko muszę wiedzieć, o co chodzi.

- Możesz przysiąc, że nikomu o tym nie powiesz?

- Na co mam przysiąc?

- Na... na ziemię, na której stoimy. - Schyliła się, z kretowiska podniosła garść wilgotnej ziemi i wcisnęła mu w dłoń. - Przysięgasz?

Chłopiec chwilę badał niezwykle uroczystą w tym momencie twarz dziewczyny.

- Przysięgam - wyszeptał, ściskając ziemię w garści.

Dziewczyna uśmiechnęła się łagodnie, a potem przymrużyła oczy.

- Pamiętaj, jeżeli złamiesz przysięgę, to... to spotka cię wielkie nieszczęście.

Chłopiec zachnął się.

- Słuchaj, po co ta cała ceremonia?

- Bo zaczynamy teraz niezwykle ważne zadanie. - Przechyliła głowę, jakby chciała się z nim droczyć.

- To mów. Na co czekasz?

- Od dziś zakładamy spółkę detektywów

Chłopiec rozchylił lekko wargi i spojrzał z niedowierzaniem

- Myślałem, że może założymy gazetkę ścienną albo kółko miłośników przyrody, a ty znowu proponujesz coś bardzo dziecinnego.

- Wcale nie, to bardzo poważne.

- Mów wreszcie, bo tracę cierpliwość

- Wczoraj, gdy stałam przywiązana do pnia, zobaczyłam... - Jeszcze raz spojrzała mu w oczy, a potem opowiedziała zdarzenie z tajemniczym dżentelmenem z fajką.

Bartek słuchał z rosnącym zainteresowaniem, a gdy Zulejka skończyła, rzekł z naciskiem:

- To naprawdę fan-ta-stycz-na sprawa. Kto to może być.

- Ba, żeby to ja wiedziała... a właściwie, gdybyśmy wiedzieli, z kim mamy do czynienia, cała sprawa byłaby zupełnie banalna

- W takim razie musimy się dowiedzieć.

- No, wreszcie powiedziałaś coś mądrego

- Możesz zrekonstruować jego rysopis?

- Oczywiście... przecież już ci mówiłam, że wygląda trochę na aferzystę wysokiej klasy, a trochę na angielskiego dżentelmena

- To niczego jeszcze nie dowodzi. Przede wszystkim musimy zaraz przepłynąć na wyspę, by odkopać skarb. Wiesz, gdzie go zakopał?

- Mówiłam ci, pięć kroków od wielkiej sosny, która stoi na skraju polany.

- W porządku. A czy z rozmowy z nim nie wywnioskowałaś czegoś ciekawego?

- Tak. Stwierdziłam, że jest bardzo uprzejmy i do tego pachnie wodą lawendową Yardleya.

- Skąd wiesz, że właśnie Yardleya?

- Bo mój kochany staruszek, gdy wychodzi z mamą na przyjęcie, używa właśnie tej wody. Zresztą, szanujący się mężczyzna...

- Nie używa innej - dokończył za nią Bartek. - Ale woda kolońska to jeszcze nie wszystko. Powiedz, jak to było, kiedy cię zatańczył do kempingu.

Dziewczyna przymknęła z lubością oczy.

- Wspaniale. Mówię ci, teraz już nie spotyka się takich uprzejmych panów. W łodzi podesłał mi pod nogi pled i owinał stopy szalikiem. A zwracał się do mnie „moja dziewczuszko”. I głos ma taki niski, a jednocześnie dźwięczny...

- Nie o to chodzi - przerwał jej. - Może miał przy sobie coś, co mogłoby pomóc określić jego zawód lub zamiłowania.

- Miał tylko fajkę, której nie wypuszczał z zębów. Raz tylko mu wypadła, gdy ujrzał mnie przywiązaną do drzewa.

- Jesteś pewna, że on nie spostrzegł ciebie, kiedy zakopywał ten przedmiot?

- Tak, bo gdyby mnie wcześniej zobaczył, nie zbaraniałby na mój widok.

- A może podejrzewał, że go widziałaś.

- Wykluczone. Zrozum, gdyby wiedział, że znam jego tajemnicę, nie zająłby się mną tak troskliwie.

- A co twój fater powiedział, gdy cię przyniósł do przyczepy?

- Ojczulek był zachwycony. Kiedy mnie już położyli i przykryli dwoma śpiworami, ucięli sobie krótką pogawędkę o tenisie, pogodzie i stanie zaopatrzenia w żywność. A potem, gdy on odszedł, mój staruszek powiedział, że już dawno nie rozmawiał z tak miłym facetem.

Bartek długo tarł z przejściem policzek i przeczesywał palcami włosy

- To naprawdę fe-no-me-nał-na sprawa. I nie wiem, na co czekamy. Walmy na wyspę i wykopmy to, co on zakopał. Jestem pewna, że znajdziesz to miejsce?

Zulejka uśmiechnęła się po swojemu ni to zuchwale, ni tajemniczo.

- Jak dwa razy dwa jest cztery.

CO BY BYŁO, GDYBY?...

Zatrzymali się dopiero na przystani.

Dzień był pogodny, pełen złotego światła. W gładkiej tafli jeziora odbijały się obłoki i drzewa. W sitowiu śpiewały trzciniaki i dwa perkozy ciągnęły za sobą ślad.

- Płyniemy, czy zabieramy kajak? - zapytał Bartek.

Zulejka rozejrzała się. Przy brzegu stało wiele kajaków. Wyciągnięte na piasek wyglądały jak wyrzucone z wody wielkie ryby. Przy pomoście kołysały się łodzie żaglowe i rybackie.

- Jest! - zawołała po chwili Zulejka.

- Co?

- Jest łódka, którą wczoraj przewiózł mnie ten facet.

- Skąd wiesz, że ta sama?

- Bo na burcie ma namalowane dwie mewy.

Chłopiec pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Ty zawsze masz takie pomyłone pomysły. A jak facet przyjdzie na przystań i zobaczy?

- To będzie dobra heca. Wyobrażasz sobie, jaką zrobi minę?

- Wyobrażam sobie, jakie dostaniesz cięgi.
- Śmieję się z tego. To przecież dżentelmen. A dżentelmen nie bije.
- Skąd wiesz, że nie bije?

Dziewczyna roześmiała się. W jej zielonych oczach pojawiły się żywe ogniki. Bawiła ją i podniecała tak niecodzienna sytuacja. Nie odparłszy ani słowa, zaczęła odwiązywać łódź. Bartek przestępował z nogi na nogę. Był poważnie zakłopotany.

- Nie widzisz, że w łodzi nie ma wiosła?

- Widzę, ale to nic strasznego. - Przyciągnęła dziób łodzi do pomostu. Wiosła się znajdują. - Rozejrzała się bacznie dokoła i nagle, zeskoczywszy na piasek, podniosła dwie deszczułki leżące obok naprawianego kajaka. Uniosła je wysoko.

- Mamy już wiosła!

- Te deszczułki mogą być potrzebne - zawołał Bartek z rozkołysanej łodzi.

- Mogą, ale nie muszą... A zresztą, przywieziemy je z powrotem - Podkasła dzinsy. Drobnymi kroczkami dotarła przez wodę do łodzi.

Chłopiec podał jej rękę.

- Zulejka, zlituj się. Możemy mieć dużo nieprzyjemności

Dziewczyna zwinnie skoczyła do łodzi. Usiadłszy, pokiwała z politowaniem głową.

- Podobno chcesz być detektywem.

- Chcę, ale nie lubię draki.

- Biorę to na siebie.

Były wódz szczepu Arapachów, w obecnym wcieleniu - inspektor policji śledczej, zaczął wolno wiosłować deseczką.

- Zdaje mi się, że nie nadajesz się na mego pomocnika, sierżancie.

- No bo... - Chciał powiedzieć, że prawdziwi policjanci nie zabierają cudzych łodzi, lecz Zulejka go uprzedziła.

- Bo się boisz

- Wcale nie.

- Tylko?

- Tylko... w ogóle nie lubię takich sytuacji

Dziewczyna przestała wiosłować.

- Sierzancie, zapominasz, że to jest wprost genialne posunięcie. Wyobraź sobie... Jesteśmy już na wyspie, a na przystań przychodzi dżentelmen z fajką.

- I co?

- No właśnie... Nie kapujesz, że możemy bez obawy wykopać skarb, bo on nie będzie miał łodzi do przeprawy na wyspę.

- No dobrze, dobrze... Niech już tak będzie. - Usiadł obok Zulejki. Łódź początkowo płynęła zygzakami, lecz gdy zgrali ruchy, poszło gładko po spokojnym jeziorze.

Kiedy dobili do brzegu, stwierdzili z ulgą, że w miejscu, w którym wczoraj leżały kajaki Apaczów, było zupełnie pusto. Spod ich nóg umykały żaby. Co chwila słychać było plusk wody, a na jej powierzchni ukazywały się świetliste kręgi. Na uschniętej, zwisającej nad wodą gałęzi ujrzeli czapkę. Na ich widok wzbiła się i poleciała wzdłuż brzegu.

- Mamy szczęście - powiedział Bartek, wyciągając łódź na piasek.

Zulejka uniosła palec do ust gestem nakazującym milczenie. Zrozumiał ją. Ukryli deseczki w sitowiu i ruszyli w głąb wyspy

Wydeptana ścieżka prowadziła wysokopiennym lasem prosto na polanę. Było tajemniczo i cicho. Szli ostrożnie, kryjąc się, co chwila za pniami i obserwując przedpole. Kiedy dotarli na skraj polany, zatrzymali się. Połowa polany tonęła w cieniu, druga iskrzyła się kroplami rosy, opalizującymi w promieniach słońca. Ruszyli wzdłuż cienistego skraju lasu, a kiedy doszli do szalaśców i stwierdzili, że nikt się w nich nie ukrywa, Zulejka odetchnęła z ulgą.

- Dziwne, że nie ma tych szczeniaków.

- Może tak jak my zrezygnowali z zabawy.

- Może... ale przypuszczałam, że będą szukać swego totemu Wyobraź sobie, jaka heca. Oni myśleli, że ukryłam totem, a ja po prostu rzuciłam go, bo nie mogłam się z nim przedrzeć przez ostrężyny.

Bartek drżał z podniecenia.

- Gdzie to drzewo? - zapytał załamującym się głosem.

Zulejka skinęła, by szedł za nią, a gdy uszli kilkanaście kroków, zatrzymała się przy pniu dębu. Z trawy podniosła zmoczoną linkę i postrzępiony kawałek ręcznika. Bez słowa pokazała go

Bartkowi. Ten spojrział z niedowierzaniem.

- To tym cię przywiązali do pnia?

- Tak, a tą brudną szmatą zakneblowali mi usta.

- Wiesz co? - Zastanawiał się chwilę. - Do tej pory przypuszczałem, że zmyśliłaś tę całą przygodę.

- Nie dziwię się, bo ja też bym nie uwierzyła. A tam - wskazała ręką - jest sosna, pod którą nasz dżentelmen zakopał swe skarby.

Jak na komendę ruszyli biegiem, a gdy dotarli do drzewa, Zula zaproponowała:

- Zagrajmy, kto zgadnie, co zakopał tajemniczy jegomość.

- Możemy zagrać - wyszeptał wystraszony Bartek. Obawiał się, że czyni coś niewłaściwego.

Dziewczyna mrugnęła łobuzersko.

- Sądzę, że to będą ukryte w pancernej kase złote dolary - powiedziała po chwili namysłu.

- Zulejka, przecież dolary są zielone.

- Eee... to banknoty, ale stare dolary były złote i srebrne. Widziałam kiedyś złotą dwudziestodolarówkę.

- Ale on nie mógł zakopać kasy pancernej, bo jest bardzo duża.

- Nie widziałeś takiej małej, podręcznej?

- Masz słuszność, widziałem.

- No, a ty?

- Ja? - Tarł z przejściem czoło. - No... myślę, że to będą kamienie szlachetne, rubiny, szmaragdy albo coś w tym rodzaju.

- O co gramy?

- O satysfakcję.

- Eee - wyduła wargi. - To nie warto zgadywać.

- To o gofry.

- Dobra, ale te droższe, z „Goplany”.

Bartek znów potarł policzek.

- Gramy, a jeszcze nie wiemy, czy znajdziemy. A jeśli to będą listy albo tajne dokumenty szpiega?

Zulejka zachłysnęła się.

- No, właśnie... Wiesz, że wcale o tym nie pomyślałam, trochę wygląda na tajnego agenta. Widziałam takich w kinie. Niby dżentelmeni, a tymczasem zbierają ważne plany wojskowe i przechowują je w niedostępnych miejscach albo oddają innym agentom, których w ogóle nie znają.

- Nawet wiem, jak nazywają takie miejsca - podjął coraz bardziej rozgorączkowany Bartek.

- No jak?

- Skrzynki kontaktowe.

- On nie zakopał skrzynki.

- A skąd wiesz?

- Tak mi się zdaje - pchnęła go lekko. - Ty, Bartek, a jeśli znajdziemy takie tajne dokumenty. To co wtedy?

- Odniesiemy do najbliższego posterunku milicji, a potem...

- Ty zawsze wybierasz najbanalniejsze rozwiązanie - przerwała mu. - A gdybyśmy tak zabawili się w agentów kontrwywiadu i nakryli całą siatkę szpiegowską?

Bartek spojrzał na nią szeroko otwartymi oczyma

- Zulejka, zlituj się, przecież tymi sprawami zajmują się specjalnie wyszkoleni, poważni ludzie.

Dziewczyna zrobiła filuterną minę.

- A co, my to może nie jesteśmy poważni? - zatarła mocno ręce. - Marzę o czymś takim i nie wiem, co bym za to dała, gdyby nam się udało rozpracować i nakryć taką szpiegowską siatkę. Wyobrażasz sobie, co by to była za sensacja. W gazetach pisaliby na pierwszych stronach: „Dwoje młodocianych amatorów rozwiązało najtrudniejszą od wojny zagadkę obcego wywiadu. Otrzymali za to złote krzyże... ba, może diamentowe, a w nagrodę polecili balonem do...”

- Co ty bredzisz? Jakim balonem, dokąd i po co?

- Bo marzę, żeby się przelecieć balonem.

- Dlaczego właśnie balonem?

- Bo to takie romantyczne i niesłychane...

- Ty - przyhamował ją Bartek - zejź lepiej na ziemię i zacznijmy nareszcie szukać.

Zulejka skinęła tylko głową. Podeszła do sosny i licząc głośno, odmierzyła pięć długich kroków w kierunku krzaka jałowca.

PIĘĆ KROKÓW OD SOSNY

Zulejka zatrzymała się w miejscu, gdzie wyraźniej widać było niewielkie wybrzuszenie i naciętą w regularne kwadraty darń

- To tu - powiedziała cicho.

Milczeli, bojąc się, by nie zakłócić tajemniczej chwili. Nad nimi w koronach drzew szeleścił sypko wiatr, gdzieś na drugim brzegu jeziora odezwała się kukulka. Jej głos niósł się czysto ponad taflą wody. A potem zrobiło się tak cicho, że słyszeli przyspieszone bicie własnych serc.

- To fe-no-me-nal-ne - odezwał się Bartek. - za pierwszym razem trafiłaś na właściwe miejsce.

Zulejka mrugnęła porozumiewawczo. Uklękawszy, zaczęła zdejmować darń. Czyniła to wolno, z ceremoniałem stosownym do ważności chwili.

Bartek nie wytrzymał napięcia. Schyliwszy się, uklękął przy niej, palcami jął rwać wilgotną ziemię. Po chwili natrafił na coś gładkiego. Jego ręce zawisły nad wygrzebanym dołkiem, lecz wnet poszły w jeszcze szybszy ruch i po chwili chłopiec z ziemi wyciągnął porcelanową figurkę. Uniósł ją wysoko, posłał Zulejce pełne zawodu spojrzenie, a gdy chciała mu wyrwać z rąk figurkę, wyszeptał:

- Eee... myślałem, że to będzie coś ciekawszego.

- Pokaż - dziewczyna wyciągnęła rękę.

Podał jej figurkę z wyrazem rozczarowania na twarzy. Była to zwykła, porcelanowa figurka przedstawiająca słonia, który stojąc na jednej tylnej nodze, z uniesionymi dwiema przednimi i wysuniętą trąbą, zamarł w tej cyrkowej pozie.

- Tańczący słoń - wyszeptwała Zulejka i jęła go obracać w rękę.

- Myślałem, że znajdziemy skarb, a tu gips z pomadą. - Podniósłszy się z klęczek, Bartek otrzepywał dzinsy z mokrych grudek ziemi.

Zulejka przechyliła filuternie głowę.

- A mnie się bardzo podoba. Tylko ciekawa jestem, co może być w środku, bo na oko...

Nie dokończyła, gdyż w tej samej chwili spoza drzew z bojowym okrzykiem wypadli Apacze. Było ich dziewięciu. Wszyscy z wymalowanymi czerwoną szminką twarzami. W pióropuszach i w pełnym uzbrojeniu. Ich wódz, Dzielny Niedźwiedź, w zręcznym wysoku wyrwał Zulejce figurkę i wyjąc przeraźliwie, odtańczył nad wykopaną dziurą bojowy taniec. Inni otoczyli poszukiwaczy skarbów ciasnym kręgiem, wzięli się za ręce i w takt okrzyków puścili się w triumfalny tan.

Nieoczekiwany atak Apaczów tuk zaskoczył świeżo upieczonych detektywów, że rozdziawiwszy usta, stali niezdolni do obrony.

Wódz Apaczów uniósł rękę, a gdy wojownicy zatrzymali się, zawołał gromko:

- Wiązać ich i przygotować ofiarny stos!

Wojownicy z dzikim wyciem, od którego można było ogłuchnąć, rzucili się na swe ofiary. Bartek jako chłopiec ambitny i rycerski zaczął z nimi walczyć, lecz wnet trzech Apaczów powaliło go na ziemię i przyduśiło kolanami.

- Benek - zawołała Zulejka do wodza - nie wygłupiaj się, bo my przestaliśmy się bawić w Indian.

Szary Niedźwiedź doskoczył do niej. Wywijając jej przed oczyma tomahawkim, krzyczał:

- Nie wyprowadzisz nas w pole, chytry wozu Mopitam

- Oddaj tę figurkę! - odkrzyknęła Zulejka

- To nasza zdobycz. Zawiesimy ją na tipi wodza jako łup wojenny, a ciebie, przebiegła squaw, jeżeli nie oddasz nam totemu, będziemy ćwiartować i żywcem przypalać.

W zielonych oczach dziewczyny ukazał się chytry błysk

- Oddam wam totem, jeżeli zwrócicie nam figurkę.

- Nie wierz jej, Szary Niedźwiedziu! - zawołał szczupły chłopiec ze wspaniałym malunkiem bizona na obnażonej chudej piersi.

Zulejka zlekceważyła go. Uniósłszy wysoko głowę, stanęła przed wodzem.

- Benek, przecież byliśmy dobrymi kolegami. Zrozum, że znudziła nam się ta zabawa i teraz nic nas nie obchodzi wasz szczerp i wasz totem. Chętnie oddam ci tę deskę, jeżeli zwrócisz mi figurkę.

- Nie daj się nabrać! - zawołał ktoś spoza pleców wodza.

- Udają, że się nie bawią w Indian, bo chcą podstępem odzyskać wyspę i szalasy.

Wódz zastanawiał się chwilę. Uniósłszy figurkę, przyglądał się jej uważnie. Po chwili zapytał:

- Skąd masz tego słonia?

- Przecież widzisz, że wykopaliśmy go z ziemi.

- A kto go tam zakopał?

- Kto?... - powtórzyła, by zyskać na czasie. Wnet jednak uśmiechnęła się filuternie. - Bawiliśmy się w poszukiwanie skarbu. Ja go tutaj zakopałam, a moi chłopcy mieli go szukać. Ten, kto by znalazł figurkę miał dostać tytuł czarownika.

Benek powiódł spojrzeniem po chłopcach, jak gdyby oczekiwał od nich rady, lecz tamci milczeli. Wódz skinął głową.

- Wierzę ci, Chmuro Gradowa, bo zawsze byłaś prawdomówna i gardziłaś kłamstwem.

- To figurka mojego taty. Jemu bardzo na niej zależy - wtrąciła.

- Dobrze - skinął głową - lecz wpierw musisz oddać nam totem, a potem jako okup fundujesz wszystkim podwójne lody.

- W porządku.

- Gdzie masz ten totem?

- Tu, blisko. Mogę wam zaraz przynieść.

Bartek wciąż jeszcze leżał na ziemi przyduszony kolanami trzech wojowników.

- A ja? Co ze mną? - zawołał błagalnie.

Wódz skinął na wojowników.

- Puśćcie go. Zostanie jako zakładnik - Spojrzawszy na Zulejkę, dodał: - A ty wal po totem, ale gazem, bo nie mamy czasu.

A MOŻE TO AGENT OBCEGO WYWIADU?

- Tym razem nam się upiekło - powiedziała Zulejka, kiedy dobiegli do łodzi. Jeszcze raz

obejrzała się, jak gdyby nie wierzyła, że tak łatwo uknęli niewoli.

Istotnie, mieli szczęście, że trafili na dobry humor Szarego Niedźwiedzia. Nie zważając na sprzeciwy wojowników, pozwolił Zulejce odszukać totem, a gdy go przyniosła, wspaniałomyślnie oddał im figurkę i kazał odejść.

Bartek wszedł po kolana w wodę. Zepchnął łódź na piasek. Dziewczyna skoczyła do łodzi. Wyciągnęli spod siedzeń dwie deszczułki. Zaczęli wiosłować.

Kiedy dotarli na środek jeziora, Bartek zatrzymał łódź.

- Może byśmy teraz zobaczyli, co jest w środku.

Zulejka spojrzała w stronę wyspy.

- Nie, bo te szczeniaki mogą nas obserwować z brzegu.

- To fakt. Mogliby zorganizować pościg.

- Przebiegli! Ukryli kajaki po drugiej stronie wyspy, żebyśmy pomyśleli, że ich tam nie ma.

- Ale musisz przyznać, że obeszl nas z nami dość łagodnie.

Bartek spojrzał w stronę przystani.

- Co będzie, jeśli ten tajemniczy facet zaczeka na nas na brzegu?

- Bałwanku, przecież nie dobijemy do przystani. Musimy wybrać miejsce osłonięte drzewami.

- Już wiem. Wylądujemy koło starego młyna. - Ujął deszczułkę w dłonie, dając w ten sposób do zrozumienia, że trzeba się spieszyć.

Zulejka ociągała się.

- Może ty masz słuszość... Może by jednak zajrzeć do środka - mówiła obracając słońca w dłoniach. Potem uniosła figurkę i jąła nią potrząsać jak grzechotką.

- Słyszysz coś? - zapytał Bartek.

- Nie. To dziwne, nic nie grzechocze. Przegrałam zakład, bo gdyby w środku były złote dolary, to po pierwsze figurka byłaby cięższa, a po drugie... - Utknęła, a potem dodała ściszym głosem: - Ty, może to naprawdę tajne dokumenty albo mikrofilmy.

- Zupełnie możliwe. Tata mi mówił, że na jednym centymetrze kwadratowym błony fotograficznej można umieścić tysiące znaków.

Szarpnęła go za ramię.

- Wiesz co? Dopłyniemy do starego młyna, a potem ukryjemy się w krzakach i rozbijemy figurkę.

Bartek zasępił się.

- Zapomnieliśmy o jednym. Jak można do takiej figurki włożyć skarb albo tajne dokumenty?

- No wiesz, oni mają rozmaite sposoby.

- Nie kapujesz, że przez wypaloną w piecu garncarskim skorupę nie można...

- To oni wcześniej włożyli, a potem dopiero wypalali

- Pomyśl tylko. Przecież papier by spłonął

- Ale złoto wytrzymuje dużą temperaturę.

- Złoto jest ciężkie i grzechocze.

- Nie ma nic prostszego jak sprawdzić.

Zulejka jeszcze raz przyjrzała się figurce.

- Spójrz. - Skinęła głową. - Widzisz tę ryse na dole, biegnącą wokół całej figurki. To pewno ślad po sklejeniu

- Zgadza się - potwierdził chłopiec. - A słoń ma utraconą na czubku trąbę.

- Strasznie jestem ciekawa, co jest w środku. Może rozbijemy.

- Tylko nie teraz - ostrzegł ją chłopiec - bo ktoś nas zobaczy. Wiesz co - rzekł po chwili - może ta figurka to znak porozumiewawczy?

- Wszystko możliwe.

- Bo kiedyś czytałem taką książkę, w której pewien przestępca chował pod schodami butelkę po dżinie i w ten sposób dawał drugiemu znać, że może śmiało wejść do mieszkania, kapujesz?

- No tak, oczywiście. Ty jednak nie jesteś taki naiwny, jak myślałam. Rozumiem teraz, dlaczego ten przebiegły dżentelmen tak beztrosko zachował się, gdy mnie zobaczył... I... - uderzyła Bartka w ramię - sierżancie, jestem pewna, że mamy do czynienia z agentem obcego wywiadu

Bartek cmoknął zniecierpliwiony.

- To nie takie pewne, bo to mógł być na przykład zakochany..

- Zakochani są roztargnieni, a ten był trzeźwy i wyrachowany. I po co miał zakopywać słońca pod sosną?

- Może w ten sposób umawiał się z kimś na randki. Ci starzy czasem są bardziej dziecinni niż dzieci.

- Coś mi tu nie pasuje. - Uśmiechnęła się, jakby do własnych myśli. - Ja, gdybym była zakochana, to nie zakopywałabym...

- To nieważne - wtrącił. - Teraz niczego nie wymyślimy. Płyniemy do młyna, a potem...

- Potem będziemy śledzili Fajczarza - dokończyła wesoło i pierwszą deseczką zagarnęła wodę.

KTO Z KOGO ROBI WARIATA?

Wokół młyna rosły strzeliste modrzewie, stare olchy i topole. Budynek tonął w głębokim cieniu. Poprzez pokryte mchem koło młyńskie ciurczyły strumienie czystej wody, a na zapadłym dachu rosły małe brzoźki. I wokół było pełno soczyste zielonych zarośli. Całość wywoływała nastrój zapomnienia i tajemniczości.

Łódź miękko osiadła na mulistym brzegu. Nasi detektywi rozejrzeli się, a gdy stwierdzili, że nie ma w pobliżu nikogo, wyskoczyli z łodzi.

Bartek przywiązał łódź do zwisającego nad wodą konara.

- Ty - powiedział szeptem - przecież musimy odstawić łódź do przystani.

- To później - odparła Zulejka. - Najpierw trzeba przekonać się, co jest w środku słonia.

- Może schowamy tu figurkę, a potem...

- Nie - przerwała mu dziewczyna. - Umieram z ciekawości. - Podała mu figurkę. - Walnij o kamień... Na co czekasz?

Bartek ociągał się, jakby mu było jej żal, lecz gdy spojrzał na Zulejkę, a z jej oczu wyczytał zdenerwowanie, uniósł słonia gwałtownie...

W tej samej chwili usłyszał za sobą głos:

- Dzień dobry, moi drodzy, jak wam się udała wycieczka moją łodzią?

Na chwilę zatrzymał uniesioną rękę, lecz gdy się obejrzał i kilka kroków za sobą ujrzał wychodzącego z zarośli mężczyznę, opuścił ją wolno. Zdało mu się że za chwilę spali się ze wstydu albo zapadnie pod ziemię, lecz na szczęście usłyszał zupełnie spokojny, ba, może nawet zadziorny

głos Zulejki:

- Dziękujemy, zupełnie, zupełnie dobrze, tylko mieliśmy żal do pana, że nie zostawił pan wiosła.

- Nie pomyślałem o tym. - W jego głosie można było wyczuć dyskretną domieszkę drwiny, lecz twarz nie zdradzała nawet zdumienia. - Przepraszam, moja dziewczuszko, nie przypuszczałem, że będziecie potrzebowali mojej łodzi. Na przyszłość, jeżeli będziecie mieli ochotę nią popłynąć, to uprzedźcie mnie.

Bartek trzymał kurczowo figurkę. Chętnie schowałby ją, lecz urzekająco uprzejmy głos człowieka z fajką zupełnie go sparaliżował. Zulejka z wyzywająco wysuniętą głową, z ledwo dostrzegalnym uśmieszkiem na wydętych wargach czekała, kiedy Fajczarz doskoczy do Bartka, wyrwie mu z dłoni figurkę i zacznie ich łącać. Była na to przygotowana. Fajczarz milczał. W jego ciemnoniebieskich oczach tlił się wyraz wesołej przekory. Dziewczyna nie wytrzymała tej próby. Chrząknęła znacząco:

- Dziękujemy - zaszczębiotała. - A przy najbliższej okazji postaramy się pana zawiadomić.

Człowiek z fajką podszedł bliżej. Bartek cofnął się przezornie. Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. Wnet jednak Fajczarz uśmiechnął się dobrodusznie.

- Co słyszeć na wyspie?

- Nic szczególnego - odparła Zulejka - poza tym, że ktoś zakopał coś w ziemi i teraz udaje...

- O czym ty mówisz, moja droga?

- O tym samym, o czym pan myśli.

- Mylisz się. - Wyjął fajkę z ust i zaczął w niej grzebać specjalnym przyrządem. - Zastanawiałem się, dlaczego przestaliście bawić się w Indian?

- Bo nam się znudziło. - Przechyliła figlarnie głowę. Teraz mamy ciekawsze zajęcie.

- Może mi zdradzisz, w co się bawicie?

- To nie zabawa, pro... pana.

- W takim razie co, jeśli można zapytać?

- Poważna sprawa. Jesteśmy detektywami - odparła z naciskiem.

- O! - udał zdziwienie. - Ciekaw jestem, kogo teraz śledzicie?

- Śledzimy pewnego podejrzanego osobnika, który wczoraj na wyspie pięć kroków od starej sosny zakopał coś, w czym było drugie coś.

Wytworny starszy pan przymrużył śmiejące się oczy i przesunął czapkę na tył głowy.

- To musi być niesłychanie pasjonujące zajęcie - powiedział ubawiony. - I co znaleźliście w tym czymś, co wykopaliście spod sosny?

- Jeszcze nie znaleźliśmy niczego, ale gdy znajdziemy to, o czym ten ktoś teraz myśli, to ten ktoś będzie się miał z pyszna.

Wytworny jegomość roześmiał się głośno.

- Mówisz jak chiński filozof, a ja, biedny, nic mogę zorientować się, o co ci chodzi.

- A pan zgrywa się jak... - chciała powiedzieć - jak chiński błazen, lecz w obawie, by się nie obraził, dokończyła: - Może pan sam nam powie, co znajduje się w tym czymś?

- Kiedy ja, moja dziewczuszko, nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. - Zapalił wygasłą fajkę i spojrzał na detektywów z dobroduszną wyrozumiałością: - A teraz bądźcie uprzejmi doprowadzić łódź do przystani, bo po południu mam zamiar troszkę powiosłować. - To powiedziawszy, odwrócił się i ciągnąc za sobą smugę tytoniowego dymu, zniknął w zaroślach.

Zulejka wyrwała osłupiałemu Bartkowi figurkę. Ruszyła biegiem za Fajczarzem. Dopadła go na ścieżce prowadzącej od młyna w pola.

- Proszę pana! Proszę pana! - zawołała dysząc ciężko.

Jegomość zatrzymał się.

- Proszę pana - dobiegła do niego - niech pan sobie nie wyobraża, że my chcemy zabrać tę figurkę. - Podała mu tańczącego słonia.

Fajczarz cofnął się.

- Jaką figurkę, moja panno?

- No tę, którą pan wczoraj zakopał pod sosną.

Cofnął się jeszcze o pół kroku.

- Co ty wygadujesz? Nie zakopywałem żadnej figurki.

- To może święty Dyrzymał ją zakopał?

Mężczyzna zmarszczył brwi. Pierwszy raz spojrzał na nią nieprzechylnie.

- Ty chyba masz gorączkę. Radzę ci, idź do domu i zażyj jeszcze raz aspirynę.

Chwilę stała bezradnie. Zdawało się jej, że tę rozmowę prowadzi we śnie i co chwila gubi

wątek. Wnet jednak ocknęła się.

- Może pan powie, że wczoraj nie był pan na wyspie?
- Byłem - odrzekł z wigorem. - Jasne, że byłem. Przecież sama dobrze wiesz...
- I nie kopał pan dziury pięć kroków od sosny?
- Oczywiście, że nie kopałem. W jakim celu miałbym kopać dziurę?
- To pan wie najlepiej.
- Nie wiem, lecz zastanawiam się, co ci się stało? Może ci się przywidziało?
- A ja zastanawiam się, kto tu z kogo chce zrobić wariata.

- Moja panno - powiedział nieco ostrzej - przepraszam, ale nie mam czasu. Proszę cię, odprowadźcie łódź na swoje miejsce, a ty weź sobie zimny kompres na rozpaloną głowę. - Odwrócił się i odszedł zupełnie normalnie, jak gdyby nic się nie stało i nie doszło do cierpkiej wymiany słów.

Zulejka odprowadzała go wzrokiem. Była tak rozdrażniona, iż czuła, że za chwilę się rozplacze. Uniosła dłoń do czoła.

- Może mi się przyśniło... - wyszeptała Wnet jednak opanowała się. Tupnęła, jakby chciała spłoszyć ogarniające ją wątpliwości. - Nic mi się nie zdawało ani nie przyśniło - powiedziała głośno.

Z boku podszedł Bartek, był jeszcze bardziej zdenerwowany.

- Nic a nic z tego nie rozumiem. To dziwne, dlaczego nie zwrócił nawet uwagi na figurkę?
- Ba, wyparł się - podjęła gniewnie. - Powiedział, że w ogóle nie wykopywał dołka.

Bartek westchnął ciężko:

- To musi być naprawdę niebezpieczny osobnik.
- Albo ptaszki ćwierkają mu w głowie.

„BO TA FIGURKA KAŻDEMU PRZYNOSI NIESZCZĘŚCIE”

- Zulejko, wiesz, co myślę? - powiedział Bartek, gdy zbliżali się do przystani. - Ta figurka nie

ma nic w środku i jest najzwyklejszą, jakich tysiące sprzedają na jarmarkach.

- Coś ty? To dlaczego ten wstrętny Fajczarz zakopał ją na wyspie?

- Bo chciał się jej pozbyć.

- To nie mógł wyrzucić na śmietnik albo do wody?

- Właśnie... Tu coś mi nie klapuje.

Zulejka pogroziła pięścią w stronę przystani.

- Poczekaj, obłudniku. Nie domyślasz się, z kim masz do czynienia.

Chłopiec pierwszy wyskoczył z wody, podciągnął łódź na poprzednie miejsce, a potem zeskoczył na piasek i pomógł Zulejce wyjść na brzeg.

Dziewczyna zawinęła figurkę w leżącą na dnie łódki gazetę. Z tym rulonom wyszła schodkami na pomost. W pewnej chwili wyczuła, że ktoś się jej przypatruje, a gdy się rozejrzała, zobaczyła siedzącego na ławce mężczyznę. Z sylwetki i wyrazu twarzy przypominał boksera. Miał na sobie spodnie od dresu, koszulkę w biało-granatowe pasy, a na nogach adidas. Gdy Zula spojrzała w jego stronę, zasłonił twarz gazetą, lecz kiedy go minęła, wstał z ławki i wolnym krokiem ruszył za nią. Bartek wszedł nieco później na pomost. Tknięty przecuciem, przyspieszył, minął mężczyznę, a gdy zbliżył się do dziewczyny, szepnął wykrzywiając w jej stronę usta:

- Ktoś nas śledzi.

- Phi - wzruszyła ramionami - może sobie śledzić. Nie mamy żadnej trefnej rzeczy przy sobie.

- A tańczący słoń?

- Przecież sam powiedziałaś, że taką figurkę można kupić na każdym jarmarku.

Bartek obejrzał się. Na deskach pomostu ujrzał cień kroczonego za nimi mężczyzny.

- On jest coraz bliżej - szepnął.

- Udawaj, że go w ogóle nie ma.

- Kiedy jest.

- To gwizdnij na niego, może podejdzie bliżej.

Jegomość, jakby usłyszał jej słowa, zrównał się z nimi.

- Dzień dobry - powiedział najzwykłej w świecie i drobnymi kroczkami zastąpił Zuli drogę.

Chciała go minąć, lecz złapał ją mocno za ramię.

- Skąd wracacie? - zapytał ostro.

Zulejka natarła nań z impetem.

- A panu co do tego?

Nie spodziewając się takiej odpowiedzi, zamilkł na chwilę. Dziewczyna wykorzystała ten moment i wyswobodziła się z jego uchwytu,

- Czego pan od nas chce?

Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Niech pan się od nas odczepi - powiedział buńczucznie Bartek - bo zawołamy milicję.

- Nie musisz daleko szukać - uśmiechnął się ciurpkawo - bo właśnie ja jestem... oficerem milicji.

- Taaak? - wydusił Bartek zupełnie zbity z tropu i pytająco spojrzał na dziewczynę.

Ta zmarszczyła łuszczący się po opaleniznie nosek.

- Tero-fere, każdy może tak powiedzieć. Bo...

Mężczyzna nie dał jej dokończyć. Natarł ostro:

- Pokaż, co tam masz w tej gazecie.

- Słonia w sosie pomidorowym - rzuciła wyzywająco.

- Że słonia, to ja wiem. - Jego oczy nabrały nagle zimnego blasku, a twarz urzędowego wyrazu.

- Skąd pan taki przewidujący? - powiedziała już pokorniej dziewczyna.

- Obserwowałem was. Widziałem, jak rozwinęłaś go z gazety. - Gwałtownym ruchem wyciągnął rękę. - Dawaj, bo nie mam zamiaru żartować.

Dziewczyna posłała Bartkowi alarmujące spojrzenie. Ten rzucił ugodowo:

- Pokaż panu... to nic ważnego.

Zulejka zawahała się, lecz po chwili zastanowienia wyciągnęła figurkę z gazety.

- Zwyczajny słoń z porcelany - powiedziała z chytrym uśmieszkiem. - Takiego można kupić na każdym jarmarku.

Nieznajomy wyrwał jej figurkę z ręki.

- Właśnie poszukuję takiego. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Skąd go masz?

- Wykopaliśmy z ziemi - wyrwał się gorliwie Bartek. W tej samej chwili syknął boleśnie, gdyż otrzymał mocne kopnięcie w kostkę. - To znaczy - zacukał się - wcale nie wykopa...

- Gdzieście go wykopali? - zapytał nieznajomy głosem nie znoszącym sprzeciwu.

- Nie mów - syknęła dziewczyna i trąciła go łokciem. - A jeśli chce pan wiedzieć... - zająknęła się - to on tak się pana przestraszył, że zapomniał języka w gębie.

- On zapomniał... ale ja wiem. - Nieznajomy uśmiechnął się prawie dobrodusznie. - A może byś mi powiedziała, kto zakopał tę figurkę na wyspie?

Dziewczyna przechyliła przekornie głowę.

- Jeśli pan tak wszystko wie, to może pan podzieli się z nami swoimi wiadomościami.

Nieznajomy pogroził jej palcem.

- Nie bądź taka przemądrzała. Powiedz lepiej, jak trafiliście na to miejsce.

- Naprowadziły nas dobre duchy dziewiczego lasu.

Nieznajomy zachnął się gniewnie.

- Dość tych żartów! Wiem, że bawiliście się w Indian, ale...

- To pan nas śledził - wpadł mu w pół słowa Bartek.

Mężczyzna skinął nań głową.

- Może ty mi powiesz. I może wiesz, co jest w środku? - Uniósł figurkę do ucha i potrząsnął nią. - Pusta - wyjaśnił po chwili z nutką rozczarowania.

Dziewczyna wyciągnęła rękę.

- To niech pan nam odda.

Nieznajomy cofnął się.

- Nie martw się. Dostaniecie figurkę.

- To proszę - wyciągnęła energicznie rękę.

- Nie teraz.

- A kiedy?

- Przyjdzie na to czas.

- Może mi pan to ściślej określi - kiedy?

Nieznajomy uniósł figurkę i przyjrzał się jej dociekliwie

- Piękna, co? - Uśmiechnął się, jakby chciał jeszcze bardziej rozsierdzić dziewczynę.

- Proszę mi powiedzieć, kiedy dostanę z powrotem mojego tańczącego słonia.

- Jesteś pewna, że to twój?

- W każdym razie nie pana - odparła zadziornie. - I chcę pana ostrzec, że ta figurka każdemu przynosi nieszczęście.

SMACZNE DOMOWE OBIADY

Kiedy nieznajomy oddalił się szybko i minął idących przed nimi ludzi, Zulejka zacięła wargi i, tupiąc w bezsilnym gniewie, natarła na Bartka:

- Ty mięczaku, zachowujesz się jak ostatni niedołęga.

Bartka zamurowało, a gdy odzyskał zdolność mówienia, wyszeptał:

- A co miałem robić?

- Jeszcze pytasz? Jesteś detektywem czy nie?

- Jestem.

- To dlaczego nie stanąłeś w mojej obronie? Było nas dwoje, a on jeden.

- Zulejka, zastanów się, przecież to oficer milicji.

- Taki oficer, jak ja zakonnica.

- Przecież wyraźnie powiedział...

Dziewczyna pokraśniała, rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Znikaj mi z oczu. Nie chcę cię widzieć i nie przychodź do mnie.

- Zulejka - próbował ją udobruchać - przecież chciałem jak najlepiej.

- Nie usprawiedliwiaj się. Znajdę sobie innego sierżanta.

Chłopiec patrzył chwilę z niedowierzaniem, lecz gdy z jej twarzy nie zniknął wyraz gniewu, powiedział podniesionym głosem:

- Myślisz, że jesteś super, naj... naj... Dobrze, idę sobie, ale nie staraj się mnie przebłagać. Zobaczymy, kto na tym lepiej wyjdzie.

Tupnęła siarczyście, aż zatrzeszczały deski pomostu.

- Zjeżdżaj, bo cię przegonię!

Tego było już za wiele nawet dla Bartka, najwierniejszego towarzysza zabaw dziewczyny. Zadarł dumnie głowę, spojrzął pogardliwie i odszedł niemal dostojnie. Lecz kiedy uszedł kilka kroków, ogarnął go żal, że tak niefortunnie i niespodziewanie zakończyła się ich przyjaźń i rozpoczęta zabawa.

Zabawa? - pomyślał po chwili i gestem ręki zaprzeczył sobie. - To już przestało być zabawą. Zaplątali się w jakąś niezwykłą historię, która mogła okazać się poważniejsza, niż sądzili. Bo - ciągnął myśl - wszystko się skomplikowało. Myśleli, że człowiek z fajką na widok tańczącego słonia wywoła awanturę, a on tymczasem udał, że nie ma z nim nic wspólnego. Nigdy nie przypuszczali, żeby ktoś poza ich trójką był wmieszany w zagadkową sprawę, a tu nagle zjawia się tajemniczy facet i ni stąd, ni zowąd odbiera im cenny skarb. Wszystko wskazywało na to, że figurka jest pusta. Dlaczego więc spowodowała łańcuch nieoczekiwanych zdarzeń i stała się przyczyną niezrozumiałych powikłań? Jedno jest pewne: najpierw trzeba sprawdzić, czy mężczyzna w pasiastej koszulce jest oficerem milicji, a następnie dowiedzieć się, kim jest człowiek z fajką.

Bartek z wolna odzyskiwał równowagę ducha. Poczekaj ty, przemądrzalska - odgrażał się w myśli. - Dowiodę ci, że nie jestem takim mięczakiem, jak myślisz. Jeszcze będziesz mnie prosiła, żebym dał się przebłagać. To fakt - przyznawał - że zachowałem się niezbyt dzielnie, ale to jeszcze nie powód, by mnie mieszać z błotem i odsądzić od czci i wiary. O, właśnie, trzeba uczynić coś takiego, by odzyskać wiarę w siebie.

- By odzyskać wiarę w siebie - powtórzył półgłosem. - A potem... - Urwał myśl, gdyż na skwerze, odgradzającym jezioro od ciągnącej się wśród wysokopiennych sosen ulicy, spostrzegł dżentelmena z fajką. Szedł spacerowym krokiem, w rękę trzymał książkę, a kiedy przystawał, unosił książkę do oczu i czytał. W tej sytuacji śledzenie go nie nastroczało trudności.

Chłopiec sunął za nim w odległości kilkunastu kroków. Ze wzrastającym napięciem przyglądał się jego nieco dziwnemu zachowaniu. Gdy minęli skwer, Fajczarz skręcił w leśną ścieżkę, prowadzącą do Białej Góry. Była to dzielnica willowa usadowiona na łagodnym skłonie obłego wzniesienia uwieńczonego piaszczystymi wydymami i karłowatą sośniną.

Bartek pozwolił mu się oddalić, a potem zboczył w zarośla, skąd miał doskonały przegląd terenu. Kiedy zbliżyli się do zabudowań, nagle wśród gałęzi dał się słyszeć krzykliwy głos ptaka. Fajczarz zatrzymał się, błędząc wzrokiem wśród zarośli. Wtem w kępie leszczyny ukazał się ptak.

Bartek nigdy takiego nie widział, przyjrzał mu się uważniej. Był to okaz wielkości kawki, nieco wysmuklejszy od niej, lecz wspaniale ubarwiony. Skrzydła miał jaskrawoniebieskie, a brzuch ceglasty. Chłopiec urzeczony jego widokiem, stracił z oczu Fajczarza. Wnet jednak ujrzał go po drugiej stronie leszczynowych krzaków. Stał chwilę zachwycony pięknym zjawiskiem, a gdy ptak odleciał, Fajczarz zajrzał do książki. Bartek domyślił się, że jest to atlas ptaków.

- Ornitolog z Koziej Wólki - wyszeptał sarkastycznie.

Tamten zatrzasnął książkę i, włożywszy ją pod pachę, ruszył sprężystym krokiem w stronę zabudowań. Zniknął na chwilę za gęstym żywopłotem, lecz gdy chłopiec podbiegł do rogu uliczki, zobaczył go, jak wchodził przez furtkę do ogrodu, w którym widniał dach pokryty czerwoną dachówką.

- Teraz mi nie uciekniesz - szepnął triumfalnie. Gdy zbliżył się do furtki, na ścianie domu ujrzał niewielką tabliczkę z napisem: „Smaczne obiady domowe”.

No tak - kpił w myśli - pan ornitolog zmęczył się śledzeniem ptaków, a teraz przyszedł coś wbić w krzyże, by mieć siłę do szklenia innym oczu znany się na takich.

Sierżant służby śledczej sunął wolnym krokiem wzdłuż żywopłotu. Nagle zatrzymał się. Z następnej przecznicy, jak duch z oparów, wyłonił się oficer milicji. Przebrał się do obiadu. Paradował teraz w welwetowych dzinsach i w niebieskiej koszuli safari. Chłopiec poznał go po złamanym nosie i czołowej łysinie. Bojąc się spotkania, zawrócił, przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił w wąskie przejście między dwoma płotami. Gdy stwierdził, że jest dobrze osłonięty, wychylił się i ze zdumieniem spostrzegł, że oficer wchodzi do tego samego domu.

- Mam was! - wyszeptał. - Teraz już mi się nie wymkniecie. Pięknie to sobie ułożył - jeden ornitolog, a drugi oficer milicji, a w istocie na pewno dwa przestępcze typy.

A potem pomyślał:

No, Zulejko, oko ci zbieleje, gdy się dowiesz, jakie twój sierżant poczynił odkrycia.

SOK MALINOWY I CO Z TEGO WYNIKŁO?

Spojrzał na zegarek. Od chwili, gdy oficer milicji wszedł do domu, minęło już pół godziny.

Oni chyba jedzą kotlety ze słonia - pomyślał zniecierpliwiony. Zapomniał zapewne, że pierwszą zaletą dobrego detektywa jest cierpliwość. Ale jak tu być cierpliwym, skoro dwaj osobnicy są zapewne przy deserze, a jemu z głodu zaczęło burczeć w brzuchu. Lecz czego nie robi się dla sprawy.

Przypomniał sobie fragment powieści detektywistycznej, w którym prywatny detektyw z Los Angeles dwie doby siedział w skrzyni na piasek, żeby złapać na gorącym uczynku pewnego meksykańskiego bandytę.

Pokrzepiony tym wspomnieniem, tkwił bez ruchu za płotem z desek, zerkając co chwila na furtkę. Wyszła już jakaś kobieta z dwojgiem dzieci, pewien starszy pan utykający na lewą nogę i tęga niewiasta z olbrzymią torbą pełną grzybów, a tamci wciąż jeszcze nie zjawiali się.

Nic dziwnego - pocieszył się. - Pewno mają sobie dużo do opowiedzenia. Zwłaszcza o tej niepozornej figurce z porcelany.

Zastanowił się, czy może być drugie wyjście po przeciwnej stronie ogrodu. Dla uspokojenia się postanowił to sprawdzić, a gdy stwierdził, że wzdłuż ogrodu ciągnie się wysoki płot, postanowił wrócić do poprzedniego punktu obserwacyjnego.

Kiedy był już blisko swego miejsca, w furtce zobaczył wychodzącego Fajczarza. Rozczarował się nieco, gdyż Fajczarz wyszedł bez oficera.

Znamy się na tym. Zwykły kamuflaż dla naiwnych - pomyślał, zawracając i przezornie kryjąc się za drzewami.

Fajczarz szedł zwawo. Pogwizdywał jakiś fragment piosenki, a gdy doszedł do wylotu ulicy, skręcił i leśną ścieżką zaczął się wspinać na wzniesienie. Bartek ruszył ostrożnie jak dobry łowczy pies za upatrzoną zwierzyną. Szli tak może dziesięć, może trochę więcej minut, aż ścieżka skończyła się, a wśród lasu, na zacisznej polanie, ukazał się drewniany, bardzo skromny, lecz przytulny domek. Fajczarz zatrzymał się przed drzwiami. Z kieszeni wyjął klucze i chwilę marudził z otwieraniem zamku, a właściwie zamków, gdyż było ich trzy, a każdy innego systemu.

Dobrze się zaszył, przyjemniaczek - pomyślał chłopiec, kryjąc się w kępie kalin, a kiedy Fajczarz wszedł do domu, przyjrzał się uważniej całej posiadłości.

Dom, otoczony nieregularnymi rzędami kwietników i pięknymi kępami krzewów ozdobnych stał w starym lesie. Był niski, zbudowany z grubych ociosów, a dach miał z gontów. Wyglądał schludnie i bardzo nastrojowo.

Gdy stwierdził, że w dwu oknach zasłoniętych firankami nikt się nie pokazuje, szerokim łukiem okrążył zabudowanie. Z drugiej strony dom wyglądał okazalej, miał oszkloną werandę, a nad werandą połyskiwało w słońcu małe okienko poddasza. Okna zwrócone ku piaszczystym wydmom były szeroko otwarte. Z ocienionego wnętrza jednego z pokoi dochodziła wciąż ta sama fraza gwizdanego refrenu piosenki.

- Gwiżdź sobie, gwiżdź - rezonował Bartek. - Ale uważaj, brachu, żebyś w końcu nie płakał.

Fajczarz wcale nie miał zamiaru się smucić. Był w znakomitym nastroju. Kiedy wyszedł z werandy, taszcząc za sobą leżak, pogwizdywał jeszcze głośniej i weselej. Odległość między domem a zacisznym zakątkiem ogrodu przebył podskakując śmiesznie co trzeci krok, a gdy rozłożył leżak i

rozciągnął się na nim wygodnie, i usunął daszek czapki na oczy, podłożył pod głowę zgięte ramię i oddał się z rozkoszą poobiedniej sjeście.

Detektyw na to tylko czekał. W jego skołatanej głowie zrodził się zuchwały plan.

Poczekaj, Zulejko - myślał z satysfakcją. - Teraz ja cię zakasuję. Nie będziesz już głądzić, że jestem mięczakiem i ostatnim fajtlapą. Pokażę ci, jak powinien pracować prawdziwy wywiadowca.

Z napiętą uwagą obserwował aferzystę, a kiedy spostrzegł, że jego brzuch w sennym rytmie miarowym wznosi się i opada, a ręka bezwładnie zsunęła się na trawnik, zaczął działać.

Posesja była nie ogrodzona, więc z łatwością zbliżył się do domu i z ukrycia jeszcze raz ocenił sytuację. Zdało mu się, że dokoła wszystko usypia w rozkosznych ciepłych popołudniach. Tylko on bacznie stoi na posterunku. W myśli odmierzył odległość od krzaków do okna. Było może piętnaście kroków. Zebrał się w sobie i kilkoma susami dopadł okna, potem jednym skokiem wspiął się na parapet i z rozpędem wpadł do pokoju. Nie przewidział tylko jednego: że pod oknem stał wielki słoć, pełen malinowego soku. Padając, zahaczył on nogą. Odgłos upadającego rumorem słoja przyprawił go o omdlenie, a gdy się ocknął, stwierdził, że leży w lepkiej kałuży, a obok niego łaciaty kot zlizuje z podłogi słodki syrop.

Czekał, kiedy w oknie zjawi się Fajczarz. Myśl o tym paraliżowała mu ruchy i chciał się podnieść, lecz gdy tylko się poruszył, kot skoczył na zasłane różnymi książkami i papierami biurko. Przymaszerował przez nie, zostawiając wszędzie ślady łap.

Po chwili za drzwiami usłyszał czyjeś kroki. Chciał się zerwać, uciekać przez okno, lecz strach odjął mu zdolność poruszania się i pozbawił możliwości myślenia. Leżał w gęstym soku i bezmyślnie czekał, kto pierwszy go złapie: Fajczarz czy ten ktoś, kto zbliżał się do drzwi. Po chwili za drzwiami usłyszał pukanie, a potem kobiecy głos:

- Panie Henryku, czy pan jest u siebie?

Z drżeniem oczekiwał, kiedy kobieta otworzy drzwi i na jego widok podniesie krzyk. Na szczęście głos kobiety zamilkł. Widocznie cofnęła się do przedpokoju albo weszła do przeciwległej izby.

Odetchnął z ulgą. Starał się opanować rozbiegane myśli, lecz tok zdarzeń okazał się dlań bezlitosny, bo nagle kot zeskoczył z biurka, podszedł leniwie pod drzwi i miaucząc głośno, dopraszał się wypuszczenia. Bartek chciał go uciszyć, zbliżył się doń na czworakach, próbując odpędzić od drzwi, lecz kot prychnął z wściekłością i jak oszalały skoczył mu do oczu Bartek jęknął, a gdy dotknął ręką policzka, na dłoni ujrzał krew.

- Ty czarny diable - wyszeptał. Usiłował go złapać, wyrzucić przez okno, lecz i tym razem to mu się nie udało. Kot skoczył na łóżko nakryte białą kapą i fukając przespacerował się po nim, znacząc nieskazitelną biel kapy nieregularnym wzorem śladów łap.

Bartek westchnął żałośnie. W jego wyjąłowionej i myśli łepetynie coś nagle błysnęło:

Uciekać! - Wnet powziął zamiar podczołgania się pod okno, lecz nagle usłyszał niemal pieszczotliwy głos:

- Maciuś, moje złotko, gdzie jesteś?

Kot miauknął przeraźliwie. Zeskoczył z łóżka i bezszelestnie potruchtał do drzwi.

- Idziesz ty! - syknął Bartek. Zerwał z łóżka poduszkę i cisnął nią w kota. Ten uskoczył zręcznie i jeszcze raz zamiauczał.

- Maciuś! - odezwała się kobieta. Niemal jednocześnie ukazała się w drzwiach jej tęga, zwalista postać.

Bartek nie chciał być świadkiem tego, co miało nastąpić. Zamknął oczy. W tej samej niemal chwili usłyszał przeraźliwy krzyk:

- Złodziej! Złodziej! Ratunku!

Detektyw otworzył oczy. Kobiety już nie było. Rzucił się w panicznej ucieczce do okna, lecz w oknie, niby w portretowej ramie, ukazał się Fajczarz.

- Chłopcze - zapytał nieco zdumiony - a skąd się tu wzięłeś?

- Ja?... Ja?... - wydusił z trudem. - No, właśnie szukałem pana.

- Jak ty wyglądasz? Co ci się stało? - Podał Bartkowi papierową chusteczkę. - Widzę, że miałeś jakiś konflikt z kotem.

Bartek chciał coś powiedzieć, otwierał już usta, gdy nagle usłyszał za sobą bolesny okrzyk kobiety

- O, Boże! Mój sok malinowy!

Wołający o pomstę do nieba okrzyk poruszył nawet Fajczarza. Zbladł, powieki mu zadrgały i pełnym przygany głosem zwrócił się do Bartka:

- Nie mogłeś bardziej uważać?

- To nie ja... - wybełkotał.

- A kto? Duch jaki albo co?! - natarła nań kobieta. Ujrzał przed oczyma jej zaciśnięte, uniesione do ciosu pięści.

- To kot - zawołał płaczliwie.

Zaciśnięte pięści gospodyni spadłyby niechybnie na jego plecy, gdyby Fajczarz nie uniósł znacząco ręki.

- Pani Sobolowa, niech pani mi go zostawi, ja już z nim załatwię.

Kobieta z trudem opanowała gniew.

- Kot! - wołała. - Widział go kto! Mój Maciuś, taki delikatny.

- Delikatny - wtrącił nieśmiało Bartek, unosząc dłoń do policzka.

- Dobrze ci tak! - Wygrażała mu pięścią. - Szkoda, że ci oczu nie wydrapał za moje maliny. - Schyliła się po słój, a gdy go podniosła, zapłakała: - Mój Boże, ile ja się nazbierałam... a ten... - Chciała się rzucić na chłopca, lecz Fajczarz ją powstrzymał.

- Będzie pani miała maliny... Ja już...

- A w ogóle - przerwała mu - skąd ten chuligan znalazł się w moim domu?

- Podobno szukał mnie - wyjaśnił Fajczarz, robiąc do chłopca oko.

- To musiał wchodzić przez okno?

Fajczarz uśmiechnął się znacząco.

- Widocznie ta droga bardziej mu odpowiadała.

Kobieta z obrzydzeniem spojrzała na chłopca, a uniósłszy wysoko ręce, zawołała:

- Diabeł wcielony nie narobiłby mi większego bałaganu. Ech, ty - pogroziła mu - masz szczęście, że pan Henryk ujął się za tobą.

- Niech się pani nie martwi, on już dostanie za to dobre wciury.

- Ja bym mu uszy oberwała - jęknęła i schyliwszy się, podniosła z podłogi słój. - Niech pan patrzy - zwróciła się do Fajczarza - ile będę miała roboty...

- O, nie, pani Sobolowa, pani nie ruszy palcem. Proszę dać mi wiadro, szczotkę i szmatę. To już jego robota.

Gospodyni skinęła na chłopca.

- Tylko pamiętaj, musi być wysprzątane na cacy.

NIE DOKOŃCZONY LIST

- Proszę pana - powiedział Bartek, zbliżając się do wyciągniętego wygodnie w leżaku Fajczarza - ja już posprzątałem.

Mężczyzna odłożył książkę, którą czytał, przeciągnął się, ziewnął i wstał z leżaka.

- Zaraz zobaczymy. Wszystko wymyłeś?

- Tak... Tylko... - zająknął się. - Tylko nie wiem, co robić z kapą i z pana książkami.

- Nie wiesz? - ironizował wielbiciel ptaków. - Może ci podpowiedzieć, kawalerze?

- Mogę zanieść do pralni.

- Jesteś bardzo domyślny.

- A książki i papiery? Tego nie da się zmyć.

Fajczarz udał, że nie słyszy jego wyjaśnienia.

- No, chodźmy. - Ruszył pierwszy w stronę domu. - Przekonamy się, jak potrafisz pracować.

Zanim jednak Bartek zameldował o skończeniu sprzątanego, upłynęły dwie godziny. Dwie godziny męczył się, by doprowadzić pokój do porządku. A praca to była niemal syzyfowa, bo gdy starł podłogę, ścierka była tak lepka, że kleiła się do rąk, a gdy umył w wiadrze ręce, znowu woda stawała się lepka i trzeba ją było zmienić. I tak w kółko.

Jedyny pożytek z tej niewdzięcznej roboty to możliwość dokładnego przerzucenia mieszkania. Kiedy nieco ochłonął, zaczął rozglądać się po pokoju. Na biurku, przy którym pracował Fajczarz, leżały porozrzucane książki. Wszystkie dotyczyły nauk przyrodniczych - ornitologii, botaniki, zoologii.

Najwięcej jednak było książek o ptakach.

A może to naprawdę ornitolog? - zapytywał się w myśli. Wszystko na to wskazywało, gdyż notatki leżące na stole pełne były krótkich informacji o ptasim świecie.

Na wierzchu leżała zupełnie świeża kartka, dotycząca ptaka, któremu tak dociekliwie przyglądał się w drodze do domu. Notatka brzmiała: „21.07.83 - zobaczyłem kraskę. W tej okolicy ptak ten jest b. rzadki. Egzemplarz zupełnie młody. Pewnie z wiosennego wylęgu.”

No, no - pokręcił głową nasz przyrodnik skrzętnie notuje każde spotkanie. A może to tylko szyfr. Może „kraska” oznacza młodą osobę?

Porządkując książki i notatki, wyciągnął spod atlasu ptaków kartkę, która go najbardziej zaintrygowała. Był to początek nie dokończonego listu. Przeczytał go jednym tchem.

„Szanowny panie - zaczynał się list. - Nasz plan rozwija się zupełnie dobrze. Nie spodziewałem się, że sam początek będzie tak łatwy. Musiałem jednak w ten plan wtajemniczyć jedną znajomą panią, którą spotkałem przypadkowo nad jeziorem. Jest to osoba b. dyskretna, a przy tym spodobał się jej nasz plan. Sądzę, że będę musiał do naszej roboty wprzęgnąć jeszcze kogoś. Mam nawet kandydata - pewnego bardzo rozsądnego jegomościa, z którym jadam obiady. Zastanawiam się, czy nie pozyskać kogoś z młodzieży, lecz to byłoby ryzykowne, gdyż - jak pan zapewne wie - młodzi ludzie często nie dochowują tajemnicy, a...”

No, teraz to już wszystko jasne - skonstatował sierżant. - Niech mnie szpaki zadziobią - to szpieg. Z listu jasno wynika, że organizuje tutaj siatkę szpiegowską. Już jedną ofiarę wtajemniczył w swój plan... Zaraz, zaraz - zastanowił się. A może to jakiś terrorysta? Nie - zaprzeczył sam sobie. - U nas nie ma terrorystów. O, łajdak - ciągnął dalej w myśli - chce wprzęgnąć do szpiegowskiej roboty kogoś ze stołowników. A może już wciągnął tego z złamanym nosem. No, jasne. Wszystko się dobrze składa - jak w szaradzie. Krzywonos dostał od niego rozkaz zabrania im tańczącego słonia, bo sam szef szajki nie chciał, by go zdemaskowali. A to podły spryciarz. Niby to chodzi po lesie i podgląda ptaki, a tymczasem zbiera ważne materiały dla obcego wywiadu.

Zatarł dłonie, a właściwie usiłował zatrzeć, gdyż były jeszcze lepkie od malinowego soku. Ucieszył się ogromnie i pomyślał, że teraz będzie mógł stanąć przed szefem i powiedzieć: „Inspektorze, wpadłem na trop niebezpiecznej siatki szpiegowskiej”.

Myśl ta dodała mu do tego stopnia sił i otuchy, że sprzątanie poszło mu teraz jak z płatka, a że trochę marudził, to zapewne celowo, bo przez ten czas zebrał sporo ważnych informacji o Fajczarzu. Dowiedział się, że pali tytoń angielski „Old Boy”, używa papieru toaletowego marki „Klucze”, myje się krajowym mydłem „Kajtek” z Zakładów Tłuszczowych w Brzegu i zagryza krakersy „Bridge”. Poza rzeczonym nie dokończonym listem żadnych obciążających materiałów sierżant Bartłomiej Dziwisz nie znalazł. Szybko zakończył sprzątanie, w kuchni pod kranem umył ręce i omijając panią Sobolową, zameldował o zakończeniu pracy.

Teraz szedł za szefem siatki i śmiejąc się w myśli, udawał ofiarę kaprysów kota Maciusia.

Weszli do pokoju. Fajczarz rozejrzył się.

- Mówisz, że posprzątałeś wszystko na cacy?

- Tak, pro... pana.

- A jak znajdę nie posprzątane miejsce, to co?

- Może pan szukać - odparł ufny w siebie. - Widzi pan, podłoga błyszczy jak brylant.

Fajczarz ukląkł przy łóżku i przejechał palcem po drewnianej podłodze. Syknął i obrzydzeniem, gdyż jego wskazujący palec zgarnął lepiałą się malinowoszarą masę.

- To ma być na cacy? - Skarcił go wzrokiem.

- Pod łóżko nie zaglądałem.

- To bądź łaskaw zajrzeć, bo...

- Pro... pana - przerwał mu chłopiec żalonym tonem - nie jadłem jeszcze obiadu... i ojciec pewno się niepokoi.

- To, że nie jadłeś, nieważne, ale ojciec... Pokręcił słowa i zapytał: - Gdzie mieszkasz?

Bartek zakrztusił się własną śliną, gdyż w ostatniej chwili skapował, że nie może zdradzić swego miejsca zamieszkania.

- Na kempingu - odparł dziwiąc się, że kłamstwo tak łatwo przeszło mu przez gardło.

- Tam, gdzie ta twoja przemądrzała koleżanka? To dość daleko stąd.

- Będzie ze trzy kilometry.

Fajczarz z obrzydzeniem zerknął pod łóżko.

- Zwalniam cię, ale jedynie ze względu na rodziców.

- Dziękuję - zawołał Bartek. Zdziwił się nieco, że tak łatwo przekonał szefa siatki szpiegowskiej. Ucieszył się, lecz był tak przejęty, że chciał wyskoczyć przez okno.

Fajczarz chwycił go za rękaw.

- Wolnego, kawalerze, u nas wciąż jeszcze wychodzi się drzwiami, poza tym masz zabrać do pralni kapę.

- Przepraszam, na śmierć zapomniałem.

- Lepiej, żebyś wcześniej przypomniał sobie, że do obcego mieszkania nie wchodzi się bez pozwolenia. - Przyciągnął go blisko i spojrzał mu w oczy. - Słuchaj, przyjacielu, a właściwie czego u mnie szukałeś?

- Ja?... - zająknął się.

- Przecież ciebie pytam. Nie sądzę, byś ryzykował bez powodu.

Sierżant wywiadu opuścił smętnie głowę.

- Bo... przecież to dziwne... Zulejka mówiła, że pan zakopał tę figurkę, w losie na wyspie, a pan...

- Już raz wam tłumaczyłem, że nie zakopywałem żadnej figurki. Jestem na to za poważny, by bawić się takimi rzeczami.

- To może ten bokser... Ten ze złamanym nosem - podsunął chytrze Bartek.

- Jaki bokser?

- A taki facet, co się razem z panem stołuje.

- A, ten? - Uśmiechnął się. - Ten magister?

- Magister? - zdumiał się chłopiec. - A nam przedstawił się jako oficer milicji.

- Magister ekonomii - powiedział Fajczarz z naciskiem.

- To pan go dobrze zna?

- Po prostu jadam z nim obiady i w ten sposób go poznałem.

- Czyżby? - Bartek uśmiechnął się chytrze. Chciał zadać jakieś podchwytliwe pytanie, lecz Fajczarz go wyprzedził.

- Zabieraj kapę i zmykaj, bo rodzice się niepokoją.

Bartek doskoczył do łóżka i jednym szarpnięciem chciał zerwać ciężką kapę. Uczynił to tak niezdarnie, że kapa ściągnęła na podłogę poduszkę, a ta niefortunnie upadła w miejscu, w którym zostało jeszcze trochę rozlanego soku malinowego. Fajczarz aż syknął z przejęcia. Schylił się, podniósł poduszkę, a gdy ją odwrócił, na delikatnym płótnie ujrzeli ogromną plamę koloru leśnych malin, a kształtu chińskiego smoka.

- Przepraszam - jęknął sprawca.

Fajczarz roześmiał się przekornie.

- Zmywaj się - powiedział - bo za chwilę spowodujesz trzęsienie ziemi.

PANIENKA W JAKIEJ SPRAWIE?

Niełatwo być inspektorem policji śledczej - pomyślała Zulejka, zbliżając się do komisariatu milicji.

Wieczór był pełen światła. W dali smukłe pnie sosen płonęły w odblaskach zachodzącego słońca, a nad nimi drobne obłoki sunęły po czystym jak szkło nieboskłonie. Było cicho i pusto. O tej porze we wszystkich domach wczasowych, hotelach i pensjonatach podawano kolację, nic więc dziwnego, że ulice wyglądały jak wyludnione.

Zulejka nie zachwycała się pięknem letniego wieczoru. Jej myśli krążyły wokół tajemnicy porcelanowej figurki. Nie mogła darować sobie, że tak łatwo dała sobie wydrzeć tańczącego słonia. Na myśl o Bartku kipiało w niej od gniewu. A jednak żałowała, że tak bezwzględnie z nim postąpiła. Zawsze lepiej mieć kogoś przy sobie, kogoś, komu można się zwierzyć, podzielić wątpliwościami, a nawet mu napsioczyć.

No, teraz dowiem się, czy ten facet ze złamanym nosem jest oficerem milicji - pomyślała.

Posterunek mieścił się w piętrowym domu, tuż obok poczty. Do wejścia prowadziły kamienne schodki, dobrze już wyłobione i wyszlifowane butami. Kiedy stanęła przed drzwiami wejściowymi, zawahała się.

Czy to warto się narażać? - rozważała. - A jeśli on jest naprawdę oficerem i zacznie mnie wałkować w sprawie niewinnej figurki? - Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z milicją, a komisariat kojarzył się jej z przestępczymi typami, o których czytało się w gazetach.

Wnet jednak opanowała się.

Raz kozie śmierć. Przecież mnie nie aresztują ani nie wezmą na tortury. - Pchnęła ciężkie drzwi i zaraz znalazła się przy okienku dyżurnego.

Na jej widok plutonowy przybrał urzędowy wyraz twarzy.

- W jakiej sprawie? - zapytał krótko i oschle.

- Ja... - Utknęła na chwilę, lecz obdarzona obrotnym językiem i świetnym refleksem dokończyła: - Bo, proszę pana, dzisiaj na pomoście zaczepił nas pewien pan i odebrał mi figurkę porcelanową...

Milicjant przerwał jej.

- Chcesz złożyć meldunek?

- Nie, tylko ten pan powiedział, że jest oficerem milicji i zdmuchnął mi tańczącego słonia.

- Jakiego słonia? - zdziwił się plutonowy.

- Tańczącego - odparła mrużąc figlarnie oczy.

- Co ty opowiadasz, dziewczyno? Czy ty może jesteś z cyrku?

- Ach, nie... To nie był żywy słoń, tylko mała, porcelanowa figurka.

- Więc ten pan powiedział, że jest oficerem milicji?

- Tak.

- To mi się nie zgadza, bo u nas najwyższa ranga to starszy sierżant, komendant komisariatu.
- Z góry wiedziałam, że to oszust - wtrąciła rezolutnie.
- A jak on wyglądał?
- No... był wysoki, barczysty i przypominał boksera.
- Boksera?
- No tak, bo miał złamany nos.

Plutonowy spojrział na nią podejrzliwie.

- Ty coś fantazjujesz i kręcisz, bo u nas nie ma takiego ze złamanym nosem.

Zulejka uniosła dłoń jak do przysięgi.

- Daję słowo uczciwego detektywa.

Plutonowy widocznie nie miał poczucia humoru, gdyż zamiast roześmiać się lub zbyć to oświadczenie dowcipem, zmarszczył brwi.

- Czy ty wiesz, gdzie się znajdujesz?
- Na milicji.
- Tak. I proszę cię, nie strój sobie żartów
- Ja wcale nie stroję, tylko...
- Powiedz, czy chcesz złożyć meldunek?

- Nie. Teraz już wiem, że tamten facet zrobił z nas kosmiczne balony. I oświadczam panu, że ja mu tego nie daruję. Dziękuję panu za wyczerpujące informacje - zakpiła. - A jak będę miała jakieś dowody rzeczowe przeciw temu przestępcy, to nie omieszkam was zawiadomić.

Plutonowemu zrzędała nieco mina, chciał coś powiedzieć, lecz z boku wyłonił się drugi milicjant. Nie był zapewne na służbie, gdyż miał rozpiętą bluzę, a w ręku trzymał dzbanek do parzenia kawy.

- Zaraz, zaraz - zatrzymał gotową do odejścia Zulejkę. - Mówisz, że to była porcelanowa figurka przedstawiająca słonia?
- Tak... tańczącego słonia.

Milicjant zwrócił się do plutonowego.

- Przypominasz sobie tę sprawę z Kizoniem?

- Tym, co bez koncesji wyrabiał porcelanowe słonie i sprzedawał je prywaciarzom? To było przecież tamtego lata.

- Zgadza się, tylko nie wiem, czy pamiętasz - ten gość zniknął jak kamfora, a potem poszukiwali go w całej Polsce.

Zulejka zamieniła się w słuch. Starła się nie stracić ani jednego słowa, a gdy ten rozchełstany wspomniał o osobniku poszukiwanym w całym kraju, zawołała:

- To piramidalnie ciekawe.

- Ciekawe - podjął. - A skąd ty miałaś tego słonia?

- Po prostu znalazłam na wyspie - odparła bez zająknięcia. Skłamała tylko dlatego, żeby milicja nie wmieszała się w sprawę, którą sama chciała rozwikłać.

- No tak - wtrącił plutonowy - ktoś mógł zgubić.

- Zaraz, zaraz - powiedział ten drugi. - To bardzo ciekawe... - Urwał i spojrzawszy na Zulejkę, skinął do niej głową.

- Dziękujemy ci, a gdybyś czegoś ciekawego dowiedziała się o tej figurce, to nas zawiadom.

- To się wie - rzuciła pospiesznie. Zakręciła się na pięcie, wyszła szybko z komisariatu, a gdy znalazła się na ulicy, zagrała na nosie: - Trele, morele, nic wam nie powiem, bo nie jestem taka głupia, żeby się potem dzielić sukcesem!

CO TO JEST - PLAYBOY?

Idąc główną ulicą, Zulejka ujrzała z daleka Muminka. Chłopiec zaczął się za drzewem, na którym harcowały wróble. W ręku miał procę. W pewnym momencie naciągnął ją i strzelił. Na szczęście chybił. Zulejka podbiegła do niego.

- Ty grzdylu - zawołała gniewnie - jak możesz strzelać do niewinnych ptaków?!

Muminek skrzywił się.

- A czy one są naprawdę niewinne?

- Nie udawaj Greka. Przecież w szkole uczyli cię, że ptaki to nasi przyjaciele.

- A skąd wiesz, że przyjaciele?

- Nie wygłupiaj się, bo cię palnę.

- Spróbuj, to się przekonamy, kto silniejszy.

- Dobra, dobra... A jak cię jeszcze raz zobaczę z procą, to popamiętasz.

- A co popamiętam? - Zrobił tak komiczną minę, że dziewczyna parsknęła śmiechem. On zaś jeszcze bardziej się wykrzywił i dodał: - Co mam robić, jeśli nie bawimy się w Indian?

- Dłub w nosie albo licz kołki w płocie.

- Zulejka - spojrzał na nią błagalnie - nie bądź taka... Bądź człowiekiem i baw się z nami w Indian.

- Mówiłam ci, że znudziło mi się. To zabawa dla małych dzieci.

- A dlaczego dla małych?

- Bo nie dla dużych - rzuciła, a minąwszy go, ruszyła szybko w stronę kempingu.

Malec pobiegł za nią.

- Zulejka, zaczekaj. Zapomniałem ci powiedzieć, że właśnie szłem do ciebie.

- Nie mówi się szłem, tylko szedłem.

- A dlaczego szedłem, a nie szłem?

- Nie rozumiem cię. Masz już sześć lat, a zachowujesz się jak trzyletni szkrab. Wciąż tylko dlaczego i dlaczego.

Muminek uśmiechnął się hultajsko i wyszeptał:

- A dlaczego?

Trzepnęła go żartobliwie.

- Cwany jesteś. I powiedz wreszcie, czego chciałeś ode mnie - krzyknęła zniecierpliwiona.

- Coś bardzo ważnego.

- Ale co?

- Zapomniałem.

- To przypomnij sobie. Cześć.

- Nie uciekaj. Już wiem. U nas wieczorem zbierają się dzieci z całej „Goplany”. Będziemy się bawili w głuchy telefon i fanty. Przyjdiesz?

Wzruszyła, ramionami.

- Nie wiem.

- Jak będziesz wiedziała, to mi powiesz.

- A przyjdzie Bartek?

- Pewno, że przyjdzie.

- To i ja się zamelduję.

- I będą ciastka i coca-cola.

- To przyjdę na pewno.

- Po co masz przychodzić, kiedy możemy od razu iść razem.

Zastanawiała się chwilę, a gdy spojrzała na zegarek, podała mu rękę i ruszyła w stronę „Goplany”.

- Masz słuszość, już wpół do siódmej. Możemy iść.

- A dlaczego nie wpół do ósmej?

Dziewczyna dała mu porządnego kuksańca.

- Nie zadawaj mi ciągle takich beznadziejnych pytań.

- A dlaczego?

- Zamknij się, bo nie pójdę z tobą.

Chciał zapytać: „dlaczego”, lecz się powstrzymał. Bardzo lubił Zulejkę, a teraz koniecznie chciał przyjść z nią do „Goplany”, gdzie zajmowali z babką pokój na piętrze.

„Goplana” znajdowała się na ulicy Mickiewicza. Był to długi, nowo postawiony budynek. Na parterze mieściły się cukiernia, kawiarnia i restauracja, a na piętrze pokoje do wynajęcia. Do pensjonatu wchodziło się od ogrodu.

Kiedy minęli furtkę, na ścieżce zobaczyli wodza Apaczów, Benka Downara. Był już w cywilu. Miał na sobie fantastyczną koszulkę z napisem University California i z podobizną Presleya, najśłynniejszego piosenkarza w stylu rock, dalej dzinsy - nietrudno zgadnąć - wranglery, buty -

oczywiście - adidas, a do tego minę mistrza świata w zbijaniu bąków.

- Hej! - Przywitawszy ich, zatrzymał się przed Zulą.

- Słuchaj, ja też uważam, że zabawa w Indian to dziecinada. Co teraz robisz?

Dziewczyna uśmiechnęła się kpiąco.

- Nie powiem, bobyś mnie znowu małpował.

- Pewno chcesz na miotle polecieć na Księżyc - wtrącił Muminek.

Benek zamachnął się, lecz go nie uderzył.

- Cicho, szczeniaku, muminki nie mają głosu.

- A dlaczego? - zapytał malec ze śmiertelnie poważną miną.

Benek zlekceważył jego pytanie.

- Mam pomysł - zwrócił się do Zulejki. Zabawimy się w lot kosmiczny. Będziemy stanowili załogę statku kosmicznego, po drodze spotkamy drugi statek z robotami. No, jak ci się podoba mój pomysł?

- Dziecinny - oceniła.

- Ty! - trącił go łokciem Muminek. - Ja będę rakieta, dobrze?

Benek uraczył go mocnym kuksańcem.

- Zulejka - zwrócił się do dziewczyny - może pójdiesz ze mną do „Jantaru”? Szykuje się świetna zabawa. Mój kolega ma fantastyczny magnetofon i szalone nagrania.

- Odpada.

- Daj się namówić. Przyjdzie taki jeden z gitarą. Gra jak Krajewski, a śpiewa lepiej od niego.

Zulejka ogarnęła go kpiącym spojrzeniem.

- A ja myślałam, że wybierasz się na rewię mody.

- Chodzi ci o koszulkę?

- Między innymi.

- To wujek przysłał mi z Włoch.

- No właśnie, wyglądasz jak...

- Playboy - wtrącił Muminek i chrząknął znacząco.
- Zamknij się - zgromił go Benek - bo cię wcisnę do ziemi.
- Ty - Muminek zamrugał jasnymi rzęsami - a może ja z tobą pójdę?
- Stary - zwróciła się do niego Zulejka - przecież u ciebie... przyjęcie.

Muminek westchnął:

- Zupełnie o tym zapomniałem.

Benek zerknął na zegarek.

- No co, Zulejka, idziemy?
- Ty... - nasrożyła się - myślisz, że ja tak szybko zapominam?
- Przecież to była zabawa.
- Po której mogłam dostać zapalenia płuc. To nie było fair, Benek.

Chłopiec uśmiechem zatuszował zakłopotanie.

- Nie wiedziałem, że masz takie słabe zdrowie. Hej! - skinął im ręką i ruszył przed siebie.
- Playboy! - krzyknął za nim Muminek.

Zulejka trąciła go łokciem.

- Czy ty wiesz, co to jest playboy?
- A ty?
- Jasne, że wiem.
- To po co mnie pytasz?

SZANOWNI GOŚCIE, DO CIASTA!

Muminek szeroko otworzył drzwi i eleganckim gestem zaprosił Zulejkę,

- Proszę bardzo, droga wolna.

Weszła. Na tle okna zobaczyła babkę chłopca, panią Żednicką. Była to szczupła, zgrabna kobieta. Twarz miała opaloną, żywe, życzliwie patrzące oczy i giętkie, energiczne ruchy. Gdyby nie wiedziała, że to jest babcia Muminka, mogłaby śmiało przypuszczać, że to jego matka.

- Jak to dobrze, że przyszedłeś, Zulejko.

- Może za wcześnie? - Dygnęła.

- Nie szkodzi. Pomożesz mi pokroić ciasto

- Bardzo chętnie pro... pani. - Zobaczyła nakryty białym obrusem stół, a na stole piramidkę talerzyków i sztucców.

- Dużo o tobie słyszałam - podjęła pani Żednicka

- Czy coś złego?

- Ale skąd, przeciwnie, chłopcy ciebie uwielbiają i mówią, że jesteś świetną organizatorką zabaw.

- Przesada...

Pani Żednicka podała Zulejce długi nóż, a obok ciasta postawiła talerzyk.

- Mój Czesiu wrócił wczoraj bardzo zmartwiony - podjęła, widząc, że dziewczyna stoi nad ciastem i bystrym spojrzeniem lustruje cały pokój. - Dlaczego nie krajesz? - Dziewczyna zręcznie odkroiła pierwszą porcję ciasta.

- Świetnie - pochwaliła ją pani Żednicka - widzę, że masz wprawę.

- To nic trudnego...

- Nie dokończyłam... - ciągnęła pani Żednicka - więc Czesiu był bardzo zmartwiony, bo podobno przestaliście się bawić w Indian.

- To ja przestałam. Oni mogli bawić się dalej.

- Bez ciebie nie ma zabawy - wtrącił Muminek.

Zulejka krając ciasto wciąż rozglądała się po pokoju. Był to zwykły pokój pensjonatowy: dwa tapczany, stół, dwa krzesła, szafa ścienna, a na ścianach reprodukcja obrazu van Gogha - „Most w Arles” i jeszcze coś... Nad jednym z tapczanów półeczka na książki. Prześliznęła wzrokiem po półce i nagle krzyknęła głucho ze zdumienia. Obok książek zobaczyła figurkę przedstawiającą tańczącego słonia.

- Co ci się stało? - zapytała kobieta.

- A nic... nic. Tylko... - Rzuciła nóż i podbiegła do półeczki. Zdawało się jej, że śni albo że nagle znalazła się w krainie czarów. Przymrużyła lekko oczy i zapytała:

- Skąd się wzięła u pani ta figurka tańczącego słonia?

Pani Żednicka uśmiechnęła się.

- Moja droga, figurka ta ma swoją legendę.

- Czy mogę ją obejrzeć?

- Ależ proszę. Sama figurka to nic ciekawego, zwykła, jarmarczna zabawka, lecz ma swoją ciekawą historię.

Zulejka tymczasem zdjęła figurkę z półki. Doznała takiego wrażenia, jakby tańczący słoń drgnął w jej dłoniach i ożył. Obejrzała go dokładnie. Była to ta sama figurka, którą wykopali z Bartkiem na wyspie; miała lekko utraconą trąbę, a na dole biegnące dokoła podstawki pęknięcie. Dziewczynę tak bardzo zafascynował jej widok, że nie usłyszała pytania pani Żednickiej.

- Dlaczego patrzysz na nią z takim przejęciem?

Zulejka, nie odrywając wzroku od tańczącego słonia, zagadnęła:

- Proszę pani, czy pani dostała tę figurkę od pana... takiego pana, który ma złamany nos?

Pani Żednicka uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Skąd ci wpadł do głowy jakiś pan ze złamanym nosem?

- No bo dzisiaj przed południem... - Zawahała się. Nie wiedziała, czy powiedzieć całą prawdę, czy znowu fantazjować. Odchrząknęła więc dla zyskaniu czasu, a potem dodała: - Czy pani dawała komuś tę figurkę?

- Broń Boże - zaprzeczyła żywo - zabieram ją zawsze z sobą, bo przynosi mi szczęście.

- Ach, tak - szepnęła dziewczyna. - To taka maskotka lub talizman.

- Może nawet więcej, gdyż towarzyszy mi od czasów wojny.

- Ciekawe, bo ja widziałam taką samą figurkę.

- Wykluczone, bo to jest figurka węgierska.

- Daję słowo. - Głos jej lekko zadrżał. - Była identyczna, miała tak samo obitą trąbę...

- To chyba jakiś nadzwyczajny zbieg okoliczności. - Pani Żednicka zbliżyła się do Zuli. Wyjęła

jej figurkę z rak. - U kogo ją widziałas, moja droga?

- To nieważne.

- Na pewno miałaś jakieś przywidzenie. Dziewczętom w twoim wieku często to się zdarza.

- O, nie - powiedziała Zula swobodniej. - Wcale nie miałam przywidzenia, ani mi się nie zdawało... - Urwała, gdyż ktoś cicho zapukał.

- Proszę. - Pani Żednicka ruszyła do drzwi, a gdy je otworzyła, w progu ukazała się kobieta. Kiedy później Zulejka wspominała tę chwilę, zawsze doznawała uczucia smutku, jak gdyby ta osoba wprawiała ludzi w nastrój skrępowania i żalostnej zadumy. Była w średnim wieku, szczupła i zgrabna. Jej sylwetkę podkreślał strój: miała na sobie czarne, obcisłe spodnie, czarny golf i pantofle tego samego koloru. Twarz jej, blada, o regularnych rysach, zadziwiała delikatną karnacją skóry, ale najsilniejsze wrażenie robiły wielkie i jakby mgłą zasnutą oczy.

- Ach, to pani - przywitała ją chłodno gospodyni. - Mam nadzieję, że nie jest pani z Tolem?

Kobieta uśmiechnęła się nikle.

- Nawet nie wiem, gdzie on teraz przebywa. Pani doskonale wie, że męczy mnie jego towarzystwo.

- Myślałam, że jest przeciwnie - zauważyła z sarkazmem pani Żednicka. - A gdzie zostawiła pani Małgosię?

- Źle się czuła. Zostawiłam ją w hotelu przy telewizorze.

- Dobrze pani zrobiła - wyrwał się Muminek. - Bo ona tylko ziewa, ziewa i się nudzi.

- Czesiu! - Babcia skarciła go spojrzeniem. - Jak ty możesz?!

- A dlaczego nie mogę?

- On nawet ma trochę racji - powiedziała kobieta w czerni. - Prawdę mówiąc, to Małgosię nudzą tutejsze dzieci, i zawsze...

- I nie tknęłaby tego ciasta, bo ona taka delikatna - palnął bez zastanowienia Muminek.

- Czesiu! Tak nie można! - zawołała babcia.

- A dlaczego?

- Jeżeli jeszcze raz usłyszę coś takiego, to wyproszę cię za drzwi.

- To wyproś mnie teraz. Pójdę z Benkiem do „Jantaru” na dyskotekę.

Zulejka zachichotała cichutko i naśladując głos malca, rzuciła:

- A dlaczego do „Jantaru”?

- Bo tam są klawe dziewczyny. A pan Zenek zamiast firmowego napoju podaje wódkę z cytryną.

Tym razem wszyscy skwitowali stwierdzenie Muminka śmiechem. Nawet pani Irma uśmiechnęła się, lecz uśmiech jej był blady i jakby ginął w smutnych oczach.

Zulejka wyłączyła się na chwilę z kręgu rozmawiających. Krając ciasto, co chwila zerkła w stronę figurki. Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób ta sama figurka wędrowała jak pałeczka sztafetowa między Fajczarzem, Krzywonošem i panią Żednicką. Od natłoku myśli bełtało jej się w głowie. Wreszcie stwierdziła, że nic mądrego teraz nie wymyśli i postanowiła po przyjęciu działać energicznie.

Tymczasem mały pokój wypełniał się gośćmi. Przyszły dwie siostry Benka Downara z matką, kobietą obwieszoną biżuterią jak murzyński kacyk świecidełkami. Zjawił się Zbyszek, jeden z walecznych Arapachów, chłopiec o płomiennie-rudych włosach i niebieskich jak dwa turkusy oczach. Wreszcie na końcu zameldował się Bartek Dziwisz. Wszedł nieśmiało, zasłaniając chusteczką podrapaną twarz. Muminek zaraz to zauważył.

- Kto cię tak urządził? - zapytał z przekąsem.

Bartkowi poczerwieniały uszy.

- A nic... nic... to głupstwo. To kot, ten, co się włóczy po ogrodzie. Chciałem go złapać, a on...

- Zrobił ci kuku - stwierdził Muminek.

Bartek oblał się rumieńcem i nieśmiało usiadł w kącie przy bliźniaczych siostrach Benka. Te siedziały bez ruchu jak dwie wypchane trocinami lalki. Miały na sobie jednakowe sukienki - najnowszy krzyk mody, uszyte z pomiętego materiału i wyglądające jak opończe średniowiecznych pokutników - i jednakowo znudzone miny, tak że nie można ich było odróżnić.

- Słuchaj - zwróciła się do Bartka Mariola - nie wiesz przypadkowo, dokąd poszedł Benek?

- Nie mam pojęcia.

- Wyobraź sobie - wtrąciła Melinda - że nie chciał nas wziąć ze sobą.

- Postaram się wyobrazić sobie - mruknął pod nosem.

Mariola wydeła usta.

- Pewno umówił się z jakąś dziewczyną, bo ubrał się w najnowsze ciuchy

- Zapewne tak - wyszeptał chłopiec, nie odrywając oczu od Zulejki, która tymczasem skończyła krajać ciasto i zaszyła się w drugi kąt przy szafie.

Bartek był tak spięty i naładowany sensacyjnymi wiadomościami, że do tej pory nie zauważył stojącej na półce z książkami figurki. Nagle zamrugał nerwowo. Nie chciał wierzyć własnym oczom. Zulejka wstała i ruszyła prosto na niego. Serce mu mocniej zabiło. Podniósł się.

- Nie lubię długo się gniewać - rzuciła pojednawczo. - Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Byłam wtedy piekielnie zła.

Bartek naburmuszył się.

- Myślę, że to się więcej nie powtórzy.

- Królewicz! - prychnęła. - Myślisz, że mi robisz łaskę.

- Bo musisz przyznać, że...

- Nie mam zamiaru przyznawać. Zachowałeś się jak ostatni fajłapa, a teraz...

- Jeżeli tak uważasz, to możemy z sobą nie rozmawiać, ale źle byś na tym wyszła - ściszył głos i zakończył szeptem - bo mam sensacyjne wiadomości.

- Phi - zachichotała - gdybym ci coś powiedziała, to padłbyś plackiem u moich nóg.

- Widzę, że nie jesteś ciekawa?

- A ty nie masz oczu.

- Co byś zrobiła, gdybym ci powiedział, że byłem w domu Fajczarza?

- Nie uwierzyłabym.

- Jak babcię... I jeszcze jedno - ten z krzywym nosem nie jest wcale oficerem milicji, lecz...

- Odkryłeś Amerykę. Wiem o tym już od kilku godzin. Byłam w komisariacie...

- To gratuluję. A czy wiesz, co było dzisiaj na obiad na ulicy Cienistej pod czternastką?

- Płetwa rekina po chińsku.

- Nie doceniasz mnie. Zrobiłem piramidalne odkrycie. Fajczarz i ten magister...

- Jaki magister?

- No właśnie, zapomniałem ci powiedzieć, że ten Krzywonos jest magistrem ekonomii.

- Nie wierzę. Kto ci tak naplótł?

- Fajczarz. Oni razem stołują się na Cienistej pod czternastym.
- Bujasz, człowieku, bo chcesz się usprawiedliwić.
- Jak nie wierzysz, to nie...
- I mówisz, że byłeś w pokoju Fajczarza?
- Tak. Tylko wylał się sok malinowy i nie mogłem rozpracować całej sprawy Wygląda na to, że Fajczarz jest ornitologiem.
- Jakim orni... Co ty wygadujesz?
- Tak nazywają ludzi, którzy zajmują się ptakami.
- Fajczarz... ptakami. Tyś chyba z pieca spadł.
- Nie wierzysz, to nie.
- No mów, bo to zaczyna być zabawne.
- On poza tym jest szpiegiem - wyszeptał.
- Szpiegiem czy ornitologiem?
- Jednym i drugim. Maskuje się, kapujesz?
- Skąd to wiesz?
- Bo czytałem jego nie dokończony list.
- List? Czytałeś ten list?
- Znalazłem go na stole między atlasami ptaków.
- Napisał tak normalnie, że jest szpiegiem?
- Nie. Pisał do jakiegoś faceta, że ma tajemniczy plan...
- To jasne, że ma - wtrąciła.
- Nie przeszkadzaj. I że początek poszedł mu bardzo dobrze.
- Jaki początek!
- No, tego planu. A potem pisał, że do akcji musiał wciągnąć pewną sympatyczną kobietę...
- Brawo, to się już sprawdza. Mów dalej, bo to bardzo ważne.

- No i... wyobraź sobie, że ten Krzywonos działa razem z nim, bo Fajczarz napisał, że chce go wciągnąć do roboty.

Dziewczyna syknęła z wrażenia.

- Ty nie jesteś taki mięczak, jak przypuszczałam.

- No co? Dobrze się spisałem?

- Tak, sierzancie. Od pierwszego dostaniesz podwyżkę.

- Nie żartuj, bo to poważna sprawa. A najważniejsze, że pisze, iż do siatki musi skaperować kogoś z młodzieży.

- Czy to takie ważne?

- Jasne, że tak. Może ktoś z nas z głupia frant tak zagra swą rolę, że ten go zaangażuje.

- Brawo! Ty mnie zupełnie zaskakujesz. Jak myślisz, kto z nas lepiej się nadaje?

- Oczywiście ty - rzucił z przekąsem. - A teraz trzeba działać ostrożnie i odebrać Krzywonosowi figurkę.

Zula przymrużyła powieki.

- Czy jesteś pewny, że tańczący słoń jest u Krzywonosa?

- Jak dwa plus dwa...

- Nie zawsze musi być cztery - przerwała mu dziewczyna. - Rozejrzyj się po pokoju, może zobaczysz coś ciekawego.

Bartek powiódł wzrokiem po ścianach i sprzętach.

- Myślisz o cieście?

- Nie, gamoniu. Rozejrzyj się jeszcze lepiej.

- Daję słowo, że nic ciekawego nie widzę.

- A na półce z książkami?...

Wzrok Bartka zatrzymał się na półce. Chłopiec najpierw zbladł, potem przełknął z trudem ślinę, by wreszcie wyszeptać:

- Zulejka, czy to sen, czy jawa?

- Jawa, kochasiu. I co ty na to?

- Może ty ją tutaj przyniosłaś?

- Nie.

- A może to zupełnie inna figurka?

- Nie. Sprawdziłam. To ta sama, którą Fajczarz zakopał na wyspie. Ma na dole rysę, a trąba jest wyszczerbiona.

- Niewiarygodne - westchnął. - Co z nią teraz zrobimy?

W oczach Zulejki pojawiły się wesołe błyski.

- No cóż, musimy ją stąd wynieść, by przekonać się, co jest w środku.

- Wynieść od pani Żednickiej?

- Sam mówiłeś, że w tym liście Fajczarz pisał, iż zwerbował jakąś sympatyczną kobietę.

- Panią Żednicką? - zastanowił się. - To zupełnie zaskakujące, lecz możliwe.

- Możliwe? - Zulejka uśmiechnęła się. - Brachu, to zupełnie pewne.

Na tym chwilowo skończyli rozmowę, gdyż Muminek stanął na środku pokoju i tubalnym głosem zawołał:

- Szanowni goście, do ciasta! Tylko proszę się nie pchać i brać po jednym kawałku!

CO BYŁO W TYM BIAŁYM PAPIERKU?

- Jak ci smakuje ciasto? - zapytał Muminek Zulejkę.

- Świetne.

- Tylko nie jedz za dużo, bo jutro u mnie drugie przyjęcie.

- Czy to nie za często?

- Nie, bo dzisiaj moje imieniny, a jutro urodziny.

- To wiesz. - Dziewczyna wzięła malca za rękę i zaprowadziła do kąta pod oknem. - Słuchaj - zapytała - od jak dawna twoja babcia ma tańczącego słonia?

- Jakiego tańczącego?

- No, tego z porcelany, co stoi na półce.

- Tego? Przecież powiedziała ci, że od wojny.

- Czy to pewne?

- Nie wiem, bo ja wtedy jeszcze nie żyłem, a ten słoń, mówię ci, to historyczny zabytek.

- Chciałeś powiedzieć - historyczny.

- Legendarny, mówię ci. A babcia to się nad nim trzęsła jakby był ze złota. Nie pozwala mi go dotykać.

- Czy nigdy nie wspomniała, że w tym słoniu coś jest?

- Nie pamiętam. Raz tylko powiedziała, że jest w nim... Przerwał, jak gdyby chciał się z nią droczyć.

- No co? Co? - ponagliła go.

- Jest w nim wielki urok.

- Eee... - rozczarowała się. - Może kiedyś wspomniała, że ta figurka ma jakieś nadzwyczajne właściwości?

- Może.

- Przypomnij sobie, co mówiła o tańczącym słoniu.

- Mówiła: ręka, noga...

- Jaka ręka, noga?

- No... że jak go upuszczę, to ręka, noga, mózg na ścianie.

- Nie popisuj się. Babcia mówiła, że ten słoń ma swoją legendę.

- Oczywiście, że ma.

- Może sobie przypominasz, jaka to legenda?

- Jasne, że tak.

- No to powiedz.

Muminek zaczerpnął głęboko powietrza, oczy wbił w sufit i zaczął z wielką powagą.

- Kiedyś, dawno... dawno... był porcelanowy słoń. - Zamilkł i spojrział łobuzersko na Zulejkę.

- A dalej co?

- Nie wiem, bo w tym miejscu zawsze zasypiałem.

Zula klepnęła go w plecy.

- Baj, baj... Z ciebie nic nie można wyciągnąć. - Skinęła mu ręką i truchcikiem podeszła do Bartka, który ze Zbyszkim rozmawiał o samochodach.

- Mówię ci - opowiadał Zbyszek cały w pąsach - że jak zobaczyłem tego porsche'a, to chciałem zwariować.

Zulejka wkroczyła między nich.

- Czy nie możecie o czym innym, tylko o motoryzacji?

- Nie przeszkadzaj - rugnął ją Zbyszek. - A wy, dziewczęta, zawsze o kieckach i modzie.

- To nie ja.

Bartek mrugnął porozumiewawczo.

- Wydębiłaś coś od tego gnoma?

- Nie. Trzeba to inaczej załatwić.

W drugim kącie, przy drzwiach, dwie panny Downarówny tańczyły w takt radiowej muzyki. Wyglądały jak dwie kukielki pociągane miarowo za sznurek.

Pani Downarowa klasnęła w dłonie:

- Chłopcy, nie widzicie, że panny nie mają partnerów? Czesiu, Zbyszku, Bartku, nie wstyd wam?

- Mnie nie wstyd - mruknął Muminek.

Bartek i Zbyszek udali, że nie słyszą zachęty. Tymczasem dwie panny stanęły na środku pokoju w oczekiwaniu na partnera, lecz nikt z chłopców nie kwapił się, by je zaprosić do tańca. Nastała chwila zakłopotania. Wszyscy gapili się na wszystkich i nikt nie wiedział, co począć.

Kłopotliwą sytuację rozładowała babcia Żednicka.

- Szanowna młodzieży - klasnęła w dłonie - teraz zabawimy się w fanty.

- Eee... - jęknął Muminek. - To nie zabawa.

W bystrym umyśle inspektora policji zrodził się zuchwały plan. Teraz albo nigdy - pomyślała Zulejka i stanęła obok pani Żednickiej.

- Świetny pomysł! - zawołała, a gdy nikt nie zgłosił sprzeciwu, usiadła na środku pokoju i rozkazała: - Siadajcie w kółko. Znacie chyba zasady zabawy?

Nikt nie zaprzeczył, więc pierwsza zadała pytanie. Była tak dowcipna i zabawna, że wnet rozkręciła młodociane towarzystwo. Nawet dwie panny Downarówny przestały się nudzić i mieć za złe.

Zulejka co chwila zerkała w stronę półki. Tańczący słoń z podniesioną wysoko trąbą tkwił w tym samym miejscu. Dziewczyna drżała, by nie nastąpiło coś nadzwyczajnego, co mogłoby pokrzyżować jej plany. Na szczęście wszystko poszło gładko i gdy na nią przyszła kolej dać fant, ruszyła drobnymi kroczkami w stronę półki.

- Proszę pani - zwróciła się do babci Żednickiej - czy mogę dać tego tańczącego słońca?

Babcia wzdrygnęła się. Zdziwiony wzrok skierowała na Zulejkę. Chwilę milczała, lecz gdy dziewczyna sięgała po figurkę, dała się zaskoczyć.

- Oczywiście, moja droga, tylko uważaj...

W tym samym momencie Zulejka porwała figurkę. Uczyniła to tak gwałtownie i niefortunnie, że wyleciała jej z ręki, poszybowała nad półką, odbiła się od tapczanu i z hukiem upadła na podłogę.

Wszyscy zamarli. Z ust babci Żednickiej wyrwał się cichy okrzyk grozy. Porcelanowy słoń rozbił się na kawałki, a z jego wnętrza na podłogę wyleciała wata, mało zwitki papieru i jeszcze coś... Coś małego jak perłowy guziczek od koszuli. To coś błysnęło tęczo i potoczyło się pod tapczan w miejscu, gdzie siedziała kobieta w czerni. Zulejka rzuciła się szczupakiem za ginącym pod tapczanem świecidełkiem, lecz pani Irma uprzedziła ją. Zsunawszy się na klęczki, sięgnęła pod tapczan. Ich palce spotkały się. Zulejka wyczuła, jak tamta zaciska dłoń.

Przegrałam - pomyślała, lecz dotknawszy powtórnie ręki pani Irmy, stwierdziła, że jej zaciśnięta dłoń wiotczeje, jakby coś upuściła. Dziewczyna wodziła dłonią po omacku, lecz zamiast świecidełka, zgarnęła garść kurzu.

Obie jednocześnie zrezygnowały z dalszych poszukiwań i obie podnosiły się z klęczek, a gdy się wyprostowały, napotkały pytające spojrzenie pani Żednickiej.

Pani Irma otrzepywała dłonią spodnie.

- Trzeba odsunąć tapczan - powiedziała przygaszonym głosem.

Dziewczyna spojrzała na nią wyzywająco.

- Mnie się zdaje, że pani to już podniosła.

Tamta umknęła wzrokiem w bok.

- To ci się tylko tak zdawało.

- Jestem prawie pewna.

Pani Irma wzruszyła ramionami, a dla zatuszowania drżenia w głosie zapytała głośno:

- A właściwie co to było?

Wszyscy skierowali wzrok na babcię Żednicką. Stała pod oknem z wyciągniętą ręką, jak gdyby prosiła o zwrot zguby. Ręka jej drgnęła, a w jej żywych oczach można było wyczytać wielkie zakłopotanie.

- Proszę państwa - powiedziała cicho - ja tę figurkę dostałam w Budapeszcie podczas oblężenia miasta. Sama jestem zdumiona, bo do tej pory byłam święcie przekonana, że figurka jest pusta.

- Czy pani była pewna, czy też nie myślała pani o tym? - zapytała pani w czerni i dodała po chwili znacząco: - Bo to jednak jest duża różnica.

- Nie rozumiem pani - powiedziała babcia Żednicka i uśmiechnęła się tajemniczo. - Zresztą, to nie ma znaczenia.

Teraz spoza pleców czarnej damy wyłoniła się okrągła i zwalista postać pani Downarowej. W jej oczach jarzył się blask zaciekawienia, a policzki pałały ceglastym rumieńcem.

- To niebywałe... Niebywałe... - powtarzała z egzaltacją. - Pani Doroto, może jednak wyjawiam pani tajemnicę. Jesteśmy wszyscy szalenie ciekawi... No i te papierki...

Babcia wzruszyła ramionami. Zostawiła panią Downarową bez odpowiedzi. Rozejrzała się, chcąc zbadać, gdzie upadły papierowe zwitki, lecz na podłodze już ich nie było.

- Co się z nimi stało? - wyszeptała żałośnie zdumiona. - Czy to cud, czy...

- Nie martw się, babciu - wtrącił niezwykle poważnie Muminek. - Ja już pozbierałem te brylanty.

- Brylanty! - Pani Downarowa zachłysnęła się własnym oddechem. - Przecież to miliony. Pokaż - zwróciła się do Muminka.

Babcia stanęła między nimi.

- Czesiu! Co też ty opowiadasz. Przecież pani widzi, że żartujesz.

Malec naburmuszył się.

- A może nie brylanty? - zamrugał zabawnie okrągłymi jak guziki oczkami. - Przecież sama kiedyś powiedziałaś do mamy... że...

- Uspokój się - przerwała mu stanowczo. - Tych pań nie obchodzi, co mówiłam kiedyś do mamy. - Ach - uśmiechnęła się skąpo - pamiętam, kiedyś moja córka starała się o mieszkanie, a ja żartem powiedziałam: „Gdyby w tej figurce były brylanty, tobym ci kupiła wspaniałą willę”.

- Może pani przecież sprawdzić, co jest w tych papierkach - nastawała rozgorączkowana pani Downarowa. Z wyrazu twarzy, a zwłaszcza z biżuterii, którą była obwieszona, dało się wnioskować, że sama myśl o drogich kamieniach wprowadza ją w stan upojenia.

Babcia Żednicka skinęła na wnuka.

- Czesiu, daj mi te zwitki. - Chłopiec bez słowa oddał trzymane w zaciśniętej pięści domniemane skarby. Wszyscy zebrali się wokół babci. Pałającymi ciekawością oczyma śledzili każdy jej ruch. Ona tymczasem wybrała jeden ze zwitków. Rozwinęła go. Któreś z dzieci zawołało:

- Eee... przecież to zwykły papier.

Pani Żednicka uniosła go wyżej. Na miniaturowej rolce cienkiego jak bibułka papieru widniały rzędy dziwnych znaków. Z daleka można było sądzić, że to bibuła upstrzona przez muchy.

- Dziwna rzecz - westchnęła rozczarowana pani Downarowa.

Babcia pokiwała tylko głową.

- Nie widzę w tym nic dziwnego. Tylko ludzie zawsze chcą mieć sensacje.

Zulejka, która w milczeniu przypatrywała się całej tej scenie, podeszła do pani Żednickiej:

- Przepraszam, czy może pani rozchylić dłoń?

- Oczywiście - odparła zaskoczona i rozwarła palce.

Dziewczyna spośród zwitków wyjęła niewielki kawałek czystego papieru. Pokazała go wszystkim.

- W tym papierku było to coś, co poleciało pod tapczan.

Pani Irma ogarnęła ją spłoszonym spojrzeniem.

- Z czego to wnioskujesz?

- Po pierwsze, widzieliśmy, że pod tapczan potoczyło się coś błyszczącego, a po drugie, na tym kawałeczku nie ma żadnych znaków i nie był zwinięty.

- No, proszę, proszę, jaka jesteś spostrzegawcza.

Zulejka przymrużyła łobuzersko oczy.

- Tylko nie wiadomo, kto podniósł tę błyskotkę.

- To nieważne, moja miła - rzuciła pospiesznie babcia. - Jutro rano odsunie się tapczan i na pewno zguba się znajdzie.

- A jeżeli się nie znajdzie? - zapytała Zulejka z naciskiem i uśmiechnęła się tajemniczo.

KTO ROZSZYFRUJE TO PISMO?

- Ty, Zulejka - powiedział Bartek, kiedy wyszli z pokoju - mówiłem ci, że to siatka szpiegowska.

- To trzeba jeszcze sprawdzić - odparta zamyślona

- Przecież wszystko się zgadza. Wszystko jest tak, jak w tym nie dokończonym liście. Tylko szkoda, żeśmy nie zdmuchnęli takiego zwitka.

Dziewczyna przymrużyła figlarnie oko.

- Skąd wiesz, że nie?

- No bo...

Sięgnęła do kieszeni, dwoma palcami wyciągnęła zwitek i zamigała nim chłopcu przed nosem.

- Wiesz - zawołał - jesteś naprawdę piramidalna

- Po prostu mam dobry refleks. Kiedy wstawałam z klęczek, przy pantoflu tej żalostnej mortadeli Armii zobaczyłam jakiś papierek, więc rozumiesz, zrobiłam, co trzeba było zrobić.

- Fantastyczna sprawa... Tylko kto nam rozszyfruje to znaki?

- Już teraz się martwisz? A może to przepis na pieczeń z płetwy rekina.

- Nie żartuj... I jeszcze jedna zagadka: co poleciało pod tapczan?

- Brylant - odparła bez namysłu.

- Skąd wiesz, że brylant?

- Wydedukowałam z miny tej żalostnej mortadeli.
- Czy to można w ten sposób cokolwiek wydedukować?
- Nie martw się. Znam się na tym.
- I myślisz, że ona podniosła ten brylant?
- Nie myślę... Jestem pewna. Bo jak sięgnęłam pod tapczan, to ona już go miała w zaciśniętej dłoni.
- Nie mogłaś jej wyrwać?
- Śmieszny jesteś. Gdybym mogła, to mielibyśmy teraz ważny dowód rzeczowy. A tak - westchnęła - czeka nas jeszcze poważna robota

- Jaka?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Jaka? Jaka? Czy ty nie możesz sam pobudzić swych szarych komórek do pracy?

- Już wiem, będziemy musieli ją śledzić.

- I tę robotę powierzam tobie, sierżancie.

- Wspaniale. Gdzie ona mieszka?

- Tam gdzie jej córka, ta blada Małgosia, która na plażę przychodzi z pinczerkiem i cały czas siedzi pod parasolem.

- W „Jantarze”. A kto to w ogóle jest ta pani Irma?

- Ba, gdybym wiedziała, to nie powierzałabym ci tej roboty.

- Jedno jest pewne, że to znajoma babci Żednickiej. I od babci można się dowiedzieć...

- No, nareszcie zacząłeś dedukować. Mogę ci tylko powiedzieć, że to najbardziej podejrzana osoba z nich wszystkich.

Wyszli do ogrodu. Noc była ciepła, pachniało maciejką, a cały ogród tonął w świetle stojącego nad lasem księżycy.

Zulejka westchnęła.

- Uff... Jak na jeden dzień to za dużo sensacji. Konam ze zmęczenia.

- Wyśpisz się, a jutro od świtu zabieramy się do roboty. - Spojrzał na swego szefa. Zulejka

przymknęła oczy. Jej twarz w świetle księżyca wyglądała jak maska. - Odprowadzę cię do kempingu - powiedział stanowczo.

- Dziękuję ci, błagam, nie mówmy już o tej sprawie, bo mi się kręci w głowie.

Kiedy wracał z kempingu do „Goplany”, zbliżając się do furtki spostrzegł, że po przeciwnej stronie ulicy jakiś mężczyzna przygląda się oświetlonym oknom pensjonatu. Sylwetka wydała mu się znajoma. Przeszedł więc na drugą stronę i udając, że nie zauważył ukrytego za drzewem mężczyzny, minął go.

- Krzywonos - wyszeptał zdumiony i niemal jednocześnie usłyszał jego głos:

- Dobry wieczór. Czy ty może mieszkasz w tym pensjonacie?

Bartek zatrzymał się gwałtownie.

- A jeśli nie, to co? - odparł zaczepnie.

Tamten zbliżył się do niego. W poświacie księżyca jego twarz wydawała się płaska i bez wyrazu.

- Nic. Tylko pytam.

- Poznaje mnie pan? - wykrztusił. Chciał mówić spokojnie, lecz czuł, że nie może opanować drżenia głosu.

- Nie bój się. Ja nie jestem taki groźny, jak sobie wyobrażasz.

- Czego mam się bać? - wzruszył ramionami, a potem dodał z przekąsem. - Bardzo mi miło spotkać pana, panie magistrze.

Tamten uśmiechnął się tajemniczo.

- Nie jestem wcale magistrzem. Ktoś cię źle poinformował.

- A kto jada z panem obiady na Cienistej pod czternastym?

- Aaa... ten miły starszy pan, którego tak zawzięcie śledziłeś w porze obiadowej.

Pod chłopcem ugięły się nogi. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, skąd tamten wie o zmudnie spędzonym na dreptaniu po piętach Fajczarza popołudniu. Zamurowało go na chwilę, lecz wnet ocknął się i rzucił niemal zuchwale:

- To pan jednak jest gliną. I w ogóle, skąd pan wie, że...

- Śledziłeś tego pana ornitologa? - dokończył Krzywonos żartobliwym tonem. - Nie jestem gliną, jak sądzisz, lecz mam dobre oko i zauważyłem, że tropisz go ze śmiertelną powagą.

- To właściwie kim pan jest? Raz oficerem milicji, raz magistrzem ekonomii, a może... - zająknął się.

Krzywonos uśmiechnął się tajemniczo.

- Gdybym ci powiedział, to i tak byś mi nie uwierzyła. Ustalmy, że jestem panem Iks.

- Iks z wieloma niewiadomymi - kpił przekornie chłopiec. - Ale mnie najbardziej interesuje, dlaczego pan zabrał nam niewinną figurkę.

- Przypuśćmy, że mi się podobała.

- Gdyby się panu podobała, to nie oddałby jej pan właścicielce.

Krzywonos uniósł lekko brwi, a oczy zaokrągliły mu się ze zdziwienia.

- Właścicielce? - powtórzył. - Grubo się mylisz, bo nikomu tej figurki nie oddałem.

- Myślałby kto, że uwierzę.

Mężczyzna sięgnął wolno do kieszeni sportowej kurtki i wyjąwszy figurkę, uniósł ją na wysokość twarzy chłopca. Bartek jęknął.

- To... to... znaczy, że są takie dwie figurki? - wyszeptał jakby nie wierzył własnym słowom.

Krzywonos śledził każdy jego ruch, każde drgnięcie jego twarzy

- Dwie? - chrząknął znacząco. - Dwie, a może więcej. Mnie na przykład ciekawi ta druga, o której wspomniałeś.

- Mogę panu poradzić, żeby pan się nie fatygował, bo ta druga nie istnieje.

- Rozpłynęła się czy przemieniła w smoka?

- Po prostu stłukła się na drobne kawałki.

- Bęc, to dopiero ciekawa historia.

- Jak dla kogo... - powiedział z namysłem. - Wypytuje mnie pan jak w śledztwie, a czy ja mogę panu zadać jedno pytanie?

- Proszę bardzo.

Bartek spojrzał mu natarczywie w oczy.

- Czego pan szuka tutaj pod „Goplaną” i czego wypatruje w oknach?

- Może ciebie, chłopcze, a może kogoś innego.

- To nie jest odpowiedź.
- Mam być szczery?
- Na to tylko czekam i umieram z ciekawości.
- Interesuje mnie jedna pani, która mi się bardzo podoba.
- Może taka na czarno ubrana? - strzelił na chybił trafił.
- No, proszę - pokręcił z uznaniem głową - jesteś domyślny i spostrzegawczy.
- I nic już więcej panu nie powiem. Niech pan sam zbiera informacje.
- Nie zrozumiałeś mnie. Mówię ci, że ta pani mi się podoba i chciałbym ją poznać.
- To niech pan szuka jej w „Jantarze”.
- O, widzisz, jednak dowiedziałem się tego, co mnie najbardziej interesuje.

Bartek aż syknął ze złości. Dopiero teraz zorientował się, że Krzywonos w sposób dziecinnie łatwy wyłudził od niego informacje. Niby to udawał franta, a tym czasem podchodził go jak szczwany lis. Naburmuszył się.

Krzywonos klepnął go lekko w ramię.

- Dziękuję ci za wiadomości i polecam się na przyszłość. Uniósł rękę pożegnalnym gestem. Bartek stał chwilę rozdrażniony. Wnet jednak pocieszył się, że zdobył od tego tajemniczego osobnika równie ważne wiadomości.

Spojrzał w okno swego pokoju. Było przyciemnione zaciągniętą firanką, tylko w jednym kącie pokoju paliło się światło. Widocznie ojciec czytał w łóżku. Jeszcze raz się obejrzał, Krzywonos zniknął już za szpalerem drzew. Chłopiec westchnął, a potem wyszeptał:

- Poczekaj, chytrusie, jeszcze się spotkamy, a wtedy będziesz żałował.

TO JUŻ PEWNE... SIATKA SZPIEGOWSKA!

Ranek był pogodny. Poprzez konary drzew przeciekały skośne promienie słońca, tworząc świetliste kotary.

Kiedy pierwszy promyk przedarł się przez uchylone okno przyczepy samochodowej, Zulejka przeciągnęła się i ziewnąwszy, spojrzała na legowisko ojca. Spod nasuniętego na głowę śpiwora sterczały tylko ciemne skudłone włosy.

Śpi staruszek - pomyślała. - Niech sobie śpi. W nocy wypływał łodzią na ryby. - Jak gdyby dla potwierdzenia tych słów, spojrzała na bańkę w kącie, w której poruszały się ryby. - Okonie - oszacowała fachowo. - Będziemy mieli pyszny obiad.

W tym momencie, jakby pchnięta niewidzialną siłą, wyskoczyła z ciepłego legowiska. Przez jej wyobraźnię w błyskawicznym skrócie przewinął się sensacyjny film wczorajszego dnia. W umyśle pani inspektor zrodził się logiczny wniosek - trzeba działać! Chwyliła więc ręcznik i mydło, cicho wymknęła się z przyczepy, a potem, podtrzymując spadające spodnie piżamy, sprintem pobiegła nad jezioro.

Chwilę stała urzeczona widokiem. Tafla jeziora marszczyła się lekko. W jej zwierciadle odbijały się przybrzeżne drzewa. Delikatne światło wysrebrzyło wodę i wyłocilo wysokie trzciny. Spoza trzin wypłynęła kaczka z całym sznurem kaczątek. Z daleka wyglądały jak zabawki. I wielki perkoz wyłonił się z wody. Trzymał w dziobie szamoczącą się rybkę. Zdawało się, że dziób pulsuje mu srebrem.

Zulejka oczarowana grą światła na tafli jeziora westchnęła radośnie. Wnet jednak, przypomniawszy sobie o czekających ją obowiązkach, podkasła spodnie piżamy, weszła ostrożnie do wody. Brrr... wstrząsnęły nią dreszcze. Nic więc dziwnego, że pani inspektor, nie tracąc czasu, obryzgała sobie twarz i na tym skończyła poranną toaletę. Miała już wracać, gdy wtem na wydeptanej przez wędkarzy ścieżce ujrzała Fajczarza. Tym razem nie miał fajki ani dżinsowego stroju. Był w dresie. Szybkim truchtem przemierzał umykającą przed nim przestrzeń.

- Sportowiec - wyszeptała ze zjadliwą ironią. Tak ją zaskoczył, iż pozwoliła mu zniknąć za poszarpaną linią trzin. Wnet jednak rzuciła mydło i ręcznik i bez namysłu ruszyła w pościg.

Ścieżka prowadziła poprzez gęste zarośla brzegiem jeziora. W miejscu, gdzie brzeg wznosił się stromo nad wodą, wspinała się łagodnym zakosem pod skarpą porośniętą starymi bukami. Fajczarz z lekkością nastolatka pokonał wzniesienie. Zulejka tymczasem, zaplątawszy się w opadających do kolan spodniach piżamy, potknęła się i tak mocno wyrznęła nosem w pień, że w pogodny poranek ujrzała na niebie wszystkie gwiazdy. Kiedy się pozbierała, Fajczarz zniknął już za przechyłem. Zacisnęła więc zęby i podtrzymując obiema rękami nieszczęsne spodnie, wspięła się na skarpę. A wtedy... Nie, to już przekraczało wyobraźnię nawet inspektora policji. Na niewielkiej polance, wśród wysokich paproci, ujrzała obok Fajczarza babcie Żednicką. Babcia wcale nie przypominała wczorajszej babci. Tryskała czerstwym zdrowiem i radością życia, a jej ubiór stanowiły sportowy dres i tenisówki.

O, moi państwo - pomyślała dziewczyna - ładne miejsce wybraliście sobie na tajne spotkania. - Ukryła się za pękającym pnem, z wypiekami na twarzy obserwowała konspiratorów.

Oni tymczasem dreptali w miejscu, unosząc wysoko kolana jak lekkoatleci przed startem.

Dreptajcie sobie, dreptajcie - snuła myśl. - Zobaczymy, co z tego dreptania wyniknie.

Po chwili tamci przerwali dreptanie, usiedli na powalonym pniu i toczyli ze sobą ożywioną rozmowę. Ich głosy nie dochodziły do Zulejki, lecz z gwałtownych ruchów rąk i z wyrazu twarzy można było wywnioskować, że są czymś wzburzeni.

No, jasne - drwiła pani inspektor - znaleźli się w opalach Wyszło szydło z worka, a raczej z siatki szpiegowskiej, bo teraz nawet osesek mozo się zorientować, że motają jakąś delikatną nić szpiegowskiej roboty. Będziouo mmlsi się z pyszna, gdy was nakryjemy...

Urwała tę myśl, gdyż zobaczyła, że babcia spod bluzy diesu wyimiit! jakieś zawiniątko i oddaje Fajczarzowi. Ten delikatnie je rozwiązał Min.; mul nietęgą, a samopoczucie zapewne gorzej niż podłe, bo z przejęciem kionl o,low.

A, czarodzieje - uśmiechnęła się sarkastycznie dziewczyna iizwn-m.co jest w tym pakieciku. Mogę dać głowę, że skorupy'stłuczonego slom.i i zwitki z szyframi. Babcia zapewne nie potrafiła rozszyfrować tajnych pizok.izow A ten cwany wykwinł i bubeł aż się pali, żeby jak najszybciej odczytać pizostanę z centrali wiadomości. Cwaniacy, niby uprawiają ranne przebieżki, niby mzkoszują się pięknem przyrody, a tymczasem...

Tymczasem Fajczarz schował pod bluzą zawiniątko i oboje zaczęli dreptać, jakby chcieli wydreptać dziurę w leśnym poszyciu, l nagle zawrócili...

Zulejka padła na ziemię, rozpląszczyła się jak żaba. Chciata przesunąć się za drugi, bardziej od ścieżki oddalony pień, ale było już za późno. Biegący z mło-

dzieńczą werwą Fajczarz o mały figiel nie nadepnął na rękę inspektora. Nn widok Zulejki zatrzymał się gwałtownie.

- Co ty tu robisz, dziewczuszko? - przywitał ją zdumiony.

Zulejka zerwała się i - mimo woli - zaczęła dreptać w miejscu jak oni przód chwilą.

- Nie widzi pan, że trenuję?

- Zulejko - zawołała babcia, wyłaniając się spoza pleców Fajczarza - dlaczego zachowujesz się tak dziwnie?

Dziewczyna uśmiechnęła się drwiąco.

- To pani też lubi truchtać po lasach? - rzuciła wymijająco i podtrzymując opadające spodnie zaczęła podskakiwać. - Co się tak na mnie gapicie? Trenuję, bo chcę startować w biegu maratońskim „Trybuny Ludu”.

- To pięknie, bardzo pięknie - pokiwał głową Fajczarz.

- A państwo to co? - rzuciła zuchwale.

- Zdziwisz się - pani Żednicka zaczęła truchtać obok dziewczyny - bo ja, mimo że jestem już babcią, codziennie przebiegam dziesięć kilometrów.

- Z tajemniczą paczuszką za pazuchą - wtrąciła uszczypliwie. - Niech pani nie myśli, że jestem taka naiwna.

Zamienili płochliwe spojrzenia, a potem Fajczarz uśmiechnął się chytrze.

- A ty, moja droga, śledzisz nas już od świtu.

- To się panu tak zdaje. Myłam się w jeziorze, a wy mieliście po prostu pecha, że napatoczyliście się na mnie.

Pani Żednicka pokiwała głową.

- Zulejko, czy tobie nie szkoda czasu na takie głupstwa?

- Jestem na wakacjach, proszę pani, i robię to, na co mam ochotę.

- Ale zachowujesz się dziwnie, powiedziałabym nawet cudacznie. Wczoraj upuściłaś celowo tę figurkę...

Dziewczyna przymrużyła oko i dokończyła:

- ...którą teraz ten pan ma pod bluzą.

- Czy widzisz w tym coś dziwnego?

- Od chwili, gdy ten pan zakopał tę figurkę na wyspie, niczemu się nie dziwię.

Pani Żednicka chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz Fajczarz uprzedził ją skwapliwie.

- Mówiłem pani - zwrócił się do babci - że ta oto młoda osoba posądza mnie...

- Tere-fere. - Wykrzywiła się pociesznie. - Chce mi pan wmówić, że nie zakopywał tańczącego słonia, a ja widziałam na własne oczy.

- Nie unoś się - wtrąciła pojednawczo babcia. - Dziewczęta w twoim wieku...

- Już wiem, co chce pani powiedzieć, że w moim wieku ma się często przy widzenia i...

- Tak, tak - podjął Fajczarz. - Musisz, moja droga, zastanowić się nad tym, a gdy wrócisz do Warszawy, poprosić matkę, by cię zaprowadziła do dobrego lekarza. - To powiedziawszy skinął głową na panią Żednicką. - Idziemy, pani Doroto.

Ta zawahała się. Pobiegła kilka kroków za partnerem, lecz wnet zatrzymała się i zawołała do Zulejki:

- Jeżeli chcesz ze mną porozmawiać, to przyjdź śniadaniu.

- Bardzo chętnie - odchrząknęła dziewczyna - bo mam do pani kilka arcyciekawych pytań i chciałabym usłyszeć legendy o tańczącym słońcu.

NOWA POSTAĆ NA HORYZONCIE

- Wstawaj, Bartek. - Ojciec szarpnął chłopca za ramię. - Wstawaj, chłopie, bo już późno.

- Która godzina? - zapytał zaspanym głosem.

- Za dziesięć dziesiąta.

Bartek zerwał się z łóżka, usiadł na krawędzi i trąc pięściami oczy, zamamrotał:

- To nie mogłeś mnie wcześniej obudzić? Przecież prosiłem cię.

- Budzę cię już od wpół do ósmej, a ty śpisz jak zaczarowany

- Trzeba mnie było oblać zimną wodą.

- Chciałem nawet to zrobić, ale pomyślałem, że nie wypada w ten sposób budzić indiańskiego wojownika.

- My się już w Indian nie bawimy.

- To dlaczego chciałeś wstać tak wcześnie?

- Bo mam coś do załatwienia.

- Rozumiem. - Pokiwał z niedowierzaniem głową. - Śniadanie masz na stole, a herbatę w termosie. Tylko pamiętaj, żebyś przyszedł punktualnie na obiad, nie tak jak wczoraj.

Bartek ziewnął jak przebudzony hipopotam, zwlókł się z łóżka i przecierając oczy, podreptał do stołu.

- Papo, czy ty dobrze znasz panią Żednicką?

- Dobrze, to przesada. Widywałem ją w wydawnictwie. Jest redaktorem w dziale, który wydaje moje książki.

- O UFO?

- Nie tylko. A dlaczego pytasz?

- A tak sobie... - Smarował szybko chleb masłem. - Może mówiła ci kiedyś o porcelanowej figurce przedstawiającej tańczącego słonia?

- Nie... nigdy.

- A czy ona nie wydaje ci się podejrzana?

Papa uniósł ręce gestem zdziwienia.

- Bartek, co ci nagle przyszło do głowy?... Przecież to ogólnie szanowana i najuczciwsza kobieta. Słuchaj, jedz szybciej śniadanie, bo widzę, żeś się jeszcze nie obudził.

Nie trzeba było zapraszać go do jedzenia. Z szybkością głodomora sprzątnął chleb, kiełbasę, twaróg... Umoczył w umywalce koniec nosa, wbił się w szorty i koszulę, a potem jak torpeda wypadł z pokoju.

Świadomość, że pani Irma - Żaloszna Mortadela, jak ją Zulejka dowcipnie nazwała - mogła już wyjść z hotelu, pędziła go jak wiatr. Już był w korytarzu, już zbiegł ze schodów, gdy nagle zobaczył zjeżdżającego po poręczy Muminka.

- Cześć, Muminek - rzucił mu w biegu, lecz myśl, że może wydębić od niego ciekawe wiadomości, zatrzymała go w progu drzwi. - Słuchaj, stary - zaczął podstępnie - czy babcia znalazła już ten brylant, który wpadł pod tapczan?

Malec zmarszczył zabawnie nos i odparł z całą powagą:

- Jaki brylant?

- Nie udawaj, sam przecież mówiłeś.

- Ja? To ci się coś pomieszało.

- Mówiłeś, zgniłku, a teraz się wypierasz.

- Może mówiłem, ale dawno już o tym zapomniałem.

- Czy twoja babcia dobrze zna tę panią Irmę? Kapujesz, tę w czarnych spodniach.

Muminek wzruszył ramionami i rzucił niechętnie:

- Dlaczego?

- Jak to - dlaczego?

- Dlaczego mnie o to pytasz? Zapytaj babcie.

- Gdyby babcia tu była, to zapytałbym ją.

- Dlaczego?

- Co - dlaczego?

- Dlaczego właśnie ją?

- Bo nie ciebie.

Muminek skrzywił się, zerknął na Bartka niemal wzdorliwie.

- Ej, z tobą to nie można poważnie porozmawiać. Powiedz lepiej, czy będziemy się bawić w Indian?

- A ty stajesz się coraz bardziej tajemniczy. - Chwycił chłopca za ramię i przyciągnął bliżej. - Powiedz, może ty z nimi trzymasz spółkę?

- Z kim?

Bartek nie zdążył odpowiedzieć, gdy w drzwiach klatki schodowej zjawił się nagle wytworny młodzieniec. Na jego widok w oczach Muminka pojawił się wyraz wrogości, a kiedy nieznajomy przechodził obok niego, złapał go za mankiet koszuli

- Tolo, zmywaj się, bo jak cię babcia zobaczy, to cię wyrzuci na zbitą twarz - zawołał.

Bartek dopiero teraz baczniej przyjrzał się młodzieńcowi. Był to szczupły, można powiedzieć, wiotki młody mężczyzna o pięknej, lecz nieco banalnej twarzy.

Wysokie czoło, bujne czarne włosy uczesane wedle najnowszych wymogów mody, ciemne i jakby zawsze nieco zdziwione oczy w oprawie łuków brwi i długich rzęs. Ruchy miał powolne, pełne gracji, a głos niemal aksamitny. Na ostrzeżenie Muminka prawie nie zareagował. Jedyne w kącikach jego delikatnych ust zjawił się grymas.

- Czy babcia w domu? - zapytał ściszym głosem.

Malec zagroził mu drogę.

- Babcia codziennie trenuje karate, żeby ci nawtykać, jak się zjawisz.

- Nie żartuj.

- Wcale nie żartuję. I powiedziała, że jak przyjdiesz, to zrobi z ciebie krwawy befsztyk.

Młodzieniec skrzywił się z niesmakiem.

- Mój drogi, kto cię nauczył tego ordynarnego sposobu wysławiania się?

Muminek cofnął się, pochylił i wysunąwszy jak atakujący baran głowę, zawołał:

- Zjeżdżaj, ty „ą” „ę”, bo cię zasunę bykiem. I mówię ci, że nie chcę mieć z samego rana w domu awantury.

Młodzieniec poprawił szalowy krawat i chusteczkę w kieszonce alpagowej marynarki, a potem okrągłym ruchem ręki chciał odsunąć malca. Ten cofnął się dla nabrania rozpędu i z całej siły staranował głową wykwintnego młodzieńca.

- Co ty wyprawiasz, ty chuliganie?! - zawołał oburzony Tolo, lecąc do tyłu. Byłby niechybnie upadł, gdyby po drodze nie napotkał ściany.

- Kto chuligan!? - zawrzeszczał malec. Zacisnął pięści - No, chodź, chodź! Pierwsze starcie! - Rzuciłby się na pewno na wystraszonego młodzieńca, gdyby nagle z góry nie odezwała się pani Żednicka:

- Czesiu, co ty tam wyprawiasz?

Chłopiec uniósł głowę.

- Babciu, przyjechał twój ulubieniec.

- Kto taki? - dał się słyszeć jej zaprawiony zdziwieniom głos.

- Zakała naszej rodziny... może go...

- Uspokój się, szczeniaku. - Młody człowiek odepchnął go energicznie i zawołał. - To ja, Tolo. Muszę się koniecznie z ciocią rozmówić.

Z góry doszedł szorstki głos pani Żednickiej:

- Czy nie możecie trochę ciszej? Przecież to pensjonat.

Wytworny młodzieniec, opędzając się od nacierającego nań Muminka, z trudem wydostał się na piętro, potem obaj zniknęli za drzwiami.

Bartek z uciesznym zdziwieniem obserwował tę pełną komicznej wymowy scenę, a gdy usłyszał głośnie zatrzaśnięcie drzwi, wiedziony instynktom wywiadowcy wszedł na korytarz pensjonatu. Spoza drzwi pokoju pani Żednickiej dochodziły podniesione głosy. Bartek zbliżył się do progu, zawrócił jednak powstrzymany myślą, że to nie fair podsłuchiwać pod drzwiami. Nie doszedł do schodów, kiedy na korytarz wypadł wypchnięty z pokoju Muminek.

- Babciu, nie rozmawiaj z tym pasożytem! - wołał wzburzony.

Spoza drzwi na chwilę wychyliła się kobieca głowa.

- Błagam cię, Czesiu, nie rób przedstawienia.

Malec naburmuszył się, wciągnął głowę między ramiona, wbił dłonie w kieszenie szortów i jeszcze raz ramieniem próbował sforsować drzwi. Nie ustąpiły

- Ja tu na niego zaczekam! - powiedział i ruszył w stronę schodów

- Ty, kto to taki? - zatrzymał go Bartek.

Tamten wzruszył ramionami.

- Zgniłek, gnida i zakała całej rodziny.

- A kto to w ogóle?

Malec posłał mu pełne goryczy spojrzenie.

- Tolo? To mój, pożałuj się Boże, wujek. Synalek siostry mojej babci - cioci Stasi. - Pokiwał ze zgorzaniem głową. - No, powiedz, czy ja mogę mieć spokojne życie. Jestem pewny, że znowu wyłudzi od babci pieniądze.

- A czym on się w ogóle zajmuje?

- Tolo? On zbija bąki i żyje na koszt całej rodziny.

- No, ale przecież chodził do jakiejś szkoły, uczył się...

- Wylali go z drugiego roku historii.

- To znaczy... nie skończył studiów?

- Niby tak.

- A skąd on się w ogóle zjawiał?

Muminek tak spojrzał na Bartka, jakby go dopiero teraz zobaczył.

- A w ogóle to po co ja ci to wszystko opowiadam?

- No... bo to ciekawe.

- Ty - trącił go łokciem - może byśmy się zabawili w Indian? Ja będę czarownikiem, a ty wodzem.

- Nie da rady tak we dwóch.

- Dlaczego?

- Bo nas za mało.

- A dlaczego za mało?

Bartek wzruszył ramionami.

- Ja mam ważniejsze sprawy na głowie.

- Indianie też - wyszeptał smętnie Muminek. - Wiesz co - błysnął oczyma - mam pomysł. Będę się bawił w rozbitka na samotnej wyspie. Do tego sam wystarczę...

ARAB Z KUWEJTU

Bartek zatrzymał się przed drzwiami hotelu. Przyszedł do „Jantaru” z dokładnie ułożonym planem, lecz gdy znalazł się u celu, zapomniał, co i jak ma robić, a do tego opuściła go odwaga. Stał więc niezdecydowany. Z nudów przyglądał się mimo woli wychodzącym i wchodzącym gościom. Byli to przeważnie cudzoziemcy, a wśród nich najwięcej Szwedów. Szwargotali między sobą twardym i nieprzyjemnym dla ucha językiem. Zachowywali się butnie, tak jak gdyby nie Karol Gustaw, lecz oni podbili Polskę.

Wnet u drzwi zjawił się portier w granatowym, złotymi lamпасami ozdobionym uniformie. Wyglądał jak kacyk murzyński. Brak mu było tylko orderów.

- Czego szukasz? - zagadnął ostro chłopca.

- Szczęścia - odparł hardo.

- Jak szukasz szczęścia, to zagraj w toto-lotka, a nie stercz mi tu, bo tego nie lubię.

- A gdybym tak był gościem?

- Gości to ja znam.

- I do tego Szwedem? - kpił chłopiec.

- Szwedzi mają wypisane na gębie, że są Szwedami.

- A ja jestem obywatelem szwedzkim i chociaż mówię po polsku, to mogę iść do dyrekcji i naskarżyć na pana, że zachowuje się pan gburowato wobec gości, ha. - Kiedy skończył, ogarnęło go zdumienie, gdzie i kiedy nauczył się tak bezczelnie fantazjować. Chciał odejść, gdy wtem z hotelowego holu wyskoczył mały, łaciaty pinczerek, a za nim wybiegła blada dziewczyna o

szczudłowatych nogach.

- Małgosia! - wyszeptał. - Córka Żalosalnej Mortadeli. - Poznał ją kiedyś na plaży i razem jeździli rowerem wodnym. Podszedł więc śmiało, bez obawy. - Cześć, Małgosiu - przywitał ją niemal entuzjastycznie.

- Cześć - odparła chłodno. - Czy my się znamy?

- No, jakże... Nie pamiętasz? Jeździliśmy razem na rowerze wodnym.

Potrząsnęła głową.

- Nie przypominam sobie. Tylu chłopców poznałam na plaży, że wybac - mówiła miętoląc słowa między wargami, jakby je chciała żuć.

Zamurowało go lekko, gdyż nie spodziewał się tak chłodnego przywitania. Wnet jednak zahaczył:

- Jestem kolegą Zulejki.

- Tej zwariowanej dziewczyny, która bawiła się z chłopcami w Indian?

- Tej samej. Teraz to sobie chyba przypominasz.

- Zulejkę tak, ale ciebie nie.

Chciał jej powiedzieć: „całuj się w nos”, lecz na schodkach tarasu ujrzał jej matkę. Żalosalna Mortadela szła z jakimś cudzoziemcem. Przy boku tego bubka była nieco bardziej ożywiona niż na wczorajszym przyjęciu. Bubek - nie mógł go dopasować do żadnej narodowości - był niski, okrągły i bardzo pospolity. Twarz miał śniadą, włosy czarne, wijące się kędziorami. Można go było wziąć zarówno za Włocha, Greka, Dalmatyńca, jak za Araba.

- Dzień dobry pani - przywitał Bartek smętną kobietę.

Na jego widok jej twarz stężała.

- Dzień dobry - powiedziała szybko i równie szybko zwróciła się do córki: - Czy to twój kolega?

- Tak - odparła. - Poznaliśmy się na plaży.

- Przecież pani mnie zna - wtrącił Bartek. - Wczoraj byłem u pani Żednickiej.

- Ach tak? - udała zdziwienie. - Wybac, lecz nie poznałam cię w pierwszej chwili. Pewno chcesz iść z Małgosią na plażę?

- Tak. Właśnie... - Chciał powiedzieć, że właśnie dobrze się składa, bo jest pogoda, lecz pani

Irma przestała się nim interesować.

Powiedziała coś po angielsku do swojego towarzysza, uwiesiła się u jego ramienia i z miną królowej pociągnęła go za sobą w kierunku przystani.

- Kto to? - zapytał Bartek Małgosię.

Ta skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

- Nienawidzę go, a mama jest nim zachwycona.

- W porządku, ale jakiej jest narodowości?

- Arab. Przyjechał z Kuwejtu robić jakieś ciemne interesy.

- Skąd wiesz, że ciemne?

- Wystarczy spojrzeć na niego. Ma mnóstwo forsy i szeroki gest, lecz to prostak i zachowuje się jak cham.

- Czy twoja mama dawno go zna?

- Skądże, wczoraj wieczór przysiadł się do nas przy kolacji.

- Mówisz, że ładowany?

- Tak, nie liczy się z pieniędzmi.

- To mi się nawet składa - rzekł w zamyśleniu.

- Co się składa?

- A nic... - rzucił na odczepne, jednak w jego dociekliwym umyśle zrodziło się podejrzenie: ten bubek cały w czarnych kłakach wyglądał na typowego przestępcę. A nuż oni znają się od dawna i tylko ze względu na Małgosię pani Irma chciała zachować pozory? A nuż wspólnie robią mętne interesy? No jasne, tacy zdolni są do wszystkiego. Ojciec mówił mu kiedyś, że Arabowie skupują w Polsce srebro, złoto, biżuterię, brylanty! O, właśnie, brylanty - błysnęła iście brylantowa myśl.

Kiedy doszli do plaży, był już pewny, że między Żalosną Mortadela a tym pozał się Boże, szejkiem arabskim, istnieją jakieś tajemnicze, tracące przestępstwem związki.

Na plaży jak na plaży - pełno było ludzi. Jedni leżeli na plecach, inni na brzuchach; smażyli w słońcu swe ciała. Wieczorem przyjdą do lekarza skarżyć się na porażenie słoneczne. Małgosia należała do wyjątków. Cały czas tkwiła pod parasolem, a gdy szła do wody, by się nieco ochłodzić, nakrywała ramiona ręcznikiem!

Kiedy usiedli, starała się nawiązać rozmowę, lecz Bartek był tak zajęty dorosłymi, że

odpowiadał jedynie monosylabami. Mortadela z szejkiem, wyciągnęci wygodnie w plażowych koszach, trzymali się za ręce. Rozmawiali po angielsku

Sierżant, wywiadowca z Bożej łaski, starał się usłyszeć choćby słowo. Niestety, odległość była za duża i choć znał nieźle angielski, nie mógł dociec, o czym mówią.

- Czy ty zawsze jesteś taki małowówny? - zapytała Małgosia.

- Ja?... To zależy... Kiedy jestem na plaży, nad jeziorem albo w lesie, lubię milczeć.

- No jasne - meła słowa - jesteś introwertykiem.

- Co takiego?

- No takim, co myśli do środka.

- A są tacy, co myślą od środka?

- Tak. Nazywają się ekstrawertykami.

- Nie znałem ani jednych, ani drugich.

- Głuptasie, przecież to pewne typy psychiki.

- Kapuję, ale ja się tym nie zajmuję.

- A czym?

- No... mnie interesuje technika. - Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz spostrzegł, że Arab pociągnął Żalosią do wody. Narobił przy tym tyle krzyku i rwetesu, jak gdyby był nad Morzem Czerwonym, a nie nad jeziorem mazurskim. Biegając, przewalał się z jednej nogi na drugą i tym przypominał kroczącego orangutana.

- No, popatrz - powiedziała ze zgorzaniem Małgosia - czy on nie zachowuje się, jakby wyszedł z dżungli.

- Ma temperament południowca.

- A umysł człekokształtnej małpy.

- Niech mu tam. - Machnął ręką lekceważąco.

Chwilę jeszcze przyglądał się kąpiącej parze. Syn pustyni udawał w wodzie fokę: raz nurkował, to znowu wyłaniał się i koniecznie chciał przytopić Mortadelę. Ta, zaszokowana infantylnym zachowaniem się partnera, wszystkie wybryki przyjmowała z łaskawą wyrozumiałością, a gdy wreszcie dał jej spokój, popłynęła krytą żabką. Płynęła znakomicie. Jej czepek tańczył na lekko sfalowanej tafli wody jak korek. Araba zostawiła daleko za sobą.

- Słuchaj - zapytał Bartek Małgosię - czym właściwie zajmuje się twoja mama?

Dziewczyna zachnęła się.

- No wiesz... rozmawiamy dopiero kilka minut, a ty zadajesz takie pytania.

Wzruszył ramionami.

- Nie widzę w tym nic złego. Każdy człowiek czymś się zajmuje.

Dziewczyna wykrzywiła wąskie wargi grymasem zniechęcenia

- Trzeba jednak mieć trochę taktu.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że jesteś taka wrażliwa. Czy mogę cię jeszcze o coś zapytać?

- Proszę. - Spojrzała chłodno.

- Bo wiesz, wczoraj twoja mama była u pani Żednickiej... Czy one dobrze się znają?

- Widziałam, jak grały kiedyś w hotelu w brydża.

- A o której godzinie mama wczoraj wróciła do domu?

- Nie mam pojęcia, bo siedziałam w holu i oglądałam telewizję.

- Mówiłaś, że jadałyście razem kolację.

- Tak, ale później. Moja mama lubi nocne życie. Po kolacji poszła jeszcze z tym wstrętnym Arabem na dancing.

- Może przy kolacji wspomniała coś o tańczącym słoniu?

- Zabawne - zachichotała. - O jakim ty mówisz słoniu?

- No... o takiej figurce z porcelany, przedstawiającej tańczącego słonia.

- Nie, a w ogóle byłam wściekła, bo mama czarowała tego orangutana. Musisz wiedzieć, że mama potrafi być bardzo miła.

- Rozumiem - powiedział w zamyśleniu.

Para pływaków wracała do koszy. Arab podskakiwał komicznie to na jednej, to na drugiej nodze, otrząsał się z wody jak pudel, a potem wziął panią Irmę na ręce i, mimo jej oporu, zaniósł do kosza. Chciał ją wytrzeć ręcznikiem, lecz wywinęła się zwinnie i nagle jakby zamarła.

Z boku, spoza koszy, wyłoniła się postać wytwornego Tola.

Małgosia spojrzała płochliwie na matkę. Ta, nie czekając aż Tolo się zbliży, wyszła mu naprzeciw.

Dziewczyna westchnęła żałośnie.

- Znowu ten typ prześladowuje mamę.

Bartek przyglądał się tej scenie w napięciu. Kobieta, nie witając się z Tolem, przez zaciśnięte zęby rzuciła kilka cichych słów, po których wytwornie cofnął się przezornie. Wysuwając obronnym ruchem ręce, powiedział:

- Ależ, Irmo, przecież sama telefonowałaś, żebym przyjechał.

- Tak - potwierdziła z naciskiem. Dyskretnym ruchem głowy wskazała siedzącego w koszu Araba i dodała: - I bądź łaskaw zaczekać na mnie w „Jantarze”.

- Moja droga, nie mamy czasu, żeby się zastanawiać, trzeba działać jak najszybciej, bo ktoś może sprzątnąć nam sprzed nosa...

W tym momencie pomiędzy kosze wdarła się niesforna gromada rozkrzyczanych chłopców. Walcząc zaciekle o piłkę, zagłuszyli dalszą rozmowę. Bartek syknął gniewnie.

- Niech to lichy...

- Co ty mówisz? - zdziwiła się Małgosia.

Bartek skinął ręką w stronę Tola.

- Znasz go?

- Niestety, tak - wyszeptwała. - To zły duch mojej mamy. Kiedy tylko się zjawi, mama zawsze ma kłopoty i nieprzyjemności.

SKARB SPOD TAPCZANU

Pani inspektor skorzystała z zaproszenia babci Żednickiej. Kiedy znalazła się na klatce schodowej, zobaczyła Muminka zjeżdżającego po poręczy. Złapała go za portki i ściągnęła na stopnie.

- Babcia w domu?

- Tak, ale nie idź tam, bo babcia piramidalnie wkurzona - ostrzegł ją malec. - I w ogóle, lepiej byłoby zabawić się w Indian.

- Muminku, nie zawracaj mi głowy. Powiedz lepiej, dlaczego babcia wkurzona?

- Bo przyjechał Tolo.

- Tolo? A kto to taki?

- Niby mój wujek, a babci siostrzeniec. - Skrzywił się śmiesznie, a potem dodał: - I było trzęsienie ziemi.

- Gdzie?

- Zulejka, ty strasznie ciężko myślisz. Gdy zjawia się Tolo, to musi być trzęsienie ziemi.

- Mów po ludzku.

- No, draka, bo on zawsze szantażuje babcię i mówi, że jak nie dostanie pieniędzy, to się do reszty zdemoralizuje.

- Mnie Tolo nie obchodzi. Powiedz, czy babcia zaglądała pod tapczan?

Chłopiec przekręcił komicznie głowę.

- A co mi za to dasz?

- Fundnę ci lody albo gofra, co będziesz wolał.

- Eee... lody i gofry mi się przejadły.

- To co chcesz?

- Zabawić się w Indian.

Zulejka tupnęła.

- Przestań, szczeniaku, bo cię palnę!

- To nie powiem.

- To nie mów. - Minęła go i ruszyła w górę.

- Co ty, nie znasz się na żartach?! - zawołał za nią.

Dziewczyna zatrzymała się gwałtownie.

- Mówisz czy nie?

- Powiem, ale na ucho, żeby nikt nie słyszał.

Pani inspektor zbiegła kilka stopni niżej i schylając się, nastawiła ucho.

- Babcia znalazła ten brylant. Jest duży jak fasola.

- Widziałeś? - wykrzyknęła głośno.

- Na własne oczy.

- Gdzie był?

- Pod tapczanem.

- I co babcia z nim zrobiła?

- Nie wiem, bo nie było mnie w pokoju.

- Kręcisz. Jak mogłeś widzieć brylant, skoro nie było cię w pokoju?

Małec skrzywił się płacząco.

- Eee... do kitu. Ty nigdy nie kupisz dobrego dowcipu.

Zulejka tupnęła ze złością.

- Zjeżdżaj mi z oczu, krętaczu.

Chłopiec z małpią zręcznością dosiadł poręczy i migiem zjechał na dół, a z dołu zawołał:

- Idę na wyspę bawić się w Robinsona Crusoe!

Zulejka odetchnęła z ulgą. Była wściekła, że tak łatwo dała się nabrać smarkaczowi. Gdy usłyszała, że babcia znalazła pod tapczanem brylant, zawirowało jej w głowie, przed oczami zobaczyła świetliste kręgi.

Trzeba być bardziej odporną. I trzeźwo oceniać sytuację - pomyślała.

Uspokojona nieco weszła na piętro. Zapukała do drzwi pokoju pani Żednickiej.

- Kto tam? - usłyszała jej głos.

- To ja, Zula.

Zaskrzypiały cicho drzwi, a w szparze ukazała się głowa gospodyni.

- Wejdz - powiedziała cicho - ale błagam cię, nie wspominaj mi o słoniu, bo jestem u kresu wytrzymałości psychicznej.

Zulejka cicho wśliznęła się do pokoju. Wzrok jej padł na odsunięty od ściany tapczan.

- Pro... pani, przepraszam - wyszeptała - a o tapczanie można mówić?

Babcia uniosła oczy ku sufitowi.

- Ech... Nie można z wami wytrzymać. Jesteś bardzo miła, a tymczasem wyprawiasz jakieś niesamowite rzeczy. Powiedz mi, ale szczerze, dlaczego nas śledzisz?

- Nie panią, nie panią - zaprzeczyła żywo - ale tego pana z fajką.

- Pana Barta?... - zapytała z namysłem. - Mówił mi właśnie, że uratował cię z ciężkiej opresji, a ty mu się tak odpłacasz.

- Bo on... wypiera się...

- Też o tym słyszałam. - Z szufladki nocnego stolika wyjęła fiolkę z proszkami. Wysypała dwie pastylki na dłoń. - To niewiarygodne, jaką wy macie fantazję. Pan Bart jest znakomitym ornitologiem, a ty posądzasz go...

- Jak babcię kocham, że go widziałam, jak...

- To ci się zdawało.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie lubię, jak ktoś ze mnie robi wariata.

- No, proszę - połknęła proszki i popiła resztą herbaty. - Ty tego nie lubisz, a co ma powiedzieć starszy, poważny człowiek?

- Niech tak będzie - zrezygnowała. Wolnym krokiem zbliżyła się do odsuniętego tapczanu. Między ścianą a tapczanem zalegała gruba warstwa kurzu. - Pokojowe w „Gopłanie” nie przemęczają się - zauważyła mimochodem.

- Właśnie... Zostawiłam odsunięty tapczan, żeby jej pokazać... - Babcia nie dokończyła, gdyż w tej samej chwili dziewczyna zawołała triumfalnie:

- Jest!

Między zmiętym papierkiem po cukierku a kawałkiem tasiemki spostrzegła coś błyszczącego. Nie czekając na pozwolenie, rzuciła się na tapczan i sięgnęła za mebel. Za chwilę w jej palcach zabłysnął błękitnawo brylant wielkości ziarnka grochu.

- Jest! - wyszeptała, jakby się bała, że spłoszy niepowtarzalną chwilę.

Pani Żednicka zmartwiała. Jej oczy utkwione w małej błyskotce wyrażały największe

zdumienie. Była tak zaskoczona, że nie potrafiła opanować drżenia ręki wyciągniętej po nieoczekiwany skarb.

- To niesłychane - wyszeptała. - Nigdy nie spodziewałam się... Wierz mi, moja droga, że nie wiedziałam.. To przecież niesamowite i niewytłumaczalne - plątała się w słowach.

Zulejka pierwsza opanowała wzburzenie.

- Przypuszczam, że znajdzie się jakieś wytłumaczenie.

- Ja tego nie pojmuję - wzięła od dziewczyny brylant, uniosła go wysoko pod światło. - Jaki piękny - westchnęła. - Tylko - zastanowiła się - czy prawdziwy?

- Na sto dwa - rzekła z zapalem Zulejka. - Fałszywy nie błyszczałby takim blaskiem.

- Nie znam się na drogich kamieniach - zauważyła pani Żednicka wpatrzona z zachwytem w brylant. - Wiem tylko, że tej wielkości brylant to ogromna fortuna.

- Wart pewno więcej niż milion.

- Złotych?

- A pani myśli, że dolarów?

- Nie mam pojęcia, ile jest wart, ale to majątek. - Nie wiedziała, co zrobić z tym brylantem. Raz podnosiła go do światła, to znów kładła na nocnym stoliku.

- Jedno jest pewne - wtrąciła dziewczyna - musi pani go dobrze schować, bo tu niejeden miałby na niego ochotę.

- Tak uważasz? - zapytała. - To ja już wiem, w jakiej sprawie przyjechał Tolo.

- Ten pani siostrzeniec?

- Tak, moja droga, właśnie ten... - zamilkła i tak popatrzyła na Zulejkę, jakby ją dopiero teraz ujrzała. Nagle uniosła dłonie do skroni. - Przepraszam cię, Zulu, ale od nadmiaru wrażeń pęka mi głowa. Może przyjdiesz kiedy indziej.

Dziewczyna ociągała się. Miała nadzieję, iż dowie się nieco więcej, lecz gdy napotkała chłodny i nieprzyjemny wzrok pani Żednickiej, zrozumiała, że powinna odejść.

- To ja już pójdę. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi, lecz w progu zatrzymała się. - Proszę pani... mnie się zdaje, że w słoniu były dwa brylanty.

- Dwa? - Spojrzała z niedowierzaniem. - Po czym tak sądzisz?

- Bo wczoraj, zdaje mi się, ta pani Irma świsnęła spod tapczanu jeszcze jeden.

KTO KOGO ŚLEDZI?

Masz, babo, placek, a raczej brylant - pomyślała pani inspektor, gdy znalazła się na korytarzu. - Teraz zrobił się taki galimatias, że trudno się połapać - kto, gdzie i kiedy?

Z uczuciem zupełnego chaosu w głowie podeszła pod siódmkę, gdzie mieszkał Bartek z ojcem. Zapukała, a gdy nikt nie odpowiedział, ruszyła niemal biegiem. Chciała jak najszybciej podzielić się z podwładnym sensacyjnymi odkryciami. Przypuszczała, że zastanie go w okolicy „Jantaru”, gdyż właśnie tam miał śledzić Żalosną Mortadelę.

Biegła ile tchu w piersiach, a gdy dotarła do pomostu przystani, z daleka zobaczyła na plaży sierżanta siedzącego z Małgosią pod parasolem.

No tak - pomyślała - ja tu męcę się, dwoję i troję, a on sobie, jak gdyby nigdy nic, odpoczywa i zapewne myśli o niebieskich migdałach.

Energicznie ruszyła w jego stronę, a gdy była już blisko, stanęła jak wryta. Z boku, na trawie pod olszynami ujrzała Krzywonosą. Minę miał niezwykle poważną, niemal służbową, w rękach trzymał rozpostartą gazetę. Udając, że czyta, co chwila zerkał w kierunku plaży.

Zulejka zawahała się: przerwać Bartkowi leniuchowanie czy zająć się Krzywonosą. Wnet jednak zdecydowała, że ważniejszy jest podejrzany osobnik. Z Bartkiem potrafi rozmówić się później. Ukryła się więc za kępą leszczyny i zajmąwszy wygodne stanowisko obserwacyjne, notowała w pamięci każdy ruch pseudo-magistra. Wkrótce stwierdziła, że śledzony przez nią pan magister sam śledzi Żalosną Mortadelę. Tymczasem dama w czerni - miała na sobie czarny kostium kąpielowy - nie wiedząc, że ją obserwują, toczyła słowny pojedynek z młodzieńcem, w którym Zulejka domyślała się Tola, siostrzeńca pani Żednickiej. Na szczęście sprzeczka nie trwała długo. Młodzieniec odwrócił się gwałtownie i bez pożegnania ruszył szparko w kierunku przystani. Kiedy mijał Krzywonosą, ten osłonił się szczelnie gazetą. Wnet jednak podniósł się i wolnym krokiem ruszył za elegantem.

Zulejka na to tylko czekała. Kryjąc się za zaroślami, pospieszyła za nimi. Minęli przystań pełną kajaków, łodzi i białych żagli, a gdy znaleźli się na ulicy Żeromskiego, pani inspektor prychnęła wesoło.

Piękna sytuacja - pomyślała - pierwszy śledzi drugiego, a drugi trzeciego. Nie przypuszczała nawet, że za nimi podąża jeszcze czwarty - Bartek.

Sierżant, gdy tylko spostrzegł, że Tolo opuszcza plażę, pożegnał się z Małgosią i podreptał za nim. Był tak zajęty samą czynnością śledzenia, że nie zauważył ani Krzywonosą, ani swego szefa.

Dopiero na Żeromskiego zorientował się w tym niecodziennym łańcuszku śledzących, a na rogu Westerplatte, kiedy Tolo i Krzywonos znikli za szpalerem kasztanowców, podbiegł do Zulejki i dla zabawy od tyłu zakrył jej dłońmi oczy.

- Fajczarz! - zawołała, szarpiąc się. - Niech się pan nie wygłupia.

- Pomyłka. - Bartek odjął dłonie z jej oczu.

- To ty?! - prychnęła gniewnie. - Nie stać cię na lepsze dowcipy?

Zula miała słuszość, bo w tym czasie, kiedy Bartek zakrył jej oczy, Tolo i Krzywonos zniknęli im z pola widzenia.

- Do licha! - westchnęła Zulejka. - Gdzie oni się podziali?

Bartek rozejrzał się, a gdy stwierdził, że ulica jest pusta, podbiegł w stronę pierwszej przecznicy. Tam też ich nie było. Za zardzewiałą siatką ogrodzenia, w zapuszczonym ogrodzie ujrzał starą, walącą się szopę, a za nią dach piętrowego domu pokryty czerwoną dachówką. Nie czekając na Zulę, wszedł do ogrodu. Dokoła aż kipiało bujną, soczystą zielenią. Ścieżka prowadząca do szopy zarosła trawą, a na spróchniałym dachu szopy zdążyły wybujać małe brzoźki. Było cicho. Słyszał tylko delikatne brzęczenie owadów. Minął szopę. Przed sobą ujrzał piętrowy budynek z zabitymi na głucho oknami. Ogarnęło go dziwne uczucie ni to lęku, ni zaciekawienia. Stał wpatrzony w poczerwiałe ściany, wiszące rynny, ślepe okna i zdawało mu się, że już gdzieś widział taki dom.

Z zadumy wyrwała go Zulejka.

- No i co?

- Ani słychu, ani dychu - odparł, wzruszając ramionami.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą.

- Dobrze, że tak się stało, bo mnie już od tego wszystkiego kręci się w głowie. Wyobrażasz sobie, zrobiłam dwa kapitalne odkrycia.

- Nie chcę cię martwić, bo ja trzy.

- To melduj.

Chłopiec odetchnął głębiej, a zrobiwszy ważną gębę, zaczął służyć:

- Po pierwsze Krzywonos ma drugą figurkę.

- A ja rano widziałam, jak babcia Żednicka dawała Fajczarzowi skorupy tej rozbitej.

- To oni się znają? - zawołał blednąc z wrażenia.

- Nie tylko się znają, ale razem biegają.

- Coś ty, babcia?... Ona biega?

- Jeszcze jak! Ale ja mam prawdziwą bombę. Wyobraź sobie, że za tapczanem znalazł się brylant.

- To znaczy, że były dwa - gorączkował się coraz bardziej. - A ja stwierdziłem, że Tolo ma powiązania z Żałosną Mortadelą.

- To ten, co śledził Krzywonosą?

- Zulejka, zlituj się, przecież Krzywonos śledził Tola.

- A Tolo Mortadelę.

- Nie. Mortadela była na plaży z Arabem, który robi podejrzaną interesy i wczoraj był z nią na dansingu w „Jantarze”.

Pani inspektor przecięła ręką powietrze.

- Stop, bo mi się wszystko pokręciło.

- A ja tracę rozeznanie - dodał sierżant.

- Dlatego musimy iść do Brodacza na lody. Może po lodach rozjaśni nam się w głowie.

„U Brodacza” była sezonowa lodziarnia przy prowadzącym wzdłuż jeziora bulwarze. W skromnej, jaskrawo pomalowanej budce brodaty właściciel sprzedawał najlepsze w osiedlu lody. Bartek stanął w kolejce, a Zulejka zajęła miejsce przy pieńku, który pomysłowy lodziarz postawił jako stolik. Gdy wbili po dwie porcje waniliowych i truskawkowych lodów, doszli do przekonania, że to wcale nie rozjaśniło im w głowie. Wtedy Bartek wyciągnął notes.

- Słuchaj, najlepiej będzie przedstawić to graficznie.

- Może komputerowo? - zakpiła.

- Można by było... gdybyśmy znali teorię układów scalonych - wyjaśnił z nutką dumy.

- Rób, co chcesz - westchnęła - bo mnie rozluźniły się wszystkie klepki.

- To jest Fajczarz. Od niego trzeba zacząć, bo u niego pierwszy raz zobaczyłaś tańczącego słonia.

- W porządku - potwierdziła - drugie kółko będzie oznaczało Krzywonosą, gdyż po Fajczarzu on miał figurkę.

- No widzisz, jak to łatwo idzie. A trzecie - to będzie pani Żednicka.

Pani inspektor podrapała się za uchem.

- Wyszedł piękny trójkąt, z którego nic nie wynika.

- To się mylisz, teraz kółka, które się znają, połączymy liniami prostymi. - Pociągnął linię od Fajczarza do Krzywonośa i do pani Żednickiej. - W ten sposób wiadomo, kto z kim utrzymuje zbrodnicze kontakty. - Spojrzał pytająco na szefa.

- Ruszaj dalej, bo do tej pory narysowałeś piękny daszek na kółkach.

- Zula - westchnął ciężko - przestań kpić, bo mi przeszkadzasz. - Narysował nowe kółko. - To jest Żalosa Mortadela. Patrz, jak to świetnie wyszło. Nawet na rysunku widać, kto z kim się zna. Teraz nowe kółko będzie oznaczało Tola, Tola połączymy z Mortadelą, a ją z kółkiem pani Żednickiej.

- I wyszedł z tego rower na trójkątnych kołach.

Bartek rzucił ołówkiem o ziemię.

- Dziękuję ci. Możesz teraz pracować sama.

- Sierżancie - rugnęła go - przywołuję cię do porządku.

- W takim razie - co proponujesz?

Zulejka przysunęła do siebie notes.

- Uważaj, każdemu z tego towarzystwa poświęcimy jedną kartkę i będziemy wpisywać, co o nim wiemy.

- Kartoteka - zadrwił sierżant. - Teraz należy zaangażować szefa personalnego, żeby prowadził statystykę, kto ile razy kichnął.

- Zamknij się. Spróbujmy. Pierwszy będzie oczywiście Fajczarz. Co byś o nim napisał?

- Fajczarz jest ornitologiem - zaczął poważnie - albo udaje, że nim jest.

- Na pewno jest, bo potwierdziła to babcia. I co dalej?

- Chodzi starannie, nawet elegancko ubrany.

- Jest wysportowany - dorzuciła pani inspektor, zapisując wszystko w notesie. - A ja bym do tego dodała jeszcze, że jest wredny i wypiera się.

- W porządku - podjął sierżant. - Jada obiady na ulicy Cienistej czternaście i buja jak najęty.

- I biega rano, żeby mieć siły do tych wszystkich krętactw.
- Można jeszcze napisać, że ma bardzo podejrzane kontakty.
- I jest obłudny jak stara dewotka - rzuciła z zadowoleniem pani inspektor.

Zamilkli, zastanawiając się, co by mu jeszcze wlepić.

- I... - odezwał się pierwszy sierżant, lecz natychmiast przerwał. - Pani inspektor - zaczął po chwili - przecież to wszystko do kitu. Czy z tych notatek dowiemy się czegoś nowego?

- Aż twoich wykresów?
- Przynajmniej widać, kto kogo zna i jakie ma kontakty.
- W takim razie nic nam innego nie zostaje, jak ufać własnym mózgom...
- Najwspanialszym komputerom na świecie - dodał Bartek.

TRZY ZAGADKI W JEDNEJ SPRAWIE

Nie ma nic lepszego na świecie jak dobry obiad - pomyślała pani inspektor, szorując piaskiem tłuste menażki. - I nic wstrętniejszego, jak mycie po obiedzie tłustych naczyń - dodała.

Obiad był pi-ra-mi-dal-ny - jak by powiedział Muminek. Zupa jagodowa z kluseczkami, okoń z rożna, na deser galaretką z bitą śmietaną. Taki obiad w obozowych warunkach to szczytowe osiągnięcie sztuki kulinarnej pana Siwosza, czyli taty Zulejki. Można by o nim pisać poezje i układać hymny, gdyby nie ten obrzydliwy obowiązek mycia naczyń.

Ech... - ciągnęła myśl - czy warto roztkliwiać się nad sobą? Czekają nas jeszcze trudniejsze zadania - rozwiązanie węzła gordyjskiego, czyli sprawy tańczącego słonia. - I nagle przy patelni po smażonej cebuli doznała olśnienia. - Nie trzeba gmatwać się w gąszczu szczegółów, tylko należy znaleźć odpowiedź na zasadnicze pytania:

1. Jeżeli są dwie figurki, to która jest tą właściwą?
2. Skąd dwa brylanty znalazły się w figurce?
3. W jaki sposób rozszyfrować zwitek, który wypadł z figurki pani Żednickiej?

Ten trzeci punkt wydał jej się najważniejszy. Rzuciła nie umytą patelnię na stos naczyń i niemal

sprintem pobiegła do „Goplany”. Sierżanta zastała w restauracji przy deserze. Z apetytem głodnego wilka wbijał w krzyże szarlotkę. Obok niego pan Dziwisz przez opadające na nos szkła czytał jakąś rozprawę naukową. Na widok Zulejki Bartek zakrzusił się ogromnym kęsem ciasta. Pani inspektor podbiegła i uderzyła go z całej siły w kark. Sierżant wprawdzie przestał się dusić, lecz prostując się stracił stojącą do tej pory na stole wazę z resztkami zupy, a część jej zawartości chlusnęła na śnieżnobiałą spódnicę korpulentnej damy z sąsiedniego stolika.

Powstało zamieszanie. Jak tak można! Trzeba uważać. Ależ to skandal, żeby młody człowiek tak się zachowywał. Kto mi zwróci za pranie spódniczki?

- Ja - dał się słyszeć doniosły głos pana Dziwisza. Znakomity ufolog tylko raz podniósł nad książki wzrok, by po chwili zatopić się całkowicie w lekturze.

Zulejka mocnym kuksańcem przywołała Bartka do przytomności.

- Chodź. Mam ci coś bardzo ważnego do zakomunikowania.

Bartek z rozpaczą w niewinnych oczach jeszcze raz spojrzął na wielką plamę po zupie pomidorowej, lecz wnet ocknął się i ruszył za Zulejką, a gdy znaleźli się na ulicy, powiedział:

- Mam kapitalny pomysł.

- Ja też - mrugnęła filuternie Zulejka.

- Ale mój na pewno lepszy, bo oparty na teorii względności.

- Skąd wiesz, że lepszy, skoro nie znasz jeszcze mojego?

- Bo nie może być nic prostszego i doskonalszego.

- To mów, a nie zachwycaj się sobą.

Bartek przełknął ślinę.

- Wszystko jest proste i jasne. Załatwimy to drogą korespondencyjną.

- Phi, chcesz pisać listy?...

- Tak, ale jakie listy! Dobrze uważaj: żeby nas nikt nie posądzał, a milicja nie mogła zbadać, jakim charakterem pisma zostały napisane, powycinamy z gazety litery i nakleimy na papier listowy.

- Myślisz, że to nowy pomysł?

- Nie nowy, ale skuteczny.

- Ciekawa jestem, co i do kogo chcesz pisać.

- Nad tym musimy się dobrze zastanowić.

- I gdzie tu teoria względności?

- Bo... zająknął się - bo wszyscy będą nieufni względem wszystkich. Kapujesz?

- Uwzględniając wzgląd dla względu - roześmiała się. - Listy to nawet dobry pomysł, bo mogliśmy narobić dobrego galimatiasu. Ale cała sprawa odpada - zawyrokowała stanowczo.

- Dlaczego? Przecież to genialny sposób na takich przestępców.

- Odpada - powtórzyła. - Nam nie wypada pisać anonimów.

- Ech... ty zawsze wymyślisz jakąś przeszkodę.

- Nie roztkliwiał się, sierzancie. Posłuchaj lepiej, jaki ja mam pomysł. - Jednym tchem wyrecytowała mu trzy punkty swego planu.

- Phi - parsknął - o tym, że trzeba rozszyfrować znajdujące się na zwitkach znaki, wiedzieliśmy już wczoraj.

- Zgoda, ale nie uczyniliśmy niczego.

- Bo komu dasz do odszyfrowania?

- Ja dałabym Fajczarzowi.

Bartek podniósł ręce gestem rozpaczy.

- Zulejka, zlituj się, przecież nie możemy się dekonspirować.

- Więc co proponujesz?

- Ja...? Daj mi chwilę do namysłu. Tak szczerze mówiąc, to nikt ze znajomych nie zna się na szyfrach.

Zulejka uśmiechnęła się przekornie.

- Dlatego właśnie pójdziemy razem do Fajczarza i poprosimy go...

- To szaleństwo - wyszeptał Bartek.

- Poprosimy go - dokończyła - żeby nam rozszyfrował. Zobaczymy, jaką zrobi minę i w ogóle.

- Pani inspektor - Bartek pokiwał z ubolewaniem głową - chce pani dawać przestępcy szansę?...

- Posłuchaj - przerwała mu - to może dać nieoczekiwane wyniki. Jest kilka wariantów: jeżeli

pani Żednicka dała mu zwitki, to on może przyznać się do tego albo zataić. Jeżeli się przyzna, to może powiedzieć, że umie odczytać szyfr, albo go nie od...

- Jeżeli ty pójdziesz do niego - wpadł jej w słowo Bartek - to też są dwie możliwości: albo wrócisz stamtąd, albo nie...

Dziewczyna prychnęła gniewnie:

- Bohater! Szukasz już wymówki. Strach cię obleciał, co?

- Nie, ale nie chcę się wygłupić.

- Nie bój się, sama pójde i przekonam się, czy to agent tajnego wywiadu, czy zwykły aferzysta.

MOŻE TO PRZEPIS NA ZRAZY Z KASZĄ?

Było dziwnie cicho i tajemniczo.

Zulejka okrążyła dom. Chciała sprawdzić, czy Fajczarz jest w swoim mieszkaniu. Z radością stwierdziła, że okno z lewej strony, z tej właśnie, o której wspominał Bartek, było szeroko otwarte, a za oknem Fajczarz pochylony nad stołem pisał coś czy też notował. Po chwili przysunął do siebie maszynę do pisania. W ciszy rozległ się stukot czcionek uderzających szybko o wałek. Był to sygnał do działania.

Pani inspektor wróciła na tył domu, a gdy znalazła się przy drzwiach, nacisnęła guzik dzwonka. Dzwonek zabrzmiał jak na alarm. Dziewczyna wzdrygnęła się. Chciała się wycofać, lecz było już za późno. Za szybą ukazał się ornitolog z nieśmiertelną fajką w zębach. Na jej widok nie okazał nawet zdziwienia, otworzył szybko drzwi.

- Aaa... to ty? - przywitał ją niemal wesoło.

Poczekaj, ptaszku - pomyślała - za chwilę będziesz cienko śpiewał A gdy znalazła się w korytarzu, powiedziała ironicznym tonem: - Przepraszam, czy nie przeszkadzam panu?

- Nie - zapraszał ją skinieniem ręki - oczekiwałem cię.

- Mnie? - Zrobiła zdumioną minę. - Przecież ja właściwie wstąpiłam tylko tak sobie...

- Bardzo mi miło - rzucił, prowadząc ją do pokoju. - Chcesz zapewne zapytać, czy sklepiłem już figurkę.

A, chytrusie, jesteś przebiegły, uprzedzasz moje pytania, by mnie zaskoczyć - pomyślała, rozglądając się po domu.

Przeszli przez sieni, a gdy znaleźli się w pokoju, pani inspektor doznała takiego uczucia, jakby znalazła się w wilczej jamie. Ogarnął ją lęk i wiele by za to dała, gdyby mogła się wycofać. Ale klamka zapadła. Zulejka opanowała się i odparła:

- Nie tylko o to. Może jeszcze bardziej ciekawi mnie, co zaszyfrowano na tych zwitkach.

Fajczarz udał, że nie usłyszał pytania. Wolnym krokiem podszedł do szafki i otworzył ją szeroko. Zulejka drgnęła. Przypuszczała, że za chwilę stanie się coś strasznego, tymczasem gospodarz ze stoickim spokojem wyjął butelkę z sokiem truskawkowym.

- Może się napijesz? - Spojrzał łagodnie na dziewczynę. W jego stalowych oczach błysnęły wesołe ogniki.

- Dziękuję, na nic nie mam ochoty.

Podsunał koszyczek z toffi.

- Może spróbujesz? Zupełnie dobre.

- Dziękuję - przymrużyła zuchwale oczy - nie przyszłam do pana, żeby się napychać słodyczami. Interesują mnie zupełnie inne, dużo poważniejsze sprawy.

- Wiem, ale siadaj. - Podsunał jej krzesło. - A więc, jeśli chodzi o słonia... - Podszedł do stolika, otworzył szufladę i wyjął sklejoną już figurkę. - Spójrz. Mnie się zdaje, że zrobiłem to całkiem dobrze. - Postawił tańczącego słonia przed Zulejka. Ta ujęła go delikatnie i, przewracając na wszystkie strony, kręciła z podziwu głową.

- Można powiedzieć, że jest pan mistrzem. Gdyby nie lekkie rysy w miejscach sklejenia, to trudno by było odróżnić ją od... - przerwała na chwilę, posyłając ornitologowi znaczące spojrzenie.

- Od czego? - zapytał coraz bardziej ubawiony.

- Od tej drugiej figurki, którą ma pański znajomy.

Twarz Fajczarza stężała, a jego wzrok nabrał ostrości.

- Oprócz pani Żednickiej nie mam tu znajomych.

- A ten magister ekonomii, który...

- Ach, ten pan, który stołuje się ze mną?

- Właśnie ten - powiedziała z naciskiem. Cały czas śledziła jego twarz, jak gdyby chciała z niej wyczytać uczucia, jakie go nurtują, lecz on był spokojny. Uśmiechnął się i wyjaśnił:

- Ten człowiek nie może mieć takiej figurki, ponieważ pani Żednicka ma tylko jeden egzemplarz.

- Jednak posiada - ciągnęła kpiąco. - Pokazywał ją - chciała powiedzieć: mojemu sierżantowi, lecz w ostatniej chwili ucieła, a po chwili dokończyła: - mojemu koledze.

Fajczarz przymrużył znacząco oko.

- To znaczy, że masz już pomocnika?

- Kolegę - odparła z naciskiem. - A pan to chce się migać i migać.

- Migać? - Roześmiał się nienaturalnie. - Do czego zmierzasz?

- O, właśnie - natarła z zapalem - pytałam pana, co pan zrobił ze zwitkami, a pan...

- Z jakimi zwitkami? - przerwał jej zmienionym głosem.

- Udawać pan umie pierwszorzędnie. To pani Żednicka nie dała panu takich małych zwitków papierowych, na których był szyfr?

- Przerażasz mnie, moja dziewczuszko, zaczynasz znowu zmyślać i fantazjować.

- Przecież wszyscy widzieli. Nikt panu o tym nie doniósł?

- Nie rozumiem, o czym ty mówisz. Kto mi miał donieść?

Zulejka pokiwała z politowaniem głową.

- Szanuję pana siwe włosy, lecz gdyby pan był trochę młodszy, inaczej bym z panem rozmawiała.

Fajczarz roześmiał się głośno.

- Nic nie wiem o zwitkach.

Pani inspektor zachnęła się. Sięgnąwszy do kieszeni, dwoma palcami wyjęła mały zwitek z bibułki i podsunęła Fajczarzowi. - A to... To może przepis na zrazy z kaszą gryczaną?

Ornitolog cofnął się, jakby chciał uniknąć celnie wymierzonego ciosu. Wnet jednak opanował się i, wzięwszy bibułkę do ręki, rozwinął ją delikatnie.

- Czy to nie przypomina panu instrukcji tajnego wywiadu? - zapytała podchwytliwie. Przypuszczała, że w tym miejscu załame się, zblednie, dostanie histerycznej czkawki, a on tymczasem podszedł do okna i przyjrzał się pod światło upstrzonej znakami bibułce.

- Niczego mi to nie przypomina, moja dziewczuszko.

- Nie jestem pana dziewczuszką - rzuciła hardo. - Może pan uprzejmie wyjaśni, co napisano na tej bibułce?

Fajczarz roześmiał się.

- Moja droga, nie jestem specjalistą od odczytywania szyfrów.

- To w jaki sposób posyła pan tajne informacje?

Pani inspektor miała nadzieję, że tym jednym pytaniem przyskrzyni go i postawi w sytuacji bez wyjścia, lecz jemu nie drgnęła nawet powieka. Przeciwnie - wnet zagrał wesołego Dyzia, któremu udało się zabawa.

- Może ci dać pastylkę bromu na uspokojenie? - zaproponował i nie czekając na odpowiedź, podszedł do wiszącej nad umywalką szafki.

- Dziękuję - krzyknęła zawiedziona. Łzy bezsilnego gniewu zakręciły się w jej oczach. - Może pan się ze mnie nabijać, ja i tak pana zdemaskuję.

- Coraz lepiej, moja panno... Coraz lepiej.

- Nie jestem pana panną! - krzyknęła. - Nie dam się tak lekceważąco traktować. I mam na pana takiego haka jak na wieloryba. - Odwróciła się i wybiegła z pokoju.

PODZIEMNY KORYTARZ

Tymczasem sierżant Dziwisz krążył dokoła opuszczonego domu. Męczyło go bowiem pytanie - gdzie tak nagle zniknęli Tolo i Krzywonos.

Ulica tonęła w głębokim cieniu wielkich kasztanowców. Było pusto i cicho. Wysoko ukryty w listowiu ptak ciągnął tęskną nutę. Jego czysty głos rozchodził się łagodnie w rześkim powietrzu.

Ha - pomyślał Bartek - szkoda, że nie ma Fajczarza. On wiedziałby na pewno, co to za ptak śpiewa tak tkliwie i zawzięcie.

Zatrzymał się przy wyłamanej furtce. Rozejrzał się, chcąc stwierdzić, czy nikt go nie śledzi. Ulica była pusta. Ruszył więc zarośniętym trawą chodnikiem. Wnet dotarł do szopy, której przeznaczenie trudno było odgadnąć. Przez pozbawione ram okno zajrzał do środka. Zawalone gruzem i gnijącymi deskami pomieszczenie odstraszało. Po chwili spoza walącego się stropu wyfrunął barwny ptaszek. Śmignął tuż nad głową chłopca, a potem spod desek wyszedł wielki spasiony kot. Jego oczy błysnęły w półmroku jak zwodne ogniki. Chłopiec zamknął oczy, a gdy je

otworzył, kota już nie było. Z wolna ogarniał go nastrój tajemniczej niesamowitości. Poddał mu się do tego stopnia, iż przez chwilę zastanawiał się, czy kot był żywym kotem, czy zjawą.

Wnet jednak otrząsnął się z tego wrażenia. Okrążył szopę, a gdy nie znalazł nic, co by go mogło zainteresować, skierował się w stronę domu. Brodząc po pas w chaszczach, doszedł do prowadzących na werandę schodów. Pomyślał, że cały ten teren nadawałby się świetnie do zabawy w chowanego.

Przyjrzał się bacznie domowi. Był bardzo stary. Jego drewniane, szerniałe ściany chyliły się na jeden bok. Okna pierwszego piętra były ślepe, bez szyb, a okiennice zwisały na zardzewiałych zawiasach. Nad werandą dyndała urwana rynna. Dolne okna zabito na glucho deskami.

Chwycił za mosiężną klamkę drzwi, lecz w tej samej chwili ujrzał nad drzwiami ptaka. Zdawało mu się, że to drewniana rzeźba zdobiąca balustradę werandy, lecz wnet uczył na policzkach powiew powietrza, a ptak bezszelestnie zerwał się do lotu, muskając rozpostartym skrzydłem jego policzek.

- Sowa - wyszeptał przejęty.

Próbował otworzyć drzwi, lecz gdy mocniej szarpnął klamką, ta urwała się, zostając mu w dłoni. Drzwi jednak nie ustąpiły. Zabito je wielkimi gwoździami.

Pełen domysłów i lęku poszedł wzdłuż ścian, a gdy znalazł się na tyłach domu, ujrzał kota wyskakującego z okienka piwnicy. Jeszcze chwilę szukał dogodniejszego wejścia do budynku, lecz wnet stwierdził, że wszystkie drzwi i okna są zabite na amen. Zostało mu tylko piwniczne okienko.

- Trzeba spróbować - pomyślał.

Położył się na mokrej trawie, a potem czołgając się do tyłu, zwiesił nogi po stronie piwnicy i wolno, bez pośpiechu jął przepychać się do środka. Pod nogami wyczuł chwiejącą się skrzynkę. Stał na niej i z wielkim trudem przecisnął przez okienko ramiona. Wtem skrzynka trzasnęła, a pan sierżant runął na zwałisko węgla. Nic mu się jednak nie stało.

W świetle bijącym przez otwór okienny ujrzał stos starych, połamanych mebli i dwie pary nart. Oparte o ścianę stały jak na pośmiewisko w opuszczonej piwnicy. W przeciwnej do okna ścianie zobaczył wiszące na jednym zawiasie drzwi. Ruszył więc w ich kierunku. Za chwilę wydostał się na wąski korytarz. Panował tu niemal zupełny mrok. Szedł więc po omacku, żeby nie potknąć się o leżące na podłodze przedmioty. Nagle coś zapiszczało żałośnie. Na policzku poczuł muśnięcie. Krzyknął, przywarł plecami do ściany. To coś okrążyło go bezszelestnie. Nietoperz - pomyślał z ulgą, lecz zanim zdążył przywyknąć do jego obecności, coś miękkiego przebiegło mu po nogach. Szczury - zdrygnął się ze wstrętem. Chciał wracać do piwnicy, lecz w mroku stracił orientację. Jął więc posuwać się dalej wzdłuż ściany.

Opadały go coraz bardziej niepokojące myśli. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby natknął się teraz na człowieka.

Może to kryjówka złodziei - pomyślał - albo punkt kontaktowy agentów obcego wywiadu?

Nie zważając na przeszkody, puścił się biegiem. Po kilku susach potknął się o blaszany cebrzyk i runął na ziemię, uderzając głową o kanciasty przedmiot, a gdy sięgnął do czoła, na palcach poczuł lepłą krew.

- Ech, niech to jasna pieska-niebieska... - zaklął, lecz wnet pomyślał, z pewną dozą dumy: - Jaka to szkoda, że nie widzi mnie Zulejka. Przekonałaby się, do jakich jestem zdolny poświęceń.

Myśl ta dodała mu otuchy. Podniósł się, zaczął iść wzdłuż ściany. W pewnej chwili natrafił na drewniane drzwi. Odszukał klamkę, nacisnął ją, a gdy drzwi ustąpiły, znalazł się na schodach.

Odsapnął z ulgą. Pomyślał, że najgorsze już za nim. Schody prowadziły na parter. Wnet znalazł się na górze; w smugach przeciekającego przez szpary między deskami światła zobaczył obszerne pomieszczenie, a pod ścianą fortepian z podniesionym wiekiem. Zdawało mu się, że słyszy delikatne, ułożone w pasaże dźwięki. Jakby niewidzialna ręka muskała klawisze. Wprawiło go to w pogodniejszy nastrój.

Powiódł dokoła wzrokiem. Cały hol pokrywała gruba warstwa kurzu. Zdawało się, że przed chwilą spadł tu puch szarego śniegu. W głębi, w rogu, był kominek z nie dopalonymi bierwionami. Na pokrytych tapetą ścianach widniały jaśniejsze pola po zdjętych obrazach. Tylko nad kominkiem wisiał jeszcze sztych przedstawiający panoramę jakiegoś miasta. Przy kominku stał duży fotel z wybebeszonymi kłębami morskiej trawy, a na środku holu leżały zwęglone kawałki drzewa. Wokół nich parkiet był wypalony.

Ktoś palił tu w zimie ognisko, żeby się ogrzać - pomyślał. - Tylko dziwne, że nie spłonął cały dom.

Był tak zaskoczony tym widokiem, że wciąż tkwił w tym samym miejscu. Dopiero gdy usłyszał świergot jaskółki i zobaczył, jak ptak szybuje wprost do ulepionego pod sufitem gniazda, ocknął się z dziwnego odrętwienia. Poruszył się. Po pierwszym kroku spod stopy wzbił się tuman kurzu. W smudze światła pył mienił się tęczowymi barwami. Chłopiec szedł jak po miękkim dywanie. Zastanawiał się, kto dawniej mieszkał w tym opuszczonym domu?

Wnet jednak wrócił do poprzednich rozważań. Wchodząc do domu był niemal pewny, że natknie się na Tola lub śledzącego go Krzywonosą. Tymczasem gruba warstwa kurzu leżała nie tknięta stopą ludzką jak zimowa ponowa. Był to najpewniejszy dowód, że nikt przed nim nie wchodził do tego domu.

Pan sierżant czuł się nieco zawiedziony. Martwota działała nań przygnębiająco. Ruszył więc zwawiej. Minął dwa stojące w amfiladzie pokoje. W trzecim natknął się na polakierowane białe, teraz już zupełnie poźółkłe drzwi. Pchnął je. Zaskrzypiały cieniutko w zawiasach, a za nimi ukazała się wielka łazienka. Dopiero tutaj widać było skutki działalności człowieka: powyrywano kafelki, wszystkie kurki wyjęte, a wanna przesunięta w inne miejsce. Na kamiennej podłodze wałały się najdziwniejsze przedmioty - szczotki, opakowania po mydle, najrozmaitsze słoiki, tubki, flaszeczki - po kosmetykach, połamane wieszaki, części od silnika samochodowego, koszyki, koszyczki -

wszystko w wielkim nieładzie i zapuszczeniu.

Kiedy zbliżył się do wanny, ze zdumieniem spostrzegł, że na jej dawnym miejscu znajduje się kłapa z byle jak zbitych deseczek. Nachylił się, podniósł kłapę. Nagle zdało mu się, iż jest na filmie sensacyjnym. Pod sobą ujrzał bowiem garaż, a w nim wrak starego samochodu. Karoseria była doszczętnie zniszczona przez rdzę. Tylko jej nikłowe części zwisały z blach, połyskując w półmroku. Zdawało mu się, że cały świat pograżył się w martwocie. Dopiero gdy na tylnym fotelu zobaczył rudego kota, wszystko znowu ożyło. Kot przypatrywał mu się nieufnie, lecz po chwili zerwał się i kilka susami dopadł wraku samochodu i zniknął pod nim.

Do diabła - pomyślał - ile tych kotów? - Wnet jednak coś innego zwróciło jego uwagę. Na podłodze garażu spostrzegł wyraźne odbite w kurzu ślady butów. Kot w butach - zażartował w myśli - jak w bajce. Zaczął się zastanawiać, jaki związek mogła mieć celowo wybita dziura w łazience ze śladami ludzkich stóp. Po chwili spostrzegł opartą o ścianę garażu drabinę. Doszedł do wniosku, że ktoś ukrywał się w tym domu i używał drabiny do wchodzenia z garażu znajdującego się na poziomie piwnicy na parter.

Nie zastanawiając się, opuścił się na rękach przez wylot. Na chwilę zawisł w powietrzu, lecz wnet nogami sięgnął drabiny i już bez przeszkód zszedł do garażu. Rudy kot wymknął się spod samochodu. Zginął między rzuconymi w kąt oponami. Z legowiska na tylnym fotelu samochodu odezwało się ciche pomiaukiwanie. Bartek zajrzał do wnętrza samochodu. Na fotelu zobaczył kilka kociąt. Widok ten tak go ubawił, że się głośno roześmiał. Dopiero wtedy kocięta rozpierzchły się po ciemnych zakamarkach wozu.

Pana sierżanta najbardziej jednak zaciekały ślady butów. Były to duże buty z wyraźnymi wrębami, prawdopodobnie gumiaki. Zastanawiał się, którędy ich właściciel wszedł do garażu. Na pewno nie przez łazienkę, gdyż tam nie było ani jednego śladu. Drzwiami garażu też nie, gdyż były solidnie zaryglowane. Rozglądając się, spostrzegł, że w kącie, za rzuconymi niedbale oponami coś się poruszyło. Po chwili znowu ukazała się ruda kotka. W ciemności błysnęły jej zielone oczy. Chciał ją przywołać, lecz daremnie, bo gdy tylko zbliżył się do opon, zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię.

Zdawało mu się, że pojął, na czym polega zabawa. Szybko odwalił na bok ciężkie opony i wtedy odkrył w murze niski, sięgający mu do pasa właz. Kucnął. Spojrzał w głąb włazu. W nikłym świetle przenikającym przez dziurawy strop, zobaczył rodzaj skośnego szybu schodzącego w podziemia. Był bardzo stromy, a jego ściany tworzył szalunek z grubych desek. Bez trudu można było połapać się, że wydrążono go już po opuszczeniu domu przez lokatorów.

Wahał się chwilę - iść dalej czy się wycofać, lecz wrodzona ciekawość pchnęła go do przodu. Schylił się, próbował zejść, lecz szyb był na to za stromy i za niski. Usiadł więc i podtrzymując się rękami, zsuwał się wolno w dół.

W pewnym momencie poczuł, że nie potrafi dłużej utrzymać się w tej pozycji. Sklecona z desek podłoga szybu stawała się coraz bardziej śliska. Jeszcze chwilę hamował piętami, lecz wnet pośliznął się i jak po rynnie zjechał na sam dół. Zatrzymał się dopiero na betonowej zalanej po kostki wodą podłodze, a gdy spojrzał w górę, zobaczył nikłe światło wlotu. Oceniał głębokość szybu na

pięć, sześć metrów i nagle zadał sobie pytanie: skąd na tej głębokości wzięła się betonowa podłoga?

Wkrótce zorientował się, że znajduje się w podziemnym korytarzu. Było cicho. Słyszał tylko spadające krople wody. Gdy posunął się kilka kroków wzdłuż ściany, wokół niego zapanował nieprzenikniony mrok. Wtedy dopiero opanował go paniczny strach. Zawrócił i biegiem dotarł do szybu. Zaczął się wspinać na klęczkach, jednak mokre i mchem porośnięte deski podłogi okazały się tak śliskie, że po chwili znowu zjechał na samo dno szybu. Myśl, że może tu zostać, sparaliżowała mu ruchy. Poczul przejmujący chłód, zaczął drżeć, a włosy zjeżyły mu się na głowie.

Po chwili, rażony nieopanowanym strachem, rzucił się powtórnie do przodu, lecz tym razem ześliznął się jeszcze szybciej. Czuł, że opuszczają go siły i traci władzę w kończynach. Krzyknął przeraźliwie, lecz głos zabrzmiał głucho, jakby przytłumiony ciężką zasłoną. Wtedy ośwładał nim żal. Pomyślał, że już nigdy stąd nie wyjdzie.

DOBIORĘ SIĘ WAM DO SKÓRY

W tym czasie, kiedy sierżant służby śledczej odkrył tajemniczy, podziemny korytarz, jego szef wracał od Fajczarza. Był wściekły i rozdrażniony. Nie dość, że nie wydusił z Fajczarza żadnej informacji, to zostawił mu zwitek - jedyny, jak przypuszczał, dowód jego szpiegowskiej roboty. Teraz bowiem pani inspektor była pewna, że ma do czynienia z dobrze zorganizowaną siatką wywiadowczą.

Zaciskała pięści aż do bólu, powstrzymywała łzy cisnące się pod powieki i powtarzała gniewnie: „Poczekajcie, ja się wam jeszcze dobiore do skóry”. Nic jej to jednak nie pomagało, a jedynie wzmagalo rozdrażnienie. Szła właściwie bez celu. Dopiero gdy minęła budkę z lodami, pomyślała, że na zły humor pomogą jej duże śmietankowe. Zawróciła więc i podeszła do okienka, w którym, jak w ramie obrazu, tkwiła twarz brodacza. Przed nią były jeszcze trzy osoby, więc uzbroiwszy się w cierpliwość, czekała na swoją kolejkę.

Nagle drgnęła. Ujrzała bowiem zbliżającą się parę - Żaloszną Mortadelę i picusia-lalusia, czyli Tola. Po ich smętnych minach można się było zorientować, że nie są w szampańskim nastroju. Szli w milczeniu jak w kondukcje pogrzebowym. Gdy doszli do budki, Mortadela usiadła przy stoliku-pniu, a w twornis stanął za Zulejką.

Pani inspektor w jednej chwili zapomniała o własnych niepowodzeniach. Zebrała się w sobie, a kiedy dostała podwójną porcję lodów śmietankowych, okrążyła budkę, żeby jej nie zauważyła smętna pani w czerni, a potem, kryjąc się za plecami innych klientów, usiadła przy sąsiednim pieńku. Na szczęście Mortadela była tak zajęta własnymi myślami, że jej nie spostrzegła. Wnet zjawił się Tolo z butelką coca-coli i dwiema szklankami.

- Nie było zwykłej wody mineralnej? - zapytała Mortadela rozdrażnionym tonem.

- Jak widzisz, nie było - odpowiedział potulnie.

- To może woda sodowa?

- Pytałem, też nie było.

- Nie cierpię coca-coli.

- Ja też.

- To po co wzięłeś?

- Ech... - westchnął - tobie to nigdy nie można dogodzić. - Postawił butelkę i szklanki na stole, usiadł bokiem do Zulejki. Chwilę milczeli. Było to tak ciężkie milczenie, że nawet pani inspektor odczuła jego brzemię.

- Byłeś u ciotki? - Mortadela odezwała się pierwsza.

- Już ci mówiłem, że byłem rano.

- Rano to już wiem, ale teraz... Przecież obiecałeś, że pójdziesz po obiedzie. - Głos jej brzmiał coraz bardziej szorstko.

- Nie zastałem jej.

- Łżesz. Po prostu się jej boisz.

- To dlaczego ty nie pójdziesz?

Mortadela szastnęła się gniewnie.

- Ona nie jest moją ciotką. A ty wszystko chciałbyś zdobyć bez wysiłku.

Tolo opuścił głowę. Z tępych wyrazem twarzy patrzył na czubki swoich eleganckich mokasynów.

- Nie rozumiem cię. Mówiłaś, że miałaś już ten kamień w dłoni.

Zulejka drgnęła.

Zaczyna się - pomyślała. - Teraz puszcza farbę. - Natężywszy słuch, przesunęła się nieco bliżej kłócącej się pary. Kobieta zaśmiała się drwiąco.

- Miałam, ale mi wypadł... Bo ta smarkata zauważyła...

Zulejka aż syknęła. To znaczy, że był tylko jeden brylant - pomyślała z ulgą.

Tolo uczynił gest lekceważenia.

- Miałaś się kim przejmować. Ja bym to inaczej załatwił.
- No, pięknie. Szkoda, że cię tam nie było.
- Oczywiście, że szkoda. Nie wypuściłbym go z ręki.
- Tylko popłakałbyś się ze strachu.
- Właściwie nie wiem, o co my się spieramy - powiedział pojednawczo Tolo.
- O to - wyrecytowała z naciskiem - że miałaś być po obiedzie u ciotki.
- Mówiłem, że nie zastałem jej.
- Nie wierzę ci. Człowieku, przegapiliśmy taką okazję.

Tolo gestem znudzonego playboya uniósł rękę do czoła.

- Nie możesz być pewna, czy ten kamień jest prawdziwy.

- O to będziemy się martwili, gdy go zdobędziemy. - Ujęła mocno dłoń młodzieńca i rzekła pojednawczo: - Słuchaj, Tolu, to naprawdę ważna sprawa. Znudziło mi się żyć tak z dnia na dzień, nie mając żadnej perspektywy. Ten kamień urządziłby nas na dłuższy czas.

Tolo pokręcił z powątpiewaniem głową.

- A ja sądzę, że sprawa słoni jest dla nas korzystniejsza.

- Śmieszny jesteś. Tu masz wszystko jasne, a co do tamtej sprawy, to wszystko wydaje mi się mgliste i zagadkowe... A przede wszystkim... - Nie dokończyła, gdyż obok nich usiadła młoda kobieta z dzieckiem.

Mortadela wstała.

- Nie ma się nad czym zastanawiać. Musisz podczas kolacji złapać ciotkę i zorientować się... - Znowu ucięła. Tym razem ujrzała Zulejkę. Na jej widok twarz jej stężała, a w oczach pojawił się ostrzegawczy błysk.

Zulejka uśmiechnęła się chytrze i skinęła jej głową.

- Dzień dobry pani. Jak to miło spotkać panią znowu.
- Dobry wieczór - kiwnęła głową, starając się opanować zakłopotanie. - Jak ci smakują lody?
- Mnie znakomicie - przymrużyła znacząco oko - a pani, jak widzę, nie odpowiada coca-cola.

- Nie poznałam cię w pierwszej chwili. I nawet nie spostrzegłam, kiedy tu usiadłaś.

- A ja poznałam panią od razu. Dobrze panią zapamiętałam, bo...

- To pięknie - rzuciła pospiesznie i skinęła głową na Tola. - Idziemy, mój drogi.

Zulejka zachichotała cichutko.

- A nie interesuje panią ten brylant spod tapczanu?

- Jaki brylant? - udała zdziwienie.

- Ten, który pani trzymała już w ręce.

- Nie rozumiem, o czym ty mówisz? - powiedziała z naciskiem.

Tolo ujął ją pod rękę i odciągnął na bok.

- Chodźmy już, Irmo.

- Zaczekaj - wyrwała rękę z uchwytu - ta mała wie coś bardzo interesującego.

Zulejka łypnęła wesoło.

- Mogę tylko powiedzieć, że ten kamień jest prawdziwy i wart fortunę. - Skinęła im ręką i chciała odejść, lecz Irma zagroziła jej drogę.

- Może wiesz, gdzie ciocia...

Zulejka uprzedziła ją.

- Nie wiem, gdzie go schowała, wiem jedynie, że jest w bezpiecznym miejscu.

Tolo zmienił ton. Powiedział urzekająco grzecznie:

- Słuchaj, jeżeli powiesz nam, gdzie jest ten kamień, to...

- Trele-morele, nie przekupicie mnie - przerwała mu.

- To dlaczego nas podsłuchiwałaś?

- Ja?... Ależ skąd. Po prostu jadłam lody.

Irma energicznym ruchem odsunęła Tola i zbliżywszy się do Zulejki, powiedziała ostro:

- Słuchaj, ty przemądrzalska, po pierwsze, to bardzo nieładnie podsłuchiwać

- Wiem, pro... pani, ale ja nie podsłuchiwałam, po prostu... Radzę państwu, żebyście w

przyszłości mówili trochę ciszej.

Mortadela chwyciła ją pod brodę. Spojrzała jej gniewnie w oczy.

- A ja ci radzę, żebyś jak najprędzej zapomniała, o czym rozmawialiśmy z tym panem.

RADZĘ DOBRZE SCHOWAĆ TEN BRYLANT

Pani inspektor tak się zagapiła na odchodzących, że rozpuszczone lody pociekły jej na bluzkę i spodnie.

- Niedoczekanie wasze - wyszeptała bezwiednie. - Będziecie mieć figę, a nie brylant za dwieście tysięcy.

Kiedy tamci zniknęli za szpalerem kasztanowców, pani inspektor schrupała wafel po lodach i zamyśliła się głęboko. Brylant to zupełnie jasna sprawa, lecz co oni mieli na myśli mówiąc, że sprawa słoni jest mglista i zagadkowa? Może również należą do siatki szpiegowskiej. Temu mięczakowi Tolowi źle patrzy z oczu. Udaje mięczaka, a pewno snuje jakieś przestępcze plany i ma powiązania z... Z kim? - zadała sobie pytanie, na które chwilowo nie знаła odpowiedzi. - W każdym razie nie z Ligą Ochrony Przyrody ani ze stróżem anielskim. Zresztą - któż to może wiedzieć, na co stać takie podejrzone indywiduum?

Zatarła dłonie i niby wesóły obłoczek pędzony przez wicher przeznaczenia, pobiegła do „Goplany”. Sądziła, że zastanie Bartka i razem obgadają nowe szczegóły sprawy, a właściwie dwóch spraw. Sierżanta jednak nie zastała. Pan Dziwisz, który w ogródku na ławce wgłębiał się w jakąś sprawę naukową, powiedział jej, że od obiadu nie było go w pensjonacie.

Zulejkę coś kusiło, by porozmawiać z ufologiem. Ociągając się z odejściem, zapytała:

- A nie wie pan przypadkowo, dokąd mógł pójść?

- Przekładkowo nie wiem. - Uniósł mętny wzrok sponad książki. - Nieprzekładkowo natomiast zdaje mi się, że zbija baki i dziwnie się zachowuje. W nocy na przykład zaczął krzyżeć: „Łapaj szpiega! Strzelaj!” i coś jeszcze. - Poprawił okulary i baczniej przyjrzał się dziewczynie. - Słuchaj no, co wy się teraz bawicie?

- Nie bawimy się, pro... pana - odpaliła chwacko.

- Do niedawna bawiliście się w Indian. Bartek ma do tej pory pióropusz z indyckich piór.

- To dziecinna zabawa, pro... pana.

- Ja też tak sądzę, ale obecnie mój syn wygląda mi na bardzo zajętego. No i te okrzyki przez sen. Może macie jakieś niebezpieczne zajęcie?

- Tak - odparła, unosząc zuchwale głowę.

- Czy mógłbym wiedzieć, co...

- Nie - przerwała mu. - Teraz nie możemy panu wyjawiać... ale przyjdzie czas, że dowie się pan z gazet.

- Ooo!... - Pokręcił z uznaniem głową. - To musi być coś bardzo ważnego.

- Tak. I dlatego nie mogę panu powiedzieć.

- Rozumiem cię. Tylko pamiętajcie, żebyście się nie wpakowali w jakieś tarapaty.

- Może pan być spokojny. Ja już dobrze nad tym czuwam.

- Uważaj, moja droga, na Bartka, bo on często strzela straszliwe głupstwa.

- To... To ja również wiem, dlatego trzymam go krótko.

Przez bladą twarz ufologa przemknął uśmiech.

- Widzę, że masz skłonności do przewodzenia.

- Jestem starsza od niego.

- O ile?

- O trzy miesiące.

- W waszym wieku to się nawet liczy. A czy on jako chłopiec bez buntu przystosowuje się do tych warunków?

- Czasem nawet się buntuje, ale ja potrafię przywołać go do porządku.

Pan Dziwisz poprawił okulary.

- Biedny będzie w przyszłości twój mąż - zazartował.

W tej samej chwili przy furtce ukazała się pani Żednicka.

- Dziękuję panu - rzuciła spiesznie Zulejka. - A jak przyjdzie Bartek, to proszę mu powiedzieć, żeby się do mnie zgłosił.

Pan Dziwisz widząc, że dziewczyna swą uwagę przeniosła z niego na zbliżającą się kobietę, skinął na pożegnanie głową i w tej samej chwili wlepił oczy w książkę. Zulejka podbiegła do pani

Żednickiej.

- Ale piękne maliny! - zawołała, widząc w jej ręce koszyk pełen tych smakowitych owoców. - Gdzie pani je nazbierała?

- W lesie, za kempingiem - odparła cicho.

Zulejka spostrzegła, że babcia jest dziwnie zatroskana i zmęczona. Ujęła więc koszyk z malinami.

- Pomogę pani. Zaniosę na piętro. - Nie czekając na odpowiedź, wzięła od pani Żednickiej koszyk i skierowała się do drzwi pensjonatu.

- Dziękuję ci. Jesteś bardzo miła.

- To głupstwo, pro... pani.

Kiedy znalazły się przed numerem piątym, pani Żednicka odebrała jej koszyk. Zula poczuła się zawiedziona. Chciała koniecznie z nią porozmawiać. Zapytała więc:

- Czy mogłabym wstąpić do pani?

- Proszę cię bardzo - rzuciła babcia chłodno. Widać było, że nie jest zbyt zachwycona prośbą dziewczyny.

W pokoju było chłodno. Przez opuszczone żaluzje przesączały się smugi słońca. Pachniało stojącymi we flakonie lewkoniami. Pani Żednicka usypała z koszyka na talerzyk malin. Podała Zulejce łyżeczkę.

- Mówię ci, Zula, że nie wiem, co mam robić... - Usiadła na tapczanie. - Wyobraź sobie, że... - Machnęła z rezygnacją ręką.

- Ja to bym się tylko cieszyła - podchwyciła skwapliwie dziewczyna.

- Z czego? - zdziwiła się babcia.

- No, z tego brylantu, bo to przecież duża forsa.

- Ach, nie o tym chciałam mówić. Wyobraź sobie, że przyjechał dzisiaj mój siostrzeniec...

- Tolo? - mrugnęła porozumiewawczo Zulejka.

- A skąd wiesz?

- O tym ćwierkają wszystkie wróble na dachu. Ja bym się nie przejmowała takim picusiem.

Pani Żednicka uśmiechnęła się nikle.

- Dobrze go określiłaś.

- I ostrzegam panią, on przyjdzie tutaj w czasie kolacji.

Pani Żednicka spojrzała podejrzliwie.

- Widzę, że bardzo się nim interesujesz.

- Bo to... dobry numer.

- Moja droga - obruszyła się - masz dziwny sposób wyrażania się i mówisz dwuznacznie. Może znasz Tola?

- Niestety, nie miałam przyjemności. Tylko... Byłam na lodach i przypadkowo słyszałam, że on się do pani wybiera. Radziłabym dobrze schować ten brylant.

Pani Żednicka zmarszczeniem brwi wyraziła niezadowolenie.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz?

- Przecież już rano chciał panią naciągnąć na forszę.

Babcia wzdrygnęła się.

- Coś takiego! Czy nie uważasz, że za bardzo wtrącasz się w nie swoje sprawy?

- Przepraszam, ale powiedział mi Czesiu...

- I ty mu od razu uwierzyłaś. Nie rozumiem, skąd Tolo mógł się dowiedzieć o brylancie?

- To proste, pro... pani, powiedziała mu ta pani, która była na przyjęciu...

- Irma?

- Tak, właśnie ona. A teraz namawiała go, żeby jeszcze raz przyszedł do pani po brylant.

Pani Żednicka uniosła dłonie do skroni.

- To wszystko jest dla mnie strasznie dziwne.

- Dla mnie też - wtrąciła dziewczyna. - Chciałam panią ostrzec, bo oni mają oko na ten kamień.

Pani Żednicka wstała, wyprostowała się i ostro spojrzała na dziewczynę.

- Moja droga, to są nasze sprawy rodzinne, więc lepiej by było, gdybyś się nimi nie interesowała.

Zulejka przymrużyła oko.

- A siatką szpiegowską też?

Pani Żednicka wzdrygnęła się.

- Co ty pleciesz, moje dziecko. Jaką siatką?

Dziewczyna uśmiechnęła się kpiąco.

- A te zwitki z rozbitego słońca to się nie liczą?

- Ach, te... - Roześmiała się. - Zastanawialiśmy się z panem Bartem, co one mogą zawierać. Pan Bart powiedział, że to jest szyfr, do którego trzeba mieć klucz.

- No, jasne. I pan Bart udaje, że nie może ich odczytać... I ciekawa jestem, gdzie są te zwitki?

Pani Żednicka westchnęła głucho.

- Zulo, czy ty nie masz gorączki?

- Nie, pro... pani. Tylko jestem za cwana, żeby mnie robić w konia.

Pani Żednicka spojrzała na nią kpiąco, lecz gdy napotkała przymilny uśmiech dziewczyny, podeszła do niej i pogłaskała ją po policzku.

- Skąd ty znasz takie wyrażenia? I w ogóle muszę się wybrać do twego taty, żeby troskliwiej zajął się twoim zdrowiem. Widzę, że jesteś przewrażliwiona, a twoja wyobraźnia...

Dziewczyna wpadła jej w słowo:

- Chce pani powiedzieć, że jestem stuknięta? Może pani być zupełnie spokojna o stan mej łepetyny. Wszystkie klepki mam w porządku, a mózg pracuje na tranzystorach.

CO TY ROBISZ, DZIEWCZYNO?

Kolacja w restauracji „Goplany” zaczynała się o siódmej. Przed siódmą pani inspektor, zaniepokojona nieobecnością swego podwładnego, wpadła pod siódemkę. Zastała pani Dziwisza ślęczącego nad jakimiś zadaniami matematycznymi.

Pewno staruszek oblicza, jak daleko jest księżyc od miesiąca? - pomyślała. Potem zapytała już głośno:

- Czy nie było jeszcze Bartka?

Zdjął szkła, położył je na upstrzonej przedziwnymi znakami kartce papieru.

- Właśnie czekam na niego. Mam nadzieję, że zjawi się na kolację.

Dziewczyna zamyśliła się. Zaczęła się niepokoić, bo właściwie sierżant pierwszy raz zniknął na tak długo. Domyślała się, że zapewne rozwiązuje jeden z gnębiących ich problemów kryminalnych. Ale który? W ciągu pracowitego popołudnia widziała wszystkich podejrzanych, a jednak nie zauważyła śladu jego wywiadowczej roboty. Może wpadł na kogoś jeszcze ważniejszego?

Z zadumy wyrwał ją pan Dziwisz.

- Co ci się stało? - zapytał, przecierając zmęczone oczy.

- A... nic, naprawdę nic... Gdyby Bartek się zjawił, to proszę mu powiedzieć, że będę w okolicy „Goplany”.

Pan Dziwisz spojrzał na nią niemal troskliwie

- Czy wy nie szykujecie jakiejś sensacji?

- Ależ nie... Skądże? Po prostu mam do niego ważną sprawę - wyrecytowała jednym tchem, a gdy znalazła się za drzwiami, pomyślała: ten wujaszek UFO domyśla się czegoś. Może on też... - Przestraszyła się własnej myśli, lecz podejrzenie zaczęło kiełkować w jej rozpalonej głowie: może maskuje się, udaje znawcę nie zidentyfikowanych obiektów latających, a tymczasem wylicza, ile bomb należałoby użyć do wysadzenia w powietrze... - Tak przeraziło ją to przypuszczenie, że westchnęła. Nie mogła jednak dłużej snuć tych myśli, gdyż na schodach natknęła się na Żalosią Mortadelę.

Tym razem pani Irma była w czarnej sukni - krzyk mody - luźno zwisającej z ramion i złachanej specjalnie po to, żeby była modna. Na widok pani inspektor zawahała się. Stanąwszy między szóstym a siódmym stopniem, przybrała pozycję wyczekującą.

Pani inspektor uśmiechnęła się wymownie i rzuciła z nonszalancją:

- To jednak pani pofatygowała się zamiast... - chciała powiedzieć: „zamiast tego picusia-milusia”, lecz zabrakło jej odwagi.

Tamta udała, że nie zrozumiała przytyku. Skinęła tylko głową, i minąwszy ją, ruszyła w górę schodów.

Teraz albo nigdy - pomyślała dziewczyna. - Nie bądź taka tajemnicza. Nie znasz jeszcze Zulejki i nie wiesz, na co ją stać. Przeczekała, aż Mortadela wejdzie do pani Żednickiej, a wtedy szybko wbiegła na piętro i dopadła znajdujących się na końcu korytarza drzwi.

Drogę na dach poznała podczas zabawy w chowanego. Drzwi prowadziły na strych, po drabinie wchodziło się do oszklonego, prowadzącego na dach wjazdu. Należało tylko podnieść klapę. Dla wysportowanej dziewczyny nie przedstawiało to większej trudności. W mig znalazła się na

drewnianej kładce łączącej wszystkie kominy. Trudności zaczęły się dopiero wtedy, gdy spróbowała opuścić się do rynny, skąd można było przesunąć się do okna i usłyszeć toczącą się w pokoju rozmowę.

Dach spadał stromo, a odległość między kładką a rynną wynosiła więcej niż długość ciała dorosłej osoby. Zulejka kilka razy próbowała opuścić się na rękach, lecz nigdy nie udało jej się dosięgnąć nogami rynny. Mogła wprawdzie ześliznąć się na brzuchu, lecz obawiała się, że rynna nie wytrzyma jej ciężaru. Po chwili namysłu wpadła na iście szatański pomysł. Szybko zrzuciła z siebie dzinsy, jedną nogawkę przywiązała do kładki i trzymając się spodni z kocią zręcznością opuściła się aż do rynny, lecz gdy mocno oparła się o nią nogami, przerdzewiała rynna załamała się z hukiem, a pani inspektor zawisała na własnych dzinsach.

Huk łamiącej się rynny był tak głośny, że po chwili w oknie pojawiła się pani Żednicka:

- Chryste Panie! - zawołała przerażona. - Co ty tu robisz, dziewczyno?

Pani inspektor nawet w tym tragicznym położeniu nie straciła zimnej krwi i konceptu..

- Nie widzi pani, że szukam gniazda szpaka? - wydusiła z zaciśniętego strachem gardła. Wyczuła, że dzinsy, chociaż oryginalne Lee, trzeszczą w szwach. Fikając nogami w powietrzu, szukała jakiegoś oparcia dla nóg. Niestety, nie natrafiła na żaden występ. Rozejrzała się. Przed sobą ujrzała hak, który dotąd podtrzymywał rynnę. Z wielkim wysiłkiem podciągnęła się na rękach, a jedną nogę postawiła na hak, lecz hak też się urwał.

Pani Żednicka tak się wystraszyła, że zamiast ratować dziewczynę, załamywała nad nią ręce. Żałosna Mortadela była bardziej opanowana. Zdarła z tapczanu koc i przerzuciwszy go przez okno, zawołała:

- Trzymaj mocno, ja cię podciągnę.

Zula kurczowo chwyciła róg koca. Przy pomocy pani Irmy zdołała wywindować się na parapet, a gdy stanęła na podłodze, przypomniała sobie, że jest bez dzinsów.

Pani Żednicka załamała ręce.

- Na litość boską, Zulu, co ty wyprawiasz?

- Ja... - zerknęła w stronę Mortadeli - mówiłam już pani, że podglądałam, jak szpak karmił pisklęta.

Mortadela uśmiechnęła się kpiąco.

- I ile naliczyłaś tych piskląt?

Chciała jej odpowiedzieć dowcipnie, lecz pani Żednicka uprzedziła ją.

- Nie kłamałabyś przynajmniej. Czy zdajesz sobie sprawę, co by było gdybyś spadła?

- To niewysoko, pro... pani, pierwsze piętro. Już nieraz skakałam z większej wysokości.

- Powiedz mi, ale tak szczerze - wtrąciła pani Irma głosem pełnym przygany - dlaczego stale mnie nękasz?

- Ja? - Zula zrobiła niewinną minę, a przymrużywszy oko, dorzuciła chytrze: - Pani sama doskonale wie, więc nie rozumiem, dlaczego mnie pani pyta.

Mortadela rozłożyła ręce gestem wyrażającym bezradność.

- No, widzi pani - zwróciła się do babci. - Niedawno podsłuchiwała naszą rozmowę z Tolem, a teraz...

- Może sobie pani przypomni - wtrąciła dziewczyna - o czym rozmawialiście z tym panem?

Pani Żednicka, chcąc zażegnać przykrą sytuację, wskazała głową przewieszoną przez parapet dzinsy.

- Wypadałoby nareszcie włożyć te portki.

Dziewczyna rozejrzała się.

- Ach... - westchnęła. - Zdaje mi się, że jesteśmy tu same. - Przynaglona jednak pełnym nagany spojrzeniem babci usiadła na krześle i z trudem ją wciągać obcisłe spodnie.

Mortadela, korzystając z chwili zamieszania, skinęła głową babci.

- Do widzenia, pani Doroto, mam nadzieję, że nie weźmie mi pani tego za złe. Po prostu Tolo mnie prosił... Mówił, że nie ma odwagi... - Nie dokończywszy, złapała za kłamek.

- Niech mu pani powie, żeby się panią nie wyręczał.

- Tak, oczywiście - rzuciła spiesznie i szybko opuściła pokój.

Zulejka miała już jedną nogę w nogawce.

- Znowu chcą panią wyrolować - powiedziała z nutką kpiny.

Pani Żednicka charakterystycznym gestem podniosła dłonie do skroni i przymknąwszy powieki, wyszeptała:

- Ach! Co ja z wami mam. Doskonale was rozumiem, chcecie się bawić, ale...

- To wcale nie zabawa, proszę pani!... - zaprotestowała. - My... Chciała powiedzieć: „Rozpracujemy siatkę szpiegowską”, lecz w porę zamilkła.

Babcia spojrzała wyrozumiale.

- Przypuszczam, że traktujecie tę zabawę bardzo poważnie, lecz wierz mi, jest pewna granica, której...

Dziewczyna wpadła jej w słowo:

- A może ta pani nie przyszła w sprawie brylantu?

- Nie - zaprzeczyła stanowczo. - A jeżeli idzie o brylant, to muszę cię rozczarować... On nie jest prawdziwy. To zwykłe szkło.

- Nie wierzę.

- Jeżeli mi nie wierzysz, to zapytaj pana Bartkowskiego...

- Nie znam pana Bartkowskiego.

- Chciałam powiedzieć pana Barta.

- Ach... Tego z fajką. To najwredniejszy typ z całej paki. I żał mi, że stała się pani jego ofiarą, a my...

Pani Żednicka roześmiała się.

- Przepraszam cię, ale to już zakrawa na żarty. Pan Bart jest wielkim przyjacielem młodzieży.

- To czysty kamuflaż - zawołała dziewczyna. - Pokerowe pociągnięcie. Ale on nie wie, z kim ma do czynienia. Żeby nie wiem co - mówiła w gniewnym uniesieniu - to nakryjemy tę siatkę.

- Co ty wygadujesz? Już drugi raz napomykasz o jakiejś siatce. Powiedz, o co ci chodzi?

- Panią to szanujemy - wyznała już spokojnie - ale tego podejrzanego osobnika to...

W tej samej chwili wpadł do pokoju Muminek.

- Babciu - zawołał od progu - na kolację są knedle ze śliwkami. Spiesz się, bo może zabraknąć.

- Jego okrągłutkie oczka spoczęły na Zulejce. Na jej widok na chwilę go zamurowało. Wnet jednak uśmiechnął się łobuzersko, przymrużył oko i zapytał:

- Za ile sprzedajesz te dzinsy?

TO SIĘ PANI GRUBO MYLI

Na kempingu panował wieczorny ruch. Przed namiotami zapłonęły maszynki spirytusowe, kuchenki gazowe, a dokoła rozplywały się zapachy przyrządzanych potraw. Młodzież w pobliskim lesie zbierała chrust i suche gałęzie na ognisko. Nad brzegiem jeziora urósł już spory stos suszyny. Będą piekli ziemniaki i smażyli kiełbasę na patyku, a potem zaśpiewają razem w zwartym kręgu, urzeczeni niepowtarzalnym nastrojem obozowego ogniska.

Zulejka z daleka ujrzała ojca pochylonego nad kuchenką gazową. Mieszał warzächlich węgierski paprykarz. Od kuchenki ciągnęła smuga wspaniałego zapachu. Zatrzymała się przed ojcem.

- Papo, czy nie było tu Bartka?

- Nie - odparł, ogarniając córkę krytycznym spojrzeniem. - A ty co robiłaś tak długo?

- To nieważne, papo. Szukam Bartka, bo nie ma go już od obiadu.

- Rozumiem, ale dlaczego jesteś taka zdenerwowana?

- Bo jestem...

- I czemu tak niegrzecznie odpowiadasz?

- Przepraszam, ale to naprawdę poważna sprawa.

- Byłaś w „Goplanie”?

- Och, ile razy. Jego fater też się niepokoi.

- Przecież Bartek to spokojny i zrównoważony chłopak. Nie sądzę, żeby mu coś groziło. Pewno zabawił u któregoś z kolegów. Ty też często spóźniasz się na posiłki. I zapomniałaś, że dzisiaj miałaś przygotować kolację.

- Jutro będę dyżurować za ciebie - rzuciła spieszenie i obróciwszy się na pięcie, pognęła w stronę osady.

- Zaczekaj! - zawołał za nią, lecz już go nie usłyszała.

Zbliżając się do osiedla, już chyba dziesiąty raz powtarzała w myśli miejsca, gdzie mógł przebywać Bartek. Najbliżej kempingu znajdował się hotel „Jantar”, więc skierowała się w jego stronę. Było już po kolacji. Goście przenieśli się na taras. W dyskretnym świetle lampionów wyglądali, jakby siedzieli w zatopionej grocie.

Zulejka zatrzymała się na schodach. Byстрым spojrzeniem zlustrowała gości hotelowych. Wnet przy jednym ze stolików pod rozłożystą lipą spostrzegła bladą twarz Żalósnej Mortadeli. Naprzeciw niej siedział znudzony Tolo, a obok promieniała pełna zadowolenia wąsata twarz Araba.

Nie namyślając się wiele, klucząc między stolikami, doszła do tego znakomitego towarzystwa. Na jej widok Mortadela uniosła zdumione oczy.

- Przepraszam - zagadnęła Zulejka - czy państwo nie widzieli mojego kolegi?

- Którego kolegi? - Głos Mortadeli zabrzmiał chropowato i obco.

- Tego, który dzisiaj rano był na plaży z Małgosią.

- Ach... tego. Niestety, nie widziałam.

- A pan? - skierowała się do Tola.

Wzruszył ramionami.

- Nawet nie wiem, o kogo ci chodzi.

- To bardzo przepraszam.

Chciała odejść, lecz kobieta zatrzymała ją ruchom ręki.

- Zaczekaj - wlepiała w nią wielkie, orzechowe oczy. - Domyślam się, że bawicie się w prywatnych detektywów.

- To się pani grubo myli, bo nie w prywatnych.

- To nieważne, w jakich. W każdym razie chciałabym wam pomóc. Zdaje mi się, że najbardziej interesuje was brylant, który był schowany w tej porcelanowej figurce.

Zulejka przechyliła w bok głowę i uśmiechnęła się wyzywająco.

- Nie tylko, nie tylko... Są jeszcze ważniejsze sprawy

- Wybacz, o innych nie wiem. Natomiast, jeżeli chodzi o brylant, to możecie poniechać dalszych wysiłków, bo pani Żednicka...

- Powiedziała, że jest fałszywy - dokończyła za nią Zulejka.

Pani Irma zawiesiła na chwilę głos.

- Myślałam, że nie wiesz.

Dziewczyna przymrużyła oko.

- Wiemy także o innych, nieco ważniejszych sprawach.

- Bravo! - wtrącił Tolo. - Ale już dość mam tej zabawy. I zmykaj stąd, bo mnie denerwujesz.

Zulejka dygnęła i poczęstowała go bazyliżkowatym uśmiechem.

- Nie dziwię się, bo boicie się, żebyśmy was nie nakryli.

PRZEDSTAWIĘ CIĘ DO AWANSU, SIERŻANCIE

Bartek wciąż jeszcze tkwił w podziemnym korytarzu. Dziesiątki razy próbował pokonać stromy szyb, lecz zawsze zjeżdżał po wyślizganej własnymi portkami pochylni. Opadał już z sił i z wolna tracił nadzieję. Do skołatanej głowy napływały coraz to czarniejsze myśli - raz sądził, że będzie musiał przenocować w korytarzu, to znowu zdawało mu się, iż stanie się cud i wreszcie zdoła sforsować tę przekłętą stromiznę. Coraz boleśniej odczuwał ziąb, wilgoć i osamotnienie. Znalazł zatem najsuchsze miejsce, usiadł, skulił się i zapadł w odrętwienie.

Nagle, jakby w śnie, usłyszał daleki plusk wody. Pomyślał, że może coś upadło - odprysk betonu lub placek mchu, który gęsto porastał ściany i stropy korytarza.

Plusk jednak nie ustawał. Było go słyszeć coraz bliżej i głośniejsze. A potem nikły blask przesunął się po mrocznej ścianie.

Ktoś z latarką - pomyślał radośnie zdziwiony. Czekał jeszcze chwilę w rosnącym napięciu, lecz wnet poderwał się i krzyżąc: „Ratunku! Ratunku!” - ruszył biegiem w głąb korytarza. Nie ubiegł zbyt daleko, gdy z głębi korytarza usłyszał wołanie:

- Jest tam kto?

- Jest! Jest! - odkrzyknął.

Po chwili daleko, jakby na końcu tunelu, ujrzał kołyszące się światełko, usłyszał plusk wody i rytmiczny oddech wiosłującego.

- Jestem tu! Tutaj! - krzychał pełnym gardłem. Obawiał się, że światełko zniknie, a wiosłujący zawróci. Wnet jednak uspokoił się, a gdy światełko latarki zbliżyło się, zobaczył gumowy ponton, a w nim wiosłującego pagajem człowieka.

Z pontonu, który dobił do płycizny, wyskoczył mężczyzna w stroju płetwonurka.

- Skąd się tu, chłopie, wzięłeś? - padło najoczywistsze w takim wypadku pytanie.

- To nieważne - wykrztusił radośnie podniecony. - Najgorsze, że nie mogę się stąd wydostać.

- Pewnie wszedłeś przez garaż?

- Zjechałem, a nie wszedłem - odparł rzeczowo.

Płetwonurek ujął chłopca za rękę, pociągnął za sobą w stronę pochylni.

- Masz, chłopie, szczęście, że napatoczyłeś się na mnie! Inaczej siedziałbyś tu do zapłakanej śmierci. - Klepnął go mocno w ramię, a po chwili namysłu zapytał: - A właściwie czego tu szukałeś?

- Niczego... ja tylko wszedłem do tego starego domu.

- Nie wiesz, że tu straszy? - zażartował.

- Nie boję się strachów.

- Nie mów hop, bo z duchami rozmaicie bywa.

Zatrzymali się przy sztolni. Płetwonurek zdarł z głowy kaptur. Chłopiec stwierdził, iż jest to młody, sympatyczny mężczyzna, o miłym wejrzeniu szarych, wesołych oczu i rzadkiej rudawej brodzie.

- Powiedz, co cię sprowadziło do tego domu? - zapytał ostrzej nieznajomy.

- Szedłem ulicą i zobaczyłem... Chciałem się przekonać... - plątał się zakłopotany.

- Coś ty kręcisz, stary. Mów, jak było naprawdę?

Bartek przyjrzał mu się uważniej. Płetwonurek spodobał mu się od pierwszego spojrzenia. Odpowiadał mu jego sposób prowadzenia rozmowy i swoboda, z jaką zwracał się do niego. Ale przede wszystkim był mu wdzięczny za wyciągnięcie go z tej piekielnej sytuacji. Postanowił więc mówić prawdę.

- No... - zająknął się - ja tylko tak... bo ulicą szło dwóch podejrzanych osobników.

- Dlaczego podejrzanych? - nastawał płetwonurek.

- Bo tak im z oczu patrzyło.

- Znałeś ich?

- Niby tak, ale nie bardzo... Jeden to taki ze złamanym nosem... Raz mówi, że jest oficerem milicji, a raz, że magistrem ekonomii.

- Czekał no - chwycił go mocno za ramię - Jesteś pewny, że to był glina?

- No, nie. Bo się strasznie głupio zachował. Według mnie to podejrzany facet.

- Wiesz, gdzie mieszka?

- Nie, ale wiem, gdzie jada obiady.

- Więc gdzie?

- Na Cienistej pod czternastym.

- I widziałeś, że to on wchodził do tego starego domu?
- Tego nie widziałem. Wiem tylko, że śledził takiego jednego gościa.
- Kogo? Może go znasz?
- Nie, ale wiem, że to siostrzeniec pani Żednickiej.
- Co to za pani?
- Babcia Muminka.
- Jakiego Muminka?

Chłopiec zachnął się.

- Pan mnie wypytuje, jakbym zrobił coś złego, a ja jestem cholernie głodny i trzęsę się z zimna.
- Od tego, bracie, nie umrzesz. Chodź, spróbujemy wydostać się stąd.

Zbliżył się do szybu, jednym spojrzeniem ocenił sytuację, a potem wparł się plecami w jedną ścianę, a nogami w przeciwną i z trudem jął wspinać się do góry.

- Widzisz - zawołał - że to zupełnie prosty sposób.
- Ja też tak próbowałem - odkrzyknął - ale mi nie wyszło Za krótki jestem.

Płetwonurek, gdy tylko znalazł się na górze, zrzucił chłopcu linkę. Bartek uczepił się jej kurczowo, a przechyliwszy się do tyłu, zaczął się podciągać. Był tak słaby i roztrzęsiony, że nogi ugiwały się pod nim, a ręce obsuwały się na śliskiej linie. Zaparł się jednak mocniej nogami, przełamał ogarniającą go niemoc i przy pomocy nieznanego wy dostał się z tej przeklętej dziury. Na dworze było jeszcze jasno. Przesączaające się przez szpary światło raziło go, a śpiew ptaków, dochodzący spoza ścian, wydał mu się tak piękny jak nigdy.

Nieznajomy trzepnął go mocno w ramię.

- No, widzisz, bracie, daliśmy sobie radę.
- Dziękuję panu - rzucił zakłopotany. - A pan którędy dostał się do tych podziemi?

Tamten uśmiechnął się tajemniczo.

- Jestem przybyszem z innej planety i umiem przenikać nawet przez betonowe ściany.
- Pan żartuje, a ja... chciałbym wiedzieć, gdzie jest jeszcze jedno wejście.

Nieznajomy trącił go łokciem.

- Wszedłem tą sama drogą co ty.

- To niemożliwe, bo tu są ślady butów kogoś, kto nie wchodził, lecz wyszedł poprzednio z podziemi.

- Ale ja umiem fruwać. No, cześć! - Pchnął go lekko, odwrócił się i szybko znikł w ciemnym szybie, jak w teatralnej zapadni.

- Kto to może być? - wyszeptał Bartek. - Może jeszcze jeden agent obcego wywiadu? - pomyślał. - I czego on szuka w tym... - Ocknął się z zamyślenia i z przykrością stwierdził, że zapomniał zapytać nieznajomego, co to właściwie jest to podziemie.

- Bartek, ty jeszcze żyjesz? - zawołała Zulejka, ogarnawszy go niemal matczynym spojrzeniem. - Człowieku, tu wszyscy ciebie szukają. - Dotknęła go, jakby chciała sprawdzić, czy to nie jego duch.

Sierżant zebrał wszystkie siły, by się nie rozbeczeć. Uśmiechnął się kwaśno, zadarł głowę i zaczął takim tonem, jakby opowiadał o spacerze.

- Nic strasznego. Po prostu zrobiłem jeszcze jedno odkrycie.

Cofnęła się w pół kroku, by wzrokiem objąć całą jego postać.

- Jak ty wyglądasz?! I powiedz wreszcie, gdzie byłeś?

- Pod ziemią - mruknął lekceważąco.

- Na cmentarzu?

- Nie... Właściwie to nie wiem, gdzie byłem.

Jeszcze raz oceniła jego wygląd. Był cały upačkany błotem, we włosach miał ogródek botaniczny wszelkich wodorostów, łokcie zdarte do krwi, a na kolanach wydarte dziury w dzinsach.

- Jak to - nie wiesz? Przecież wyglądasz, jakbyś wrócił z wojny.

- To głupstwo. - Uśmiechnął się zawadiacko. - Grunt, że spełniłem swój obowiązek.

- Nie dałam ci przecież żadnego zadania.

- Ale ja sam, z własnej woli...

- Mówże po ludzku, bo umieram z ciekawości.

- Ja też, bo nie wiem, co to za facet i gdzie jest drugie wejście...

Złapała go za ramiona i mocno potrząsnęła.

- Rozkazuję ci wziąć się w garść i zdać normalny raport.

Sierżant wyprężył się, nabrał w piersi powietrza i zaczął opowiadać o swojej ostatniej przygodzie, a skończywszy, dodał skromnie:

- Zdaje mi się, że z honorem wypełniłem zadanie.

- Tak, sierżancie. Jestem dumna z ciebie - powiedziała wzruszona pani inspektor. - Przy najbliższych nominacjach przedstawię cię do awansu. A teraz wal do „Goplany”, bo twój stary wyrywa sobie ostatnie włosy ze swej mądrej głowy.

O CZYM ŚNI SIERŻANT WYWIADU

Nazajutrz była niedziela.

Zulejka, gdy tylko się obudziła, spojrzała przez małe okienko przyczepy. Las stał po czuby drzew we mgle, a na szybie lśniła ciężka rosa. Na drugim legowisku poruszył się ojciec.

- Leje - powiedział wesoło. - Ryba będzie dobrze brała. A ty, mam nadzieję, odpoczniesz, bo ostatnio, coś mi się zdaje, jesteś za bardzo zajęta.

- Tak, papo, jestem już porządnie zmęczona.

- Po takim deszczu będą w lesie grzyby. Mogłabyś się wybrać z Bartkiem. Ususzylibyśmy potem piękny wianuszek i przywieźli mamie.

- Tak, papo, - powiedziała bezmyślnie i wdepnąwszy w tenisówki, usiadła przy składanym stoliku, a potem skinęła na ojca.

- Masz trochę czystego papieru?

- Poszukaj tam, w tej czarnej teczce - odparł nieco zaskoczony. Gdy dziewczyna wyciągnęła plik kartek liniowanego papieru, zdziwił się. - Chyba nie będziesz w niedzielę pisała powieści.

- Spróbuję. - Uśmiechnęła się chytrze. Wyjęła z kieszeni wiatrówki długopis i ssąc jego oprawkę, zagłębiła się w rozmyślaniach.

- Czy to będzie powieść, czy nowela? - zakpił ojciec, wygrzebując się spod śpiwora.

- Błagam cię, nie przeszkadzaj. - Zaczęła szybko wodzić długopisem po kartce.

- Widzę, że masz natchnienie.
- Oj, papo - zmarszczyła figlarnie nosek - może zajmiesz się śniadaniem?
- Dziś na ciebie kolej, bo wczoraj zdezerterowałaś.
- Daj spokój, papo, bo to bardzo ważne.

Ojciec wyprostował długie nogi, przeciągnął się, wstał i przez ramię chciał przeczytać, co napisała córka. Zdążyła jednak zasłonić dłonią, zapisane rzędkami.

- Jesteś nieznośny. Czy to tak ładnie podglądać?

- Zawsze lubiłem w tramwaju albo w autobusie czytać przez ramię czyjąś gazetę. Jest to zajęcie wydłużające zasięg wzroku - żartował. - Może jednak uchylisz rąbka tajemnicy?

- Wszystko ci opowiem, jak wreszcie skończymy... Chciała powiedzieć „skończymy z tą siatką szpiegowską”, lecz w porę zamilkła, a potem dodała z humorem: - Ja ci, papo, nie zaglądam do twoich listów.

- No dobrze, niech ci będzie. Idę trochę pobiegać nad jeziorem.

Gdyby pan Siwosz odczytał chociaż jedno zdanie z raportu pani inspektor, włosy stanęłyby mu dęba. Jego córka przygotowała raport o stanie śledztwa. Postanowiła bowiem uporządkować natłok informacji, gdyż do tej pory nie potrafiła wyprowadzić z chaosu jasnych wniosków. Zabrała się zatem do pracy. Przed śniadaniem raport był już gotowy, a jego autorka zachwycona celnością, z jaką potrafiła ocenić każdego z podejrzanych.

Nic więc dziwnego, że po śniadaniu szybko umyła naczynia i z piosenką na ustach ruszyła w stronę „Goplany”. Jej podwładny spał jeszcze snem pełnym zwiłów.

- Wyobraź sobie - powiedział na przywitanie pan Dziwisz - on znowu wołał przez sen.
- Pewno o jakimś podziemnym tunelu?
- Skąd wiesz? - zdziwił się ufolog.
- Domyślam się.
- Czy powiedział ci, gdzie był tak długo?
- Wspomniał coś o tym - odparła wykrętnie.
- A mnie nie chciał powiedzieć. Mówił, że to wielka tajemnica.
- Mnie też coś w tym rodzaju powiedział.

- Może łaskawie wtajemniczysz mnie, jego ojca, w te wasze fiksy-hopsy.

- Chętnie bym to zrobiła, gdybym wiedziała coś konkretnego.

- Ciekawe, że tak szybko zapomniałaś. - Nagle pogroził jej żartobliwie. - Mnie się zdaje, że to ty jesteś jego złym duchem. Podobno wczoraj wlałaś na dach...

- Tak... Szukałam gniazda szpaka. Ogromnie lubię ptaki. Zwłaszcza śpiewające. To takie mądre stworzenia... i często gnieźdzą się w rynnach.

Pan Dziwisz z kpiącym uśmiechem pod wąsem wysłuchał wykrętów dziewczyny. Potem w milczeniu zbliżył się do umywalki, napełnił wodą kubek do mycia zębów i z miną inkwizytora wylał całą zawartość na głowę rozmarzonego śpiocha.

- Ratunku! - krzyknął przeraźliwie Bartek. - Cały szyb jest zalany. Ratunku! - Wyskoczył spod kołdry, a gdy otworzył oczy i ujrzał przed sobą szefa, wyszeptał: - A ja myślałem, że jestem pod ziemią.

- Pod ziemią? - wzdrygnął się ufolog. - Przecież jesteś w pensjonacie na pierwszym piętrze.

Bohater wczorajszego dnia skrzywił się.

- To świństwo robić takie kawały

- Ubieraj się - ponagliła go Zulejka. Bartek ziewnął jak znudzony krokodyl.

- Już wiem, powiesz, że masz jakieś nadzwyczajne wiadomości.

Zulejka mrugnięciem oka dała znak Bartkowi, żeby się zbytnio nie zapędzał ze swymi domysłami.

- Dobrze... już dobrze - mruknął zawiedziony.

- Tylko ciekaw jestem, w czym wyjdiesz, bo portki masz w strzępach - wtrącił pan Dziwisz.

- Mam jeszcze szorty.

- Najlepsze na taką pogodę - zakpił żartobliwie ojciec.

Znękane oblicze sierżanta tajnej służby rozpromieniło się, a kiedy spojrzął w okno i ujrzał smugi smaganego podmuchami wiatru deszczu, zawołał radośnie:

- Jak to wspaniale! Będę mógł jeszcze trochę pokimać.

- Zapominasz - skarciła go wzrokiem Zulejka - że czekają cię obowiązki.

Pan Dziwisz uśmiechnął się kąśliwie.

- No proszę, wiadomo, że dla udręki niewinnych Bóg stworzył kobiety.

- Dobrze tak panu mówić - zażartowała - bo siedzi pan po uszy zakopany w swoich książkach i czeka, kiedy jakiś latający nie zidentyfikowany obiekt spadnie przed pana nosem.

- Bądź pewna - odciął się - że gdybym był Bartkiem, to zaraz zwałbym na tym pojeździe do innej mgławicy astralnej.

MUMINEK ZOSTAJE WIELKIM CZAROWNIKIEM

Kiedy wyszli na korytarz, Zulejka zrobiła bardzo ważną minę, wyciągnęła spod peleryny zwój arkuszy i wcisnęła go Bartkowi.

- Czytaj.

- A to co? Może nowe tajne dokumenty?

- Nie pytaj, tylko czytaj.

- Tu strasznie ciemno.

- To chodźmy do pokoju telewizyjnego.

Bartek, wciąż jeszcze zaspany, pchnął drzwi i klucząc między rzędami krzeseł, podszedł do okna. Powoli rozwinął kartki. Zaczął czytać półgłosem:

- „Inspektor Zuzanna Siwoszówna. Raport o stanie śledztwa w sprawie siatki szpiegowskiej obcego wywiadu oraz w sprawie tajemniczej figurki przedstawiającej tańczącego słonia...” - Urwał i spojrzał pytająco na szefa.

- Czy to jest odrębna sprawa, czy może łączy się z tą pierwszą? A poza tym już raz zrezygnowaliśmy z pisania takiego raportu.

- Czytaj dalej! Nie analizuj! - rzuciła rozkazująco.

Bartek odchrząknął i kichnął jak z dubeltówki:

- Przeziębilem się.

- Niestrasznego - pocieszyła go - ja już kicham trzeci dzień. - Trąciła go łokciem: - No, czytaj, bo jestem piekielnie ciekawa, co o tym myślisz.

Sierżant odetchnął głęboko.

- „Osoby podejrzane - ciągnął. - Pierwsza - Fajczarz. Ma powiązanie ze światem przestępczym. Zakopał figurkę na wyspie, a potem się bezczelnie wypierał. Spotyka się z drugim podejrzanym osobnikiem i razem jedzą zwitki...

Sierżant chlasnął dłonią w plik arkuszy.

- Coś ty, Zulejko, napisała?

- Nie szkodzi. Spieszyłam się. Zwitki popraw na obiad i czytaj dalej.

- W porządku... Więc „... i razem jedzą obiady... Jest ogromnie tajemniczy i źle mu z oczu patrzy, i ciągle w zębach trzyma zwitki...” - Coś ty? Widzę, że te zwitki dobrze ci utkwily w pamięci.

- Popraw na fajkę i nie przejmuj się takimi drobiazgami.

- A więc - podjął Bartek: - i ciągle w zębach trzyma fajkę, bo ma nieczyste sumienie i stale coś knuje. Rano bez względu na pogodę biega, żeby zmylić czujność. Potrafi zlepieć... ale wciąż się wymiguje i mówi, że nie widział tytoniu...” - Jakiego tytoniu? - zawołał Bartek.

- No, kapujesz, w taką pogodę można się pomylić. Zamiast tytoniu mają być zwitki.

Bartek pokręcił głową, lecz ponaglony przez szefa, dalej ciągnął lekturę:

- „...i mówi, że nie widział zwitków, w których jest tajemniczy szyfr przestępczy. I znowu się wypiera, jak Judasz z Tarnobrzegu...”

- Zulejka - załamał ręce - ty chyba pisałaś ten raport w gorączce. Jaki Judasz i z jakiego Tarnobrzegu?

- Czy w Tarnobrzegu nie może być Judasza? - zapytała półgębkiem.

- Ja chodzę na lekcje religii, to wiem. Judasz się nie zaparł, tylko zdradził Jezusa.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Czy to takie ważne? A kto się wypierał?

- Tomasz.

- To popraw na Tomasz i jedź dalej.

- Nie, pani inspektor, z takim raportem daleko nie zajedziemy. - Zwinął arkusze i chciał je podać Zulejce.

- Może ty - zaperzyła się - napisałbyś lepszy?

- No, pewnie. Ja proponowałem przedstawić to graficznie.

- I z tej twojej grafiki wyszedł rower na trójkątnych kołach.

- Ale było wiadomo, kto z kim.

- Co kto z kim?

- No... Kto z kim ma przestępcze kontakty.

- To wiemy bez grafiki. Może jednak będziesz łaskaw doczytać do końca, żeby wreszcie zorientować się, na czym polega...

- Nie gniewaj się - przerwał jej - ale żaden szanujący się inspektor nie napisałby takich bzdur.

Dziewczyna zachnęła się gniewnie.

- Coś ty powiedział?

- To, co słyszałaś.

- Wypluj to. - Tupnęła z wściekłością.

- Ani mi się śni. To przecież fakt.

- Jak ci się nie podoba, to mogę sobie znaleźć innego sierżanta.

- Proszę cię bardzo. Nie wiem, kto będzie więcej żałował.

- Na pewno nie ja.

- To się jeszcze okaże.

Wymiana zdań następowała w coraz szybszym nasileniu. I byliby się na pewno rozeszli pokłóceni, gdyby do sali telewizyjnej nie wszedł Muminek.

- Co wy tak krzyczycie i krzyczycie? - zapytał trąc zaczerwieniony nos. - Słyszać was w całym pensjonacie.

- Zmywaj się, bo cię przetrączę. - Bartek zamierzył się, lecz Muminek uskoczył i zagrał palcami na nosie.

- Detektywi! Detektywi! - zapiszczał cieniutko.

Zulejka podeszła do niego i złapawszy go za bluzę piżamy, przyciągnęła do siebie.

- Skąd wiesz, szczeniaku? Powiedz jeszcze jedno słowo, to ci uszy oberwę.

- A może nie? - wykrzywił się zabawnie. - A kto śledzi moją babcię? A kto wisiał wczoraj na dachu. Może ja?

Zulejka potrząsnęła nim.

- Ty, Muminku, jeżeli powiesz komuś o tym jedno słowo, to pożałujesz.

Malec zamrugał bezrzęsyimi powiekami.

- Już powiedziałem.

- Komu?

- To tajemnica.

Bartek natarł na niego z drugiej strony.

- Mów, komu?

- Dwóch na jednego - zapiszczał. - A ja i tak się was nie boję.

Zulejka puściła go.

- No widzisz - powiedziała do Bartka. - Cała robota na nic.

Muminek zachichotał bazyliшковato.

- A ja jeszcze coś wiem, coś bardzo ważnego.

- Nie wierzę ci. - Westchnęła z rezygnacją.

- Powiem, jak się zabawimy w Indian.

W skołatanej głowie dziewczyny zrodził się zamysł.

- Kle Kuguara - zwróciła się poważnie do malca - dzisiaj zakopujemy wojenne toporki, bo nad ziemią przeszła nawałnica.

- A dlaczego? - zawołał.

- Bo czarownik naszego szczepu nie usłuchał Wielkiego Ducha.

- A dlaczego?

Bartek zachnął się gniewnie:

- Jak jeszcze raz zapytasz „dlaczego”, to zedrę z ciebie skalp.

Zulejka stanęła między nimi. Odepchnęła Bartka.

- Daj mu spokój, on chce powiedzieć swemu wodzowi coś bardzo ważnego.

- A co dostanę?

- Mianuję cię Wielkim Czarownikiem całego plemienia.

Malec zatańczył dokoła dziewczyny, a skacząc wyśpiewywał:

- Będę Wielkim Czarownikiem całego plemienia Arapachów. Będę...

- Więc mów, co masz do powiedzenia - zawołała zniecierpliwiona Zulejka.

- Ale jeszcze nie jestem.

Położyła mu ręce na ramionach.

- Dzielny Kle Kuguara, mianuję cię Wielkim Czarownikiem szczepu Arapachów.

Muminek znowu okrążył ją tanecznym krokiem, a gdy zatrzymał się, rzekł:

- Teraz mogę ci powiedzieć. Wczoraj babcia bujnęła cię, bo ten brylant jest autentycznie prawdziwy.

NIEOCZEKIWANA WIZYTA

- Słuchaj - powiedziała Zulejka niezwykle podniecona - ta wiadomość ogromnie powikła nam robotę.

Bartek chrząknął znacząco i skinął wymownie w stronę Muminka, chcąc w ten sposób ostrzec szefa, by nie zdradził się przy malcu. Potem powiedział z uśmiechem:

- Ta cała sprawa jest i tak już dość powikłana. Trzeba będzie się zastanowić, co robić dalej.

Muminek zmarszczył łuszczący się nosek.

- Ja wiem, co robić. Trzeba powiedzieć Tolowi, że brylant jest prawdziwy. Dopiero wtedy będzie prawdziwa zabawa.

- Ani mi się waź! - skarciła go Zulejka.

- A ja powiem, i co mi zrobisz?

Bartek pogroził mu pięścią:

- Ty gnomku, jak piśniesz słowo, to...

- A właśnie, że powiem.

Zulejka starała się przemówić do malca łagodnie.

- Słuchaj, Muminku, przecież nie możesz narażać babci na przykrości.

Malec wzruszył ramionami.

- Eee, z was tacy karawaniarze. Nawet nie można z wami porządnie się zabawić.

Zulejka gestem bezradności opuściła rękę

- Idziemy. - Skinęła na Bartka.

Ten bez słowa ruszył do drzwi.

- Bartek! - zawołał za nim Muminek. - zapomniałem ci powiedzieć. Był u ciebie jeden taki z rudą bródką. Taki wesoły.

- To pewno ten pletwonurek - wyjaśnił sierżant szefowi, potem natarł na malca: - To dopiero teraz mi to mówisz?

- A kiedy miałem ci powiedzieć, jak wyście się kłócili i kłócili.

Bartek masował nerwowo policzek.

- Gdzie on może teraz być?

- Nie wiem. Widziałem, jak wychodził z twojego pokoju. Zahaczył mnie, czy nie wiem, gdzie jesteś.

- A ty co?

- Przecież wtedy jeszcze nie wiedziałem.

Bartek zastanowił się.

- To dziwne, skąd on mógł wiedzieć, gdzie mieszkam. Słuchaj - zwrócił się do Zulejki - musimy go odszukać. Może go jeszcze dogonimy. Walimy. - Skinął na dziewczynę i nie czekając na nią, wybiegł na korytarz.

Kiedy znalazł się na ścieżce ogrodowej, ku swojej radości ujrzał nieznanego młodzieńca.

Przechadzał się wzdłuż klombów. Był w gumiakach, welwetowych džinsach, w myśliwskiej kurtce i w fantastycznym sportowym kapelusiku. Na widok chłopca uniósł dłoń do kapelusza.

- Hej - przywitał go, uśmiechając się przyjaźnie. - Byłem u ciebie. Masz bardzo miłego ojca. Uciałem sobie z nim krótką pogawędkę. - Zbliżył się, podając chłopcu rękę.

Czaruś - pomyślał Bartek, ściskając jego twardą i ciepłą dłoń, a po chwili dodał głośno:

- Bardzo mi miło.

- Nie wiedziałem, że twój ojciec to ufolog.

- No tak... wydał już trzy książki na ten temat. Należy do międzynarodowej federacji ufologów i dostaje masę listów z zagranicy - wyjaśnił z dumą.

Młody człowiek zmrużył filuternie oko.

- On pisze o latających talerzach, a ty, bracie, nie mogłeś wydobyć się z szybu. - A gdy spostrzegł, że chłopiec przyjął ten żart z zakłopotaniem, machnął ręką. - Nie mówmy już o tym. Zdarza się. Jak ci na imię?

- Bartek.

- A mnie Łukasz. Możesz mi mówić po imieniu.

Chłopiec, uniósłszy głowę, mruknął nieco zaskoczony:

- Przecież pan dużo starszy ode mnie.

- To głupstwo. Mógłbyś mieć brata albo kuzyna w tym samym wieku, więc mów mi Łukasz.

- To trochę głupio... Tak od razu... I dziwne...

- Nic dziwnego. Przyszedłem po ciebie, żeby ci pokazać drugie wejście do tych bunkrów.

Chłopcu rozjaśniły się oczy.

- To... To strasznie fajnie.

- Fajnie, niefajnie. W każdym razie spodobałeś mi się. Wczoraj podziwiałem twoją spostrzegawczość. Słusznie mówiłeś, że nie mogłem wejść do bunkrów przez garaż. A teraz, chłopie, ubierz się ciepło, bo tam można zmarznąć.

Bartek odwrócił się. Przy furtce zobaczył czekającą na niego Zulejkę. Rzucił więc przez ramię.

- Czy możemy zabrać koleżankę?

- A kto to? - zapytał Łukasz lekko zaskoczony.

- To najfajniejsza dziewczyna, jaką znam.

Zulejka, nie czekając na zaproszenie, podeszła bliżej.

- Bartek opowiadał mi o panu. To pan go wyciągnął z tego szybu?

- Jestem pewny, że gdybym się nie zjawił, to sam dałby sobie radę - powiedział, chcąc usprawiedliwić chłopca. - Niestety, nie mogę cię zabrać, bo mam ponton na dwie osoby, a tam często trzeba przeprowiać się przez wodę.

- Pięknie panu dziękuję. I tak nie poszłabym z wami, bo mam coś ważniejszego do zrobienia - powiedziała nieco urażona i ruszyła za chłopcem do drzwi wejściowych. Na schodach szarpnęła Bartka za rękaw. - Wygląda mi na fantastycznego faceta

- I ja tak myślę. Tylko... - zająknął się.

- Co tylko?

- No bo ja myślałem, że on też może jest podejrzany.

- Wykluczone. To po co by przyszedł do ciebie?

- Może masz rację, ale zawsze trzeba być ostrożnym.

- To się wie... Zazdroszczę ci, ale trudno. Wykorzystam ten czas... bo mam nowy pomysł.

- Jaki?

- My się głowimy, kombinujemy, a tymczasem trzeba zaryzykować. Pójdę do Fajczarza i powiem mu prosto w oczy, że jest agentem obcego wywiadu. Zobaczę, jak zareaguje.

- Niezły pomysł. Tylko uważaj, żeby ci nie zrobił czegoś złego.

- Nie martw się. Już ja wiem, jak z takimi postępować.

W KRAINIE MROKU

Szli w milczeniu. Bartek co chwila spoglądał na Łukasza, jak gdyby wyczuwał, że lada moment zdarzy się coś bardzo ważnego. Szło mu się ciężko; pożyczona od ojca peleryna sięgała niemal ziemi. Musiał ją stało podciągać, by nie zaplątać się w jej połach.

Łukasz kierował się na Białą Górę. Przeszli obok domu, w którym mieszkał Fajczarz, przecięli piaszczyste wydmy i dobrnęli do mokradeł. Łukasz świetnie znał drogę; omijając zdradzieckie bagna, doszli do niewielkiej polany zarośniętej turzycą i skrzypem. Na środku polany rosły gęsto krzaki. Zakrywały niewielkie wzniesienie. Łukasz rozchylił krzaki i wtedy Bartek zobaczył zawalone rumowiskiem betonowe wejście. Łukasz odsunął kilka ciężkich brył betonu i kuląc się wszedł do środka. W jego dłoni zabłysła latarka. Jej światło wyrывało z mroku porośnięte mchem betonowe ściany.

Bartek westchnął głucho.

- To wejście jest tak ukryte, że nie znalazłby go nawet diabeł.

Łukasz uśmiechnął się tajemniczo.

- A ja odkryłem je po trzech miesiącach poszukiwań.

- Czy ci na tym tak bardzo zależało?

- Bardzo. Mam takie usposobienie, że gdy się do czegoś zabiorę, muszę doprowadzić to do końca.

- A właściwie co się tu mieściło? - zapytał chłopiec, rozglądając się dokoła.

- Był to cały kompleks podziemnych pomieszczeń niemieckiego sztabu. Kiedy wszedłem tu pierwszy raz, znalazłem masę rozmaitych papierzyk. Cały magazyn żywności, tory kolejki podziemnej i wiele innych rzeczy.

- Czy to ty odkryłeś te bunkry?

- Skądże - zaprzeczył żywo i reflektor latarki skierował na kawałek suchej ściany, gdzie widniał napis w języku rosyjskim: „Nie ma min”. - Pierwsi weszli tu radzieccy saperzy. Mieli zapewne dużo roboty, bo w tych podziemiach mieścił się skład broni. Część tych bunkrów wysadzili w powietrze razem z pociskami artyleryjskimi. Część, która była im potrzebna, zachowali w nienaruszonym stanie.

Bartek rozglądał się. Korytarz zrobił nań przygnębiające wrażenie. Na ścianach jak liszaje widniały plamy zgniłozielonego mchu. Podłoga zawalona była gruzem, zardzewiałymi prętami żelaza, kawałkami poskręcanych szyn. z głębi korytarza wionęło stęchlizną. Im dłużej szli, tym bardziej rosło w nim uczucie odrazy i niesamowitości.

- Dlaczego zaczęłeś szukać tych bunkrów? - zapytał, gdy znaleźli się w obszernej sali zawalonej gruzem i połamanymi metalowymi meblami.

- Zaciekawiał mnie kiedyś artykuł w olsztyńskiej gazecie. Jakiś dziennikarz pisał, że ktoś z sąsiedniej wsi znalazł tutaj kasę pancerną ze sztabkami złota.

- Złota?! - zawołał Bartek.

- Tak było napisane w gazecie. Rozmawiałem z ludźmi z tej wsi i nikt nie potwierdził tej wiadomości.

- To ty może szukasz tego złota?

Łukasz roześmiał się.

- Już ci mówiłem, że kwaterował tu sztab radziecki. Sądzę, że żołnierze dobrze przeszukali te bunkry.

- W takim razie, co chcesz znaleźć?

- Przygodę, przyjacielu, i silne wrażenia.

Doszli do miejsca, gdzie kończył się korytarz, a zaczynały się betonowe schody, znad wody wystawały tylko dwa stopnie. Dalej widać było czarną, połyskującą w świetle latarki wodę. Trochę dalej na wodzie kołysał się lekko gumowy ponton.

Łukasz chwycił linkę cumowniczą i przyciągnął go do siebie.

- Wsiadaj - rzucił wesoło - przewiozę cię na drugi brzeg jak Charon przez rzekę zapomnienia.

Łukasz odepchnął wiosłem ponton. Osadził na jego przodzie latarkę i zagarnął mocniej wodę. Ponton popłynął miękko po oleiście czarnej wodzie. Bartkowi zdawało się, że za chwilę czarny tunel zasklepi się, a oni zostaną zamknięci w tym ponurym więzieniu.

Płynęli kwadrans, może nieco dłużej, kiedy nagle korytarz rozszerzył się, a przed nimi ukazała się wielka wysoko sklepiona hala.

- Tu były warsztaty naprawcze - wyjaśnił Łukasz.

Hala przypominała makabryczny gabinet osobliwości. Pod ścianami, niby szkielety przedpotopowych potworów, sterczały porośnięte mchem wraki maszyn. Z ich kłębowiska wychylała się potężna lufa armatnia. Wyglądała jak pozbawiona głowy szyja dinozaura. Z sufitu zielonymi stalaktytami zwisały mchy i porosty. W zastygłej ciszy słychać było odgłos spadających kropli i cichy chrobot, jak gdyby metalowe szkielety ożyły i ocierały się o siebie żebrami.

Bartek zadrżał. Ogarnął go przejmujący lęk i chociaż wiedział, że prócz nich nie ma tu nikogo, zdawało mu się, że za chwilę spośród żeliwnych wraków wychynie jakaś zjawia i ożywi cały ten zakrzepły w niesamowitej scenerii świat. Dla dodania sobie animuszu zapytał głośno:

- W jaki sposób oni mogli przytaszczyć tu tę armatę?

Łukasz uniósł rękę w stronę sufitu

- Spójrz... o, tam. Widzisz zapadnię?

Na zarośniętej mchami powale odróżniał się nieco innym odcieniem wielki prostokąt zapadni.

- Domyślam się, że tu była wielka winda - powiedział Bartek niepewnie.

- Brawo. Właśnie windą spuszczała na dół wszystkie działa... nawet czołgi. Widzisz tam pod ścianą gąsienice po „tygrysie”?

- Widzę. To rzeczywiście zdumiewające. Ładny grosz można by zarobić, gdyby tak sprzedawać ten złom

Łukasz spojrzał na niego bystrzej.

- Widzę, że jesteś rozsądny i praktycznie podchodzisz do sprawy... - Nagle zawiesił głos. Nasłuchiwał chwile. Słysząc było odgłos skapujących do wody kropel i daleki plusk. Łukasz spoważniał.

- Kto to może być? - wyszeptał jakby do siebie.

- Może taki sam ciekawski jak ja wczoraj.

- Nie, bo płynie łódką. I może... - Nie dokończył zdania. Dobił szybko do brzegu, kazał Bartkowi wyskoczyć z pontonu, a sam zrzucił z siebie ubranie i wcisnął się w ubiór płetwonurka.

- Czekaj tu na mnie! - rozkazał wchodząc do wody. Zanurzył się szybko i zginął w rozchodzących się po wodzie kręgach. Wnet jednak wyłonił się i dodał: - Wciągnij ponton i schowaj go dobrze, żeby go nie było widać. Jeszcze raz błysnął latarką, wyzywając z ciemności niesamowitą panoramę hali. Wnet jednak snop światła zgasł, a Bartek wraz z otaczającym go światłem zapadł w nieprzeniknioną ciemność.

Po chwili usłyszał plusk wioseł, a po czarnej jak smoła wodzie przemknęły nikłe refleksy światła.

Kto to może być? - powtarzał w myśli. Przyszły mu do głowy najrozmaitsze obrazy, wszystkie pełne tajemniczej grozy. Wnet jednak poniechał wszelkich dociekań i drżąc czekał na... Właściwie nie wiedział, na co.

SKOŃCZYŁY SIĘ ŻARTY

W dali między prostymi pniami sosen Zulejka ujrzała dom, w którym mieszkał Fajczarz.

Wstrętny wytwornisiu - myślała - zobaczysz, co to znaczy zadzierać ze mną. Przycisnę cię jak

szczura do ściany i będziesz się pięknie spowiadał. Dobry sobie! Niewinny gagatek. Wszystkiego się wypiera, a tymczasem zbiera informacje dla obcego wywiadu. I ta babcia, taka akuratna i subtelna, też będzie miała za swoje. Spryciara, schowała brylant wartości kilkuset tysięcy, a mówi, że fałszywy. Nie będziecie nam szklili oczu. Zdemaskujemy was i oddamy w ręce... - Nie dokończyła tej myśli, bowiem doszła już do drzwi. Dla dodania sobie odwagi zrobiła kolisty ruch ręką i wyszeptwała znane z dziecięcych zabaw zaklęcie:

- Hokus-pokus, abra-kadabra, śmigus-dyngus, radion sam pierze. - I naładowana magicznymi zaklęciami nacisnęła guzik dzwonka.

Po chwili ktoś uchylił firankę.

- Ja do pana Barta - powiedziała trochę głośniej, niż wypadało.

Drzwi otworzyła jej tęga kobieta. Zulejka dygnęła.

- Przepraszam - zaczęła słodko - czy pan Bart jest w domu?

Kobieta objęła ją nieufnym spojrzeniem.

- A ty czego?

- Mam do niego ważną sprawę.

- Może jesteś koleżanką takiego, co mi stłukł słój z malinami.

- Nie... Nie wiem, o czym pani mówi - odparła wykrętnie. - To musiał być jakiś straszny typ - dorzuciła przymilnie.

- No, właśnie. Obiecał panu Bartkowskiemu, że nazbiera mi malin i od tamtego czasu nawet się nie pokazał.

- Nikczemnik - udała oburzenie - ja bym mu tego nie darowała.

Gospodyni spojrzała na nią przychylniej.

- Widzę, że znasz się na rzeczy.

- O, tak... - potwierdziła skwapliwie, a potem zapytała nieco ciszej: - A czy pan Bart jest u siebie?

- Chciałaś powiedzieć Bartkowski? - poprawiła ją gospodyni.

- To on się nazywa Bartkowski? - zdziwiła się, a jednocześnie pomyślała: cwany, zmienił nazwisko i myśli, że ja się dam nabrać.

Gospodyni zachłysnęła się, jak gdyby o czymś sobie przypomniała.

- No jak... oczywiście, pan Bart. Ja to już mam taką starą głowę i często zapominam.

- Więc może mnie pani wpuści do niego.

- Pierwsze drzwi na prawo. - Wskazała ręką.

Zulejka ruszyła z tupetem, lecz już przy drzwiach zatrzymała się; zapomniała bowiem, po co przyszła i co mu ma powiedzieć. Wahała się chwilę. Z pokoju dochodził stukot maszyny do pisania. To ją nieco ośmieliło. Zapukała energicznie. Maszyna przestała stukać. Po chwili ktoś podszedł do drzwi, a gdy je otworzył, dziewczyna aż jęknęła ze zdumienia. Zamiast Fajczarza w progu stał Krzywonos. Zamurowało ją zupełnie. Nie mogła wykrztusić nawet zdawkowego przywitania. Tamten wybawił ją z trudnej sytuacji.

- Ty pewno do pana Barta?

- Tak... a właściwie... - jąkała się.

- Coś taka wystraszona?

Zulejka zacisnęła pięści.

- Nie rób z siebie rozklekotanego ciućmoka - wyszeptała bezwiednie.

- Co powiedziałaś?

Opanowała się nieco.

- A nic. Bo właśnie... chciałam zapytać, czy pan Bart jest w domu.

- Niestety, wyszedł.

- A kiedy wróci?

- Nie mam pojęcia. Mówił mi, że spotkamy się na obiedzie.

Dziewczyna z wolna wracała do równowagi. Przechyliła lekko głowę i zaszczebotała z przekąsem:

- To panowie tu razem mieszkają?

Krzywonos, zamiast zblednąć, zadrzeć ze strachu i jąkać się, skinął przyjaźnie ręką.

- Wejdz, proszę. Nie będziemy rozmawiali w progu.

- Dziękuję - odwzajemniwszy się figlarnym uśmiechem, dorzuciła uszczypliwie: - Pewno pomaga panu panu Bartowi liczyć sójki na wierzbie.

Krzywonos roześmiał się głośno.

- Nie... ja zupełnie nie znam się na ptakach.

- A na ptaszkach? - zmrużyła znacząco oko.

- Zależy, na jakich.

- Na niebezpiecznych? - Usiadła na odsuniętym od stołu krześle. Rozejrzała się ostentacyjnie po pokoju. Krzywonos usiadł przy maszynie.

- A ty do jakich ptaszków należysz? - zapytał żartobliwie.

- Do bar-dzo nie-bez-piecznych - wyrecytowała. Jednocześnie postanowiła zaatakować frontalnie. Nie będzie cackać się w dyplomację i słowne podchody. Znokautuje jednym pytaniem. Skupiła się, zmarszczyła noseć i rzuciła zuchwale:

- Czy pan dalej utrzymuje, że jest oficerem milicji?

- Oczywiście - odparł po chwili wahania.

- A podaje się pan za magistra ekonomii?

- Bo nim jestem.

- To coś mi nie klapuje.

- W milicji wielu ludzi ma wyższe wykształcenie.

- Możliwe, ale pan mi na magistra nie wygląda.

- A na kogo?

- Nie jest pan oficerem milicji...

- Skąd jesteś taka pewna?

- Bo byłam zapytać o pana na posterunku.

Krzywonos zatarł ręce.

- Brawo, widzę, że zabrałaś się do mnie fachowo.

- Żeby pan wiedział. Do pana i do kilku innych, z którymi pan współpracuje.

- Na przykład do kogo?

- Na przykład do tego patentowanego ornitologa, co to niby obserwuje ptaszki, a tymczasem zbiera ważne informacje dla... - Zachłysnęła się. Pomyślała bowiem, że za wcześnie na wykładanie wszystkich kart.

- No... nie krępuj się. Dla kogo?

- Pan dobrze wie, a udaje naiwnego. Na przykład, co pan pisze teraz na maszynie?

Krzywonos wolnym ruchem wykręcił z maszyny kartkę papieru, złożył ją na czworo i z tajemniczym uśmiechem wsunął do kieszeni wdzianka.

- Przepraszam cię, ale zdaje mi się, że jesteś trochę za bardzo ciekawska.

Pani inspektor natarła frontalnie:

- Widzi pan, jak łatwo pana zdemaskować.

- Wolnego, moja droga. - Uczynił taki gest ręką, jakby chciał ją powstrzymać. - Po pierwsze, jesteś wścibska, a to nie uchodzi tak dobrze wychowanej...

- Jestem na służbie - wyduła policzki.

- Po drugie - ciągnął już ostrzej - już wczoraj chciałem was ostrzec, ciebie i tego miłego chłopca, że nie wypada wtrącać się w sprawy dorosłych, bo to może być niebezpieczne.

- No, proszę - pokręciła głową - widzę, że chce mnie pan nastraszyć.

Krzywonos puścił jej uwagę mimo uszu.

- A po trzecie, zdaje mi się, że przyjechałaś na wakacje, by odpocząć, a nie chodzić po dachach...

- To pan wie? - wyszeptała zdumiona.

- Wiem dużo więcej, aniżeli ci się zdaje.

Dziewczyna wysunęła hardo głowę.

- A ja się pana nie boję.

- Nie o to chodzi, moja droga. Są jednak sprawy, do których dzieci nie powinny się mieszać...

- To mielibyście za łatwe życie.

- Mamy ciężkie, a ty nam jeszcze utrudniasz.

- Zgadł pan. I proszę mieć się na baczności, bo możemy panu dobrze nastąpić na nagniotki.

- Dość! - powiedział nie znoszącym sprzeciwu głosem. - A teraz, moja panno, zabieraj się stąd, bo nie mam czasu.

- Jeszcze tylko jedno pytanie - rzuciła nieco łagodniej. - Skąd pan ma drugą figurkę tańczącego

słonia?

Krzywonos energicznym krokiem podszedł do drzwi. Otworzył je szeroko.

- Do widzenia. Powiedz koledze, że skończyły się żarty.

TO MOŻE DUCHY?

Bartek okręcił wokół dłoni linkę cumowniczą pontonu. Skulił się, usiadł w kucki pod samą lufą działa. Zdało mu się, że pogrąży się w okrutnym mrocznym świetle. Nigdy jeszcze nie doznał takiego wrażenia. Cisza dzwoniła mu w uszach. Jedynym dosłyszalnym dźwiękiem było bicie własnego serca.

Zupełnemu mrokowi towarzyszyły równie mroczne myśli. Ładnie będzie wyglądał, jeśli Łukasz nie wróci. Bez latarki nie znajdzie nawet powrotnej drogi. Przypomniawszy mu się pewien film, w którym główny bohater zabłądził w podziemnych grotach jak w labiryncie i nagle natrafił na miejsce, gdzie znajdowały się kościotrupy jego poprzedników. Ciekawe, kto pierwszy natrafiłby na jego szkielet? Na samą myśl o tym zadrżał i zaszczekał zębami.

Opanował się po chwili. Nie będzie roztrzęsionym mięczakiem. Jeszcze chwilę poczeka na Łukasza, a potem wsiądzie do pontonu i poszuka tego korytarza, którym tu przybyli. Jak gdyby w odpowiedzi na to postanowienie gdzieś bardzo daleko odezwało się pluskanie, a potem nagle refleksy światła odbiły się w lustrze wody.

- Łukasz! - zawołał pełnym głosem.

Nikt mu nie odpowiedział. Światło zgasło i znowu świat zapadł w mroczną martwość.

Wzdrygnął się na myśl, że niepotrzebnie wykrzyknął imię przyjaciela. Może jego wrogowie chcą się z nim rozprawić i szukają go w tych koszmarnych podziemiach. Westchnął więc instynktownie, jakby chciał odwołać ten okrzyk, i jednocześnie skulił się, pragnąc w ten sposób opanować drżenie.

Naraz znowu coś plusnęło, jak gdyby jakiś duży przedmiot upadł do wody. Pomyślał, że to może Łukasz skoczył do kanału, by przepłynąć z powrotem do tej hali. Tym razem już nie wykrzyknął jego imienia, jedynie skrył się za obudową jakiejś wielkiej maszyny.

Czekał.

Odgłos pluskania stawał się coraz głośniejszy, a światło coraz częściej i jaśniej rozbłyskało na powierzchni wody. Nagle usłyszał dźwięk muzyki. Domyślał się, że to ktoś włączył radio. Po chwili

rozpoznał melodię. Oto w podziemiach piekła Maryla Rodowicz śpiewała: „Jadą wozy kolorowe”. Powiało krzepką swojskością i nastrojem beztroski.

Do licha - pomyślał. - Chyba nikt tu nie zorganizował wycieczki wczasowej. I gdzie podział się Łukasz?

Zanim zdążył zebrać myśli, z bocznego korytarza wyłonił się kajak. Z jego dziobu, niby reflektor, rzucała snop światła latarka, spoza której widać było tylko miarowo zagarniające wodę wiosła. Po chwili usłyszał kobiecy głos:

- To powinno być gdzieś tutaj.

Głos wydał mu się znajomy. Zastanowił się, gdzie go już słyszał i do kogo mógł należeć, gdy wtem odezwał się drugi głos - męski i nosowy.

- Zatrzymaj się. Musimy sprawdzić na szkicu.

Tolo i Żałosna Mortadela! - zdusił w sobie cisnący się na usta okrzyk. Nie mógł się mylić, zwłaszcza gdy światło latarki przesunęło się o pół obrotu, a on zobaczył w kajaku dwie znane sylwetki.

Kajak siłą rozpędu popłynął jeszcze kilka metrów, a gdy się zatrzymał, Tolo rozłożył na kolanach niewielki arkusz papieru. Kobieta przyświeciła mu latarką.

Bartek domyślił się, że jest to plan podziemi. Czego oni tu szukają? - zapytał w myśli. Po jakimś czasie Tolo energicznym ruchem złożył plan.

- Tak, to na pewno tutaj.

Pani Irma uniosła latarkę i snopem światła przejechała panoramicznie po ścianach.

Tolo ziewnął.

- Spójrz tylko na to zwalisko żelastwa. Będziemy tu szukać do śmierci.

- Trzeba jednak spróbować. - Pchnęła mocno kajak. W tym samym momencie urwał się kawał żelaza, o który Bartek się opierał. Gruchnęło, zaskrzypiało, zadzwoniło, a echa wzmogły wielokrotnie hałas. Tamci zastygli w bezruchu, a gdy ucichło, pani Irma powiedziała z wyrzutem:

- Mówiłam ci, że ktoś płynie za nami.

- Nikt nas jednak nie wyprzedzał. - Głos Tola brzmiał niepewnie.

- Może grasuje tu kilka osób.

- Podejrzewam, że to ten z krzywym nosem. Dziś rano portier mi mówił, że dwa razy pytał o nas.

Pani Irma zwiesiła bezradnie ręce.

- Jeżeli chcesz się przekonać, to wyskakuj z kajaka...

- Oczywiście, ja... Może jednak...

- Jesteś mężczyzną - rzuciła kpiąco.

- To prawda... lecz ty upierasz się, że ktoś za nami płynął, a jeśli to prawda, to nie możemy prowadzić poszukiwań, bo naprowadzilibyśmy go na właściwe miejsce.

- Mięczak z ciebie. Najlepiej to zrezygnować.

- Kto mówi o zrezygnowaniu? W tym wypadku najrozsądniej przeczekać.

- Jeszcze lepiej. Chcesz, żeby ktoś świsnął nam towar sprzed nosa. Uważam, że należy szukać - powiedziała twardo i nie czekając na odpowiedź, wyskoczyła z kajaka. Rozkołysana woda tak silnie uderzyła o burtę, że Tolo wypadł z kajaka. Wymachując rozpaczliwie rękami i nogami, osiadł na dnie. Nad lustro wody wystawały mu tylko ręce, głowa i stopy. Zaklął siarczyście i nie zważając na partnerkę, wywindował się do kajaka.

- Jeżeli chcesz teraz szukać, to zostań sama! - krzyknął desperacko, a schwyciwszy pływające wiosło, chciał odepchnąć kajak od stopni.

- Zaczekaj! - zawołała, łapiąc obiema rękoma dziób kajaka.

Tolo ustawił kajak bokiem do stopni, a gdy pani Irma usiadła, powiedział pojednawczo:

- Uważam, że najpierw trzeba zająć się brylantem...

- A ja wcale tak nie uważam - rzuciła z wściekłością i mocno odepchnęła kajak od stopni. - Nie rozumiem cię. Chcesz zająć się brylantem, który twoja kochana ciotunia nie wiadomo gdzie schowała i do tego wszystkiego jest fałszywy.

- Już ci mówiłem - zachnął się - że ciotka chodziła do jubilera, no wiesz, tego, co ma sklepik z pamiątkami, a on stwierdził z całą odpowiedzialnością, że kamień jest prawdziwy.

Bartek przez cały ten czas siedział skulony za wielką, zdewastowaną obrabiarką. Był tak spięty, że niewiele zrozumiał z tej rozmowy. Dowiedział się jedynie, że ta nikczemna spółka poszukuje czegoś, a jednocześnie zastanawia się, jak zdmuchnąć ciotce, czyli pani Żednickiej, drogocenny brylant.

Teraz są przekonani - rozumował - że śledzi ich Krzywonos. Wynikałoby z tego, że Krzywonos chce się dowiedzieć, gdzie ukryto coś, czego szukają, i gdyby natknęli się na to, mogliby naprowadzić śledzącego ich Krzywonosą na to, czego do tej pory nie znaleźli.

Proste jak drut, a jednak sierżantowi wszystko się pomieszało. I nie dziw, bo trzeba przyznać,

był w niełatwym położeniu. A nuż go odkryją? O tym nie chciał nawet myśleć. Wiedział, co tacy robią z niepotrzebnymi świadkami.

Tolo chciał odepchnąć kajak od betonowych stopni, lecz nagle znieruchomiał. Zobaczył bowiem linkę cumowniczy pontonu Łukasza. W Bartku wszystko zamarło. Zrozumiał, że wciągając ponton, nie zadbał o linkę. Tolo tymczasem wziął od pani Army latarkę i wodząc po sznurze słupem światła, odkrył ponton schowany za wrakiem jakiejś maszyny.

- Miałaś słuszość - wyszeptał. - Tu ktoś musi być... - Uklęknął na dziobie kajaka, ujął w jedną dłoń linkę i szarpnął ją. Bartek uprzedził go jednak. Wcześniej złapał linkę i okręciwszy ją wokół napiastka, nie dał jej sobie wyrwać, a gdy Tolo powtórnie spróbował pociągnąć za linkę, napotkał tak silny opór, że znów wleciał do wody. Poderwał się jednak szybko i klnąc soczyście, wgramolił się do kajaka.

- A mówiłam ci - rzuciła uszczypliwie Mortadela.

- Uciekamy! - zawołał krztusząc się wodą.

Pociągnęli mocno wiosłami. Kajak zakołysał się, lecz gdy nabrał prędkości, poszedł już równo i po chwili znikł w czeluści korytarza.

DRUGIE WEJŚCIE?

Pechowy dzień - myślała Zulejka, idąc pustą ulicą. - Znowu porażka. Wyprosił ją, jak kogoś bardzo niebezpiecznego. Bał się pytań. No jasne - pisze na cudzej maszynie raport o swej działalności przestępczej. Czy Fajczarz pozwolił mu wejść do swojego pokoju? Chyba tak, a jeśli tak, to zupełnie jasne, że są związani tajemnicą. - Uniosła pięść i pogroziła. - O, Krzywonosie! Teraz już wszystko się wyjaśniło. Jesteście dobrze zgraną paką... I uważajcie, żeby w tej sieci nie poleciały oczka jak w starej pończosze. Trzeba ustalić kolejność - ciągnęła rozważania.

A więc jest porcelanowa figurka przedstawiająca tańczącego słonia. Fajczarz otrzymuje rozkaz zakopania jej w ustronnym miejscu. Wybiera wyspę na jeziorze. Nie spodziewa się, że będzie świadkiem tej przestępczej czynności. W figurce znajduje się brylant i zвитki z zaszyfrowanymi wiadomościami. Kiedy na drugi dzień wykopują figurkę, Fajczarz wszystkiego się wypiera... bo jest pewien, że jego współpracownik odbierze nam figurkę. I tu nasuwają się pytania: dlaczego Fajczarz wyparł się posiadania figurki z tak cennym brylantem? Dlaczego Krzywonos udał oficera milicji? Skąd na drugi dzień Krzywonos miał drugą figurkę, bo pani Żednicka zaklinała się, że swą figurkę posiada od czasu wojny, od pobytu w Budapeszcie. W jakich stosunkach służbowych jest pani Żednicka z tymi dwoma? Dlaczego Krzywonos śledzi Mortadelę i Tola? Czy ta dwójka należy do konkurencyjnej siatki szpiegowskiej? Co miał oznaczać fakt, że Mortadela i Tolo poza brylantem

mieli jeszcze jakąś inną sprawę do załatwienia? Co...? Kto co? Co kto? Kto komu wobec kogo? Kogo z kim względem czego? I-te-de... i-te-de... i-te-de... Nagle wszystko jej się pomieszało, a w głowie powstał taki galimatias, że przechodząc przez jezdnię w miejscu, gdzie wywalona furka prowadziła do opuszczonej willi, tupnęła ze złości i przymknąwszy oczy, wyszeptwała:

- Abrakadabra, lelumpolelum, hocki-klocki, bęc go w migdał!

Tym razem zaklęcie poskutkowało. Gdy tylko otworzyła oczy, na ścieżce prowadzącej do zrujnowanej willi zobaczyła Fajczarza. I tym razem tkwiła w jego zębach fajka, lecz o dziwo, dymiło z niej jak z fabrycznego komina.

Teraz albo nigdy - pomyślała, jeszcze raz powtarzając szczęśliwe zaklęcie. Niestety, nie poskutkowało. Fajczarz zniknął, jakby się zapadł pod ziemię.

- Trele-morele - powiedziała śpiewnie. - Nie wykiwasz mnie, kotku. Nawet nie przypuszczasz, że wiem od sierżanta o tajnym wejściu z garażu do podziemnych bunkrów. Dufna we własny spryt, zmieniła się nagle z utyskującej dziewczyny w nieustraszoną panią inspektor.

Tło pasowało jak ulał do sytuacji. Fale deszczu przelatywały nad ponurym budynkiem. W zepsutych rynnach tajemniczo szemrała woda, widnokrąg zasnuły szare chmury, a pod okapem, na wystającej belce siedział czarny kot. Na jej widok przeciągnął się, wyprężył grzbiet. Z daleka wyglądał jak znak zapytania.

Czarny kocie - myślała - przebiegnij drogę temu osobnikowi i spraw, żeby... żeby... żeby przestraszył się mnie i wyśpiewał wszystko jak na spowiedzi.

Ukryła się za węglem walącej się szopy. Kontrolując fachowym spojrzeniem całą okolicę, błyskawicznie ułożyła plan. Z opowiadania sierżanta zapamiętała, że do domu jest tylko jedno wejście przez wybite okienko piwniczne. Okrążyła więc dom, a gdy znalazła się na jego tyłach, rozejrzała się bacznie. Niestety, Fajczarza już nie było. Czyżby tak szybko pokonał ten niewielki otwór, przez który dużo szczuplejszy Bartek ledwo się przecisnął?

Podbiegła do okienka. Nie zważając na kałuże i ciężką od deszczu kurtkę, położyła się na brzuchu i jęła się przeciskać. Niestety, brak jej było doświadczenia. Zamiast pchać się nogami do przodu, najpierw wsadziła w otwór głowę. Z trudem przecisnęła jedno ramię, a gdy próbowała wepchnąć drugie, utknęła jak wykuszony korek w szyjce butelki. Zaczęła się szarpać, lecz im silniej napierała, tym jaśniej zdawała sobie sprawę, że nie sforsuje okienka. Wreszcie postanowiła wycofać się. Pozostało to w sferze marzeń, bo gdy mocniej nacisnęła na okienną ramę, jedynym skutkiem jej usiłowań było rozdarcie rękawa kurtki. Kiedy wreszcie nieco ochłonęła, stwierdziła, że część jej osoby moknie na deszczu, a druga zwisa głową w dół w ciemnej piwnicy. Zrozumiała, że długo nie wytrzyma w tej cyrkowej pozycji.

- Jak pech, to pech - szeptała zaciskając bezsilnie zęby. - Co teraz robić? Wzywać pomocy, kiedy gdzieś blisko jest najbardziej podejrzana figura? Nie, raczej zginąć od przekrwienia mózgowicy. - Nie dokończyła myśli, gdy wtem w mroku piwnicy zajaśniała twarz. Nietrudno było ją rozpoznać; z wetkniętej w zęby fajki wydobywały się kłębuszki dymu.

- No, proszę - usłyszała zabarwiony nutką kpiny, znajomy głos. - Kogo ja widzę?

- Ratunku! - wrzasnęła z ulgą.

- Zaraz, zaraz, najpierw chciałbym zapytać, co się tu robi i czego szuka?

- Proszę nie żartować - rzuciła gniewnie - bo za chwilę krew mnie dosłownie zaleje.

- Nie jest tak źle, moja dziewczuszko, skoro potrafisz się złościć.

- Nie jestem pana dziewczuszką.

- Tak?... W takim razie wypada mi obrazić się i odejść. - Zawrócił i wolnym krokiem skierował się do wyjścia.

- Nie! - wrzasnęła. - Nienawidzę pana, a jednak musi mi pan pomóc.

Odwrócił się.

- Zastanawiam się, z której zacząć strony - od głowy czy też od nóg.

- Może pan zaczynać od nosa, byle szybciej - mówiła coraz ciszej.

- Zrobię to pod jednym warunkiem: od tej pory przestaniesz mnie śledzić.

- Nie - wydusiła. - Tego niech pan nie żąda ode mnie.

- W takim razie - uchylił kapelusza - do zobaczenia, moja...

- Potwór! - krzyknęła.

- W takim razie - powtórzył i skłonił się przesadnie nisko - do zobaczenia, dręczycielko. - Chciał odejść, lecz zrozumiał, że dłużej nie może trzymać dziewczyny w tej pozycji. Podbiegł więc szybko, na węglu ustawił drewnianą skrzynkę i chwyciwszy dziewczynę za ramię, poradził:

- Teraz staraj się cofnąć. Tylko nie szarp się, bo wpakujesz się jeszcze głębiej. Najpierw cofnij się, a potem podam ci rękę i może... - Podał jej rękę. - Teraz próbuj!

Nieszczęsna dziewczyna, odpychając się centymetr po centymetrze od zniechęconego osobnika wyzwalala się z karkołomnego położenia, a gdy przecisnęła przez ramię uwięziony bark, szarpnęła się do przodu i wyzwoliła z pułapki. Klęcząc na mokrej ziemi, masowała nadwerżone ramię. Fajczarz stanął na skrzynce. Wychylił przez okienko głowę.

- Teraz należy grzecznie podziękować - usłyszała naładowany kpina jego głos.

- Tere-fere-kuku - rzuciła złośliwie, a potem wyjaśniła: - Jest to podziękowanie w języku Buszmenów. - Chciała odejść, lecz Fajczarz ją zatrzymał.

- Czekaj. Wyłumacz mi, dlaczego właśnie wtedy chciałaś wejść do tego domu?

- Bo nie ma innego wejścia.

- Muszę cię zmartwić, że jest bardzo wygodne - przez werandę. Trzeba tylko uchylić dwie deski.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - To po co ja głupia...

- Trzeba było mnie zapytać. Chętnie bym ci pokazał.

- Dziękuję. A pan właściwie co tu robi?

- Jak zwykle - odparł z nutką przekory - szukam gniazd ptaków.

- Myśli pan, że panu uwierzę?

- Chcesz zobaczyć gniazdo kopciuszka?

- Może pan wreszcie przestanie ze mnie kpić.

Fajczarz znowu wychylił głowę przez okienko.

- To chyba nie jest najodpowiedniejsze miejsce do rozmowy. Bądź tak miła, zajdź od frontu, a ja ci pokażę, które deski należy uchylić.

- Świetnie. Bardzo się cieszę, bo mam do pana wiele ciekawych pytań.

- Ja również marzyłem, żeby z tobą porozmawiać. - Skinął jej ręką i jak zjawą zniknął w czarnej czeluści piwnicy.

Dziewczyna zatarła dłonie.

- Teraz dopiero ten ptaszek poczuje, z kim ma do czynienia! - powiedziała do siebie. Wnet znalazła się na stopniach prowadzących na werandę. Uderzyła pięścią w deski. Chwilowo nikt jej nie odpowiedział. Czekala więc w napięciu, sądząc, że Fajczarz musi zapewne pokonać jakieś przeszkody, zanim dojdzie do werandy. Po jakimś czasie, gdy nie usłyszała wewnątrz domu żadnych odgłosów, z całej siły walnęła pięścią w deskę i zawołała:

- Jest tam kto?

Nikt nie odpowiedział. Sprawdziła dokładnie wszystkie deski. Żadna nie poruszyła się. Były zabite na głucho.

CZY UMIESZ DOTRZYMAĆ SŁOWA?

Czego oni tu szukają? - powtórzył w myśli Bartek.

Gdy znikły ostatnie odblaski światła i ucichło pluskanie wioseł, wyszedł z ukrycia.

Ale im napędziłem strachu! - cieszył się. - A ten goguś Tolo nie zapomni nigdy podziemnej kąpieli. Będzie musiał sporo wybulić za czyszczenie ubrania. - Przypominając sobie ich rozmowę, wnioskował: Muminek miał słuszność mówiąc, że brylant jest prawdziwy, lecz dlaczego babcia rozpuściła wiadomość o fałszywym kamieniu? Chciała zapewne uwolnić się od natrętów. A zresztą, kto to wie, co planowała. Wszystko wskazuje na to, że współdziałała z najbardziej niebezpiecznymi osobnikami - Fajczarzem i Krzywonosem...

Rozważania chłopca przerwał głośny plusk. Po chwili w głębi korytarza błysnęło światło, a z wody wyłonił się Łukasz.

- Słuchaj - zapytał nie dopływając do brzegu - byli tu ci w kajaku?

- Byli - odparł chłopiec.

- I co?

Bartek opowiedział dokładnie całe zdarzenie, a kończąc, zaznaczył:

- Zrobiłem ich na perłowo. Szkoda, że nie widziałeś, jak stąd wrywali.

Łukasz dopłynął do pontonu, wyszedł z wody, ściągnął z głowy kaptur i dysząc ze zmęczenia, usiadł obok chłopca.

- Jesteś pewny, że ten facet miał plan?

- Tak pewny, jak to, że tu siedzę.

- I mówili, że tutaj jest coś ukryte?

- Tak. Jak bichme!

- A nie mówili co?

- Nie.

- I nie domyślasz się?

- Nie, ale to musi być coś ważnego.

- Coś ważnego - powtórzył zamyślony.

Chłopiec trącił go w ramię.

- To co, będziemy szukali?

- Nie... Teraz na pewno nie - odparł w zamyśleniu.

- A kiedy?

- Jak przyjdzie na to czas.

- Nie boisz się, że ktoś nas uprzedzi?

Łukasz spojrzał na chłopca niechętnie.

- Nas?... Lepiej, żebyś się nie mieszał w te sprawy.

- Przecież to ja wykryłem...

- No tak... Jestem ci za to wdzięczny.

Chłopiec zasępił się.

- Widzę, że obejdzie się bez mojej pomocy.

Łukasz klepnął go przyjaźnie.

- Dobry jesteś. Podobasz mi się.

- Dobra... A ty nie rób się taki tajemniczy.

- Tajemniczy?... Zdaje ci się.

- To powiedz, co tu robisz i o co właściwie chodzi?

- Coś taki niecierpliwy. Na wszystko przyjdzie czas.

- I po co zabrałeś mnie dzisiaj ze sobą?

- Myślałem, że to będzie... no, kapujesz, taka niedzielna wycieczka. - Położył dłoń na ramieniu chłopca. - Przymknij, że nikomu nie powiesz o tym, co tu widziałeś.

- Nie mogę przyrzec.

- Dlaczego?

- Bo mam szefa.

- O kim ty mówisz?

Chłopiec zawahał się, lecz przynaglony wzrokiem Łukasza zapytał:

- Umiesz dotrzymać słowa?

- Chyba poznałeś się na mnie.

- To pamiętaj, że to, co ci powiem, to też wielka tajemnica.

- Więc mów.

- Bo... no, rozumiesz... ja z jedną dziewczyną, ma na imię Zulejka... - Urwał, jakby się przestraszył własnych słów.

- No, śmiało! - trącił go Łukasz.

- Ale nikomu nie powiesz?

- Mur-beton, że nie.

- Wpadliśmy na trop siatki szpiegowskiej.

Łukasz najpierw spojrział z niedowierzaniem, a potem parsknął śmiechem.

- Chyba nie mówisz tego poważnie?

Chłopiec walnął się pięścią w piersi.

- Najpoważniej w świecie. Oni mają szyfr i przemycają ważne wiadomości w zwitkach umieszczonych w figurce tańczącego słonia.

- Czekaj! - Złapał go mocno za ramię. - Mówisz o jakimś słoni.

- O takiej figurce przedstawiającej tańczącego słonia.

- Może widziałeś coś takiego?

- Nawet dwie. Mogę przysiąc.

- Dwie? U kogo?

- Jedną u pani Żednickiej, a drugą u tego... no... już ci mówiłem... Tego, co udawał oficera milicji.

- Może to była ta sama figurka?

- Nie, bo jedna rozbiła się w drobny mak.

- I co było w jej wnętrzu?

Chłopiec zastanowił się.

- A co ty mnie tak wypytujesz, jakbyś był tajniakiem?

Łukasz zbył go uśmiechem.

- Lubię takie niesamowite historie. Więc co było w tej figurce?

- Brylant, o którym mówili ci, co tu byli niedawno.

- To znaczy, że ten brylant był w tej figurce? A prócz tego może jeszcze coś było?

- Były zwitki z szyframi.

- Fiu!... To wy naprawdę dobrze rozpracowaliście tę całą sprawę - rzucił wesoło Łukasz. -
Widzę, że macie nieliczne zdolności.

Bartek uniósł dumnie głowę.

- A co myślisz?!

- Myślałem, że tylko tak się bawicie.

Bartek zaśmiał się skrycie.

- To dobrze, bo inni też tak myślą, a my tymczasem jesteśmy na drodze do wykrycia
największej siatki szpiegowskiej...

- Dobra - przerwał mu Łukasz - jeżeli chcesz, to ja wam pomogę.

- To nie przejdzie, bo Zulejka powiedziała, że musimy załatwić to sami.

- Jak uważasz, ale możecie na mnie liczyć.

ZULEJKA REZYGNUJE

- Bartek - powiedziała Zulejka - mówię ci, wygłupiłam się jak nigdy... - Uniosła głowę i
patrząc śmiało chłopcu w oczy, dokończyła: - Rzucam tę sprawę. Wolę bawić się w Indian.

- Coś ty oszalała? - wymamrotał. Chciał jeszcze coś dodać, lecz pani inspektor tak go
zaskoczyła, że chwilowo nie mógł zebrać myśli.

Stali na pomoście przystani. Było szaro, smętnie i zimno. Deszcz siekł z ukosa, mącąc spokojną wodę. Przy brzegu piana osiadała na mokrym piasku, a rybitwy z wrzaskiem krążyły nad wodą, szukając na płycznach ławic rybek. Dziewczyna oparła się o poręcz pomostu. Zapatrzona w zamglony horyzont milczała.

- Coś ty, Zula? - powtórzył stając przy niej. - Chcesz rzucać tę robotę teraz?... Teraz, kiedy odkryliśmy tajemnicze podziemie.

- To ty odkryłeś i możesz, jak masz ochotę, śledzić ich dalej. Mnie to już nie bawi.

- Nie łam się. Przy takiej robocie zawsze muszą być wpadki.

- Żebyś widział, jak wisiałam uwięziona w tym okienku, a on z fajką w zębach nabijał się ze mnie, tobyś też zrezygnował.

- Nigdy! - powiedział porywczo. - Zobaczysz, że doprowadzimy robotę do końca.

- Powodzenia. Ja pasuję.

- Inspektorze - szarpnął ją za rękaw kurtki - przywołuję cię do porządku.

- Wypchaj się. Mam już tego po dziurki w nosie. Żebyś widział, jak ten... ten Krzywonos wypraszał mnie z pokoju, to... to... - Głos jej się załamał. Odwróciła się szybko, by nie pokazać Bartkowi łez cisnących się do oczu.

- Byłaś wspaniała - rzucił z zapalem. - Nikt nie potrafiłby lepiej go zdemaskować.

- Jestem do bani - krzyknęła i biegiem ruszyła przed siebie.

Zanim się zorientował, była już na bulwarze. Biegła jak sprinterka. Wnet zniknęła za kępą drzew. Rzucił się za nią, lecz po chwili zwolnił. Pomyślał, że trzeba cierpliwie przeczekać jej fanaberie, a potem na pewno da się przekonać albo sama wróci do roboty.

Szedł wolno, podciągając co chwila wlekące się po ziemi poły ojcowskiej peleryny. Deszcz siekł coraz zacieklej, bębnił na zeszywniałym brezencie. Na chodniku utworzyły się wielkie kałuże, a poboczem płynął mętny potok unoszący bąble powietrza i śmieci. Z wolna i on poddawał się smętnemu nastrojowi. Zaczął wspominać wspaniałe dni zabawy w Indian: podchody, zacięte bitwy na drewniane toporki i oszczepy, szumiące na wietrze pióropusze, radość zwycięstw i gorzki smak porażek. Może Zulejka ma słuszość. Może należy kichnąć na tych wszystkich podejrzanych osobników. Niech sobie dalej popełniają przestępstwa. A od czego jest milicja? Od czego kontrwywiad? Niech oni się martwią.

Zatopiony w rozważaniach, nie spostrzegł, że znalazł się przy „Jantarze”. Hotel wyglądał równie smętnie, jak wszystko dokoła. Na tarasie sterczały zwinięte parasole, wiatr zajadle szarpał rozdartą markizą, a przed wejściem nie było portiera we wspaniałej, gęsto złoczonej liberii, tylko rudy kundel mocował się z przywleczoną skądś kością.

Zniechęcony wywiadowca miał już zawrócić, gdy nagle krajobraz ożył. Od ulicy Kościuszki wtoczył się wspaniały samochód - najnowszy model audi. Jego nikle i lakiery rozjaśniły szarzygnę dnia, a rozpryskując kałuże potężne opony przerwały monotonną melodię siąpiącego deszczu. Chłopiec uskoczył z drogi. Pragnął ujrzeć siedzącą za kierownicą osobę, lecz zroszone szyby zamazały jej sylwetkę. Luksusowy pojazd zatoczył półkole, zakołysał się lekko i zatrzymał przed wejściem. Jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zjawił się portier z parasolem. Podbiegł służalczym truchcikiem i gnąc się, otworzył drzwi samochodu...

Bartek przyglądał się tej scenie z zapartym tchem. Spodziewał się, że za chwilę wysunie się z samochodu maharadża Pendżabu albo przynajmniej księżę Walii. Tymczasem... chłopiec nie chciał uwierzyć własnym oczom: pod pochylonym w jego stronę parasolem ukazał się... Krzywonos.

Bartek zagwizdał z wrażenia.

Pseudomagister tym razem był bardzo elegancko ubrany, miał na sobie garnitur z szarej flaneli, czarne mokasyny, a jego krawat - wiśniowy w granatowe pasy - mógł pochodzić jedynie z najlepszego zagranicznego butiku.

Skąd nagle taka zmiana? - pomyślał Bartek, zdążywszy już przedzierzgnąć się w sierżanta służby śledczej. Zanim jednak przyjrzał mu się dokładniej, Krzywonos wymknął się spod parasola i zniknął za połyskującą jak lustro szybą drzwi.

Sierżant ostrożnie zbliżył się do wozu. Przyjrzał się tablicom rejestracyjnym. Były zachodnioniemieckie. Zajrzał do środka. Prócz rzuconego niedbale na tylne fotele nieprzemakalnego płaszcza nic ciekawego nie spostrzegł. Ze znanstwem młodocianego entuzjasty motoryzacji opukał błyszczącą czarnym lakierem blachę.

- Pierwszorzędna robota - mruknął do siebie.

W tej samej chwili usłyszał nad sobą głos.

- Czego tu szukasz?

Błysnęły mu złote szamerunki liberii portiera. Wzdrygnął się.

- A co, nawet podziwiać nie wolno?

- Znamy się na takich, co podziwiają. Pewno chcesz oderwać plakietki.

- To się pan nie zna. Od tego samochodu nie da się ich oderwać, bo są przytwierdzone nitami.

Portier nie miał ochoty prowadzić z chłopcem dyskusji.

- Zjeżdżaj w podskokach - rzucił stanowczo.

Bartek oddalił się na bezpieczną odległość.

- Nie wpuściłby mnie pan tylko do holu? - zapytał z uśmiechem.

- Nie masz tu czego szukać.

- A może pan wie, kim jest facet, który przyjechał tym wozem.

- Nie wiem - odparł już łaskawiej.

- Czy to jego wóz? - podjął odważniej Bartek.

- Nie.

- A czyj?

- Jakiegoś Araba. Przyjechał do nas dziś rano.

- A pod którym numerem zamieszkał?

Portier, marszcząc brwi, spojrzał podejrzliwie na chłopca.

- Wybywaj i nie zwracaj mi głowy.

W tym czasie na parking zajeżdżał skromny fiat 125. Portier przestał interesować się chłopcem. Jak rozdrażniony brytan rzucił się w tamtą stronę.

- Panie - zawołał - już sto razy panu powtarzałem, że to parking tylko dla gości hotelowych.

Bartek skorzystał z sytuacji, przemknął za jego plecami, dopadł drzwi i za chwilę znalazł się w hotelowym westybulu.

Było tu bardzo dostojnie, zagranicznie i piekielnie nudno. Za dębowym kontuarem recepcji drzemała tęga blondynka ze sztucznymi rzęsami, w głębokim fotelu jakiś leciwy jegomość z miną marabuta przewracał bezmyślnie wielkie płachty stronic angielskiej gazety, naprzeciw jakaś kobieta w kapeluszu przybranym kwiatami ziewała nad położonym na kolanach przewodnikiem, za szklaną przegrodą przy barze tkwił młodzieniec ubrany w zagraniczne ciuchy, lecz z miną tak polską, że z daleka można było w nim poznać hotelowego cinkciarza.

Bartek rozejrzał się bacznie, szukając choćby śladu bytności Krzywonosy. Niestety, nigdzie go nie było. Zszedł więc do podziemnej toalety. Na dole kobieta w niebieskim kitlu, z miną zdeklasowanej hrabiny zażądała od niego opłaty z góry.

Wyjaśnił, że zajrzał tu jedynie w celu turystycznym. Zawracając nie omieszkał jednak zapytać:

- Czy był tu może tak pan wysoki, barczysty, ze złamanym nosem?

Kobieta wzruszyła ramionami:

- Różni panowie tu bywają, ale takiego nie widziałam. Polak czy zagraniczny?

- Wicekonsul Syrii w Tel Awiwie - rzucił z przekąsem.

Nie zrozumiała dowcipu. Uśmiechnęła się kwaśno i robiąc z warg kaczki dziób, wyjaśniła:

- Tacy też do mnie zagląдают.

- A ile zostawiają na talerzyku?

- Rozmaicie. Czasem dolara... Ale to nie o to, chłopcze, chodzi. To po prostu przyjemność otrzeć się o ten szeroki świat.

- I wymyć po nich ubikację - cisnął przez ramię, ruszając po schodkach.

- Takie to przemądrzałe - usłyszał za sobą - a nie wie, jak świat wygląda.

Wrócił do westybulu. Naraz pojaśniało mu w oczach. Przed kontuarem recepcji ujrzał znanego mu z plaży Araba. Stał z drugim, prawdopodobnie krajanem, i gestykulując zaciekle, coś mu tłumaczył. Tamten stał odwrócony tyłem, więc Bartek nie mógł zobaczyć jego twarzy. Stwierdził jedynie, że miał smukłą sylwetkę, ładną postawę, a gesty spokojne i pełne godności. Był jakby przeciwieństwem rozgadane go, pulsującego życiem grubasa. Ten wykonał taki gest, jak gdyby chciał zaciśniętą pięścią skruszyć cały kontuar. Nieznajomy uspokoił go łagodnym ruchem ręki. Nagle odwrócił się. Bartek zobaczył jego twarz. Była pociągła, ciemna, pełna spokoju. Rysy regularne: wysokie, dobrze sklepione czoło, migdałowe oczy, nos prosty, wargi w miarę wydatne i inteligentny wyraz oczu.

- Książę pustyni, jak pragnę... - wyszeptał chłopiec. Tak wyobrażał sobie kiedyś jednego z Trzech Króli zmierzających do Betlejem.

Książę ledwo dostrzegalnym ruchem skinął na kogoś, kto siedział zagłębiony w fotelu. Ten uniósł się spokojnie.

Krzywonos, jak babcię... - Sierżant z trudem opanował okrzyk zdumienia. - On z nimi - myślał. - Teraz dopiero zacznie się prawdziwa międzynarodowa kołomyjka. To przecież idealna siatka wrogiego wywiadu. Ten z głową nubijskiego księcia to pewnie ich szef. A Krzywonos? Krzywonos - narzędzie, którym się tamci dwaj posługują.

Jak gdyby dla potwierdzenia tej myśli Krzywonos spokojnym krokiem wyszedł z westybulu. Nie wsiadł jednak do samochodu, lecz nie zważając na deszcz, ruszył w stronę bulwaru.

A, cwany - uśmiechnął się zjadliwie Bartek - nie chce się do nich przyznawać. Pewno idzie do Fajczarza... Będą... - Nie dokończył myśli, gdyż dwaj Arabowie skierowali się prosto do samochodu. Odprowadzani przez gnącego się w ukłonach portiera, wsiedli do wozu - książę za kierownicę, grubas na sąsiednie siedzenie i wnet audi potoczyło się wolno, bezszelestnie i znikło chłopcu za zroszonymi szybami hotelowych okien.

Bartek nie namyślał się wiele. Minął biegiem wracającego pod dach portiera, włączył najszybszy bieg i pomknął bulwarem wśród gnących się na wietrze topoli. Chwilę widać było jeszcze rubinowe światła limuzyny, wnet jednak wóz zgasił światła i potoczył się wolno. Chłopiec zatrzymał się zawiedziony.

- Ech! - westchnął smętnie - gdyby tak mój staruszek wyczarował mi latający talerz, to... - Ocknął się nagle, zobaczył bowiem wychodzącego z bocznej uliczki Krzywonosą. Audi zwolniło. Ktoś otworzył drzwi wozu, a Krzywonos, nie zatrzymując się, wskoczył do samochodu. Zatrzaśnięto drzwi i wóz ruszył z szybkością rakiety.

- No, bracie - powiedział szeptem do siebie. - Teraz dopiero zaczyna się prawdziwa robota. - Po chwili dodał w myśli: - Tylko dokąd oni mogli pojechać?

Na to pytanie, niestety, nie znalazł odpowiedzi.

PLAN ŁUKASZA

Obszedł wszystkie znane mu punkty, w których mógł spotkać tych osobników. Był więc na przystani, potem okrążył dom Fajczarza. Wracając zawadził o stary dom z wejściem do podziemi, nigdzie jednak nie znalazł ani śladu poszukiwanych.

- No, jasne - myślał wracając do „Goplany” - mając taki wóz, można zajechać na Księżyc. Kiedy znalazł się na ulicy Kościuszki, wyczuł, że ktoś za nim się skrada. Zrobił więc dobrze mu znany manewr mylący; wszedłszy do pierwszej przecznicy, skręcił w nią, a po chwili zawrócił i spoza pnia drzewa zerknął w stronę, skąd przyszedł.

Najpierw go zamurowało, a potem roześmiał się głośno. Zobaczył bowiem Muminka w pełnym stroju indiańskim, z toporkiem w garści. Malec indiańskim krokiem na ugiętych nogach sunął jego tropem. Kiedy doszedł do drzewa, Bartek wyskoczył i złapał go za kark.

- Mam cię, Kle Kuguara! - zawołał. Malec zamrugał bezrzęsyimi powiekami.

- Nie jestem już Kłem Kuguara. Jestem Wielkim Czarownikiem szczepu Arapachów.

- Kto cię mianował?

- Wielki Wódz.

- Zulejka? To ona znowu bawi się w Indian?

- Jeszcze nie, ale kazała mi trenować.

Bartek pchnął go lekko.

- To trenuj.

Malec nie miał ochoty odejść. Łypnął figlarnie okrągłutkimi oczkami.

- Ty, Bartek, czy wiesz, co są dzisiaj moje?

- Co twoje? Nie rozumiem.

- No, co są moje?

- Gadaj po ludzku.

Chłopiec przymknął oko.

- Dziś są moje urodziny.

- Wybacz, ale nie słyszałem o świętym Muminku.

- Ale ja w cywilu jestem Czesiek. Zresztą coś ci się pomyliło. Mówię ci, że dziś moje urodziny, a nie imieniny. Ale prezentów nie musisz przynosić.

Bartek uściśnął mu dłoń.

- To trzymaj się ku chwale...

- Walecznego szczepu Arapachów - dokończył Muminek.

- Idziesz do domu?

- Tak. A ty? Niedługo obiad.

- Ja nie. Wielki Czarownik najpierw musi pościć, żeby miał w sobie większego ducha.

- Będziesz pościł w swoje urodziny?

- Tak.

- Wytrzymasz?

- Tak, bo prosiłem babcię, żeby kupiła takie rzeczy, których nie lubię.

- Nie wierzę... Przecież lubisz słodcyce.

- Słodocy nie będzie.

- To czym poczęstujesz gości?

- Prosiłem babcię, żeby kupiła solonego śledzia.
- Dla kogo?
- Dla was.
- To ja nie przyjdę.
- Jeszcze cię nie zaprosiłem.
- Teraz możesz mnie zapraszać... I tak nie przyjdę. Nie cierpię śledzi.
- To dla ciebie zrobimy ziemniaki w mundurkach albo...
- Bez tortu nie ma urodzin.
- Ale przyjdiesz? Bardzo mi na tym zależy.
- Nie.
- Musisz przyjść, bo będzie Benek Downar.
- Nie cierpię go.
- O to chodzi. Może się pobijecie.
- Coś ty, w twoim domu, na urodzinach?
- Strasznie lubię takie numery. Jak nie przyjdiesz, to nie powiem ci czegoś bardzo ważnego.
- To nie mów. - Bartek skinął mu na pożegnanie ręką.

Malec ruszył za nim.

- Może nie chcesz wiedzieć, kim jest ten pan z fajką, co przychodzi czasem do babci.

Bartek okręcił się na pięcie. Złapał chłopca za ramię.

- Kiedy był u babci?
- Jak nie przyjdiesz, to nie powiem.
- Przyjdę.
- Dzisiaj rano, jak wy z Zulejką wyszliście z domu.
- Słyszałeś, o czym rozmawiali?

- No pewno... A co mi dasz, jak powiem ci, o czym?

- Raz w ucho.

- To cześć. - Skrzyżował ręce na piersi i skłonił się po indiańska

- Zaczekaj. Co ja ci mogę dać?

- Słowo, że przyjdiesz na moje urodziny.

- Daję słowo.

- Rozmawiali o pogodzie i o łamaniu.

- O jakim znowu łamaniu?

- W kościach.

- Nie mówili nic o tańczącym słoniu?

- Raz mówili.

- Co?

- Że nie warto o tym mówić.

Bartek złapał malca za ramiona. Potrząsnął nim mocno.

- Ty, gnomku, jak będziesz się nabijał ze mnie, to ci uszy do pięt przyszyję.

- Mówię poważnie. Ten pan oddał babci sklejonego słonia, a babcia zapytała: „Ile jestem winna?” To on powiedział: „Proszę pani, szkoda o tym mówić”. - Walnął się pięścią w piersi. - Daję słowo.

- O, chytrusy - wyszeptał Bartek. - Oni na pewno mówią szyfrem. Mają swój język. - Potem skinął na chłopca. - A o podziemnych bunkrach nie mówili?

- O bunkrach ani słowa, tylko o logice.

- O jakiej logice?

- Babcia powiedziała: „Gdzie w tym wszystkim logika?”

- I co dalej?

- Dalej to ja zapomniałem.

Bartek pokręcił głową

- Ech, z tobą to rozpacz. Miałeś mi powiedzieć, kim on jest.

- No właśnie.

- To mów.

- Najpierw przyrzeknij, że dasz wycisk Benkowi, a jego siostrę Mariolę pociągniesz za włosy.

Bartek cmoknął zniecierpliwiony.

- Widzisz, że mam inne sprawy.

- Myślisz, że nie wiem? Bawicie się w detektywów.

Bartek chwycił go za kołnierz i przyciągnął do siebie.

- Pamiętaj, o tym ani słowa. Bo to wcale nie zabawa.

Malec szarpnął się.

- Nie bądź dziecinny. Możesz na mnie liczyć.

- Daj grabę. - Wyciągnął rękę.

Muminek uścisnął mu dłoń, przymknął lekko oczy i wyszeptał:

- On wcale nie jest mitologiem.

- Kto? Jakim mitologiem? Może ornitologiem?

- No, ten pan z fajką. On nie nazywa się Henryk Bart. Tylko Henryk Bartkowski... I pisze książki.

- O ptakach?

- Wcale nie o ptakach. Czytałeś może „Tajemnicę czarnej szkatułki”?

- No jasne. Nawet nieźle.

- To właśnie on napisał. I bardzo się o was martwi.

Bartek uniósł dłoń do czoła.

- Zaczekaj... zaraz... To nawet klapuje. Znany pisarz wmieszany w aferę szpiegowską. Ale właściwie dlaczego się o nas martwi? Co mówił na ten temat?

- Powiedział... powiedział... No wiesz, na śmierć zapomniałem.

- Może powiedział, że depczemy mu po piętach.

- Nie, o piętach nic nie mówił.

- To o czym?

- O odpowiedzialności.

- O jakiej odpowiedzialności?

- Już wiem. Tak powiedział: „Nie mogę za nich brać odpowiedzialności”.

- To wspaniale - ucieszył się Bartek. - Teraz już wszystko jasne.

- Nie widzę nic jasnego - mruknął Muminek.

Bartek położył mu rękę na ramieniu.

- Jesteś jeszcze za młody, żeby wszystko zrozumieć. Jak dorośniesz, to...

- Nie bój się. Wszystko już wiem. - Jeszcze raz skłonił się po indiańsku. - Idę na prerię porozmawiać z Wielkim Duchem. Cześć! - zawołał i wymachując toporkiem odszedł wojennym krokiem.

- Cześć! - pożegnał go Bartek. - To wspaniałe - powtórzył w myśli. - Teraz już wszystko jasne. Nie można brać za nas odpowiedzialności. Spryciarz, już się asekuje. Musieliśmy mu dobrze dać się we znaki. Ledwo już zipie i zupełnie brak mu fantazji. Albo... - zamyślił się. - Może chce nas zmylić... Może...

W tym samym momencie ktoś gwizdnął za nim. Obejrzał się. Zobaczył Łukasza. Jego uśmiechnięta twarz, wesołe wejrzenie wyrwały go z nastroju „wielkiej tajemnicy”. Stwierdził mimowolnie, że Łukasz dobrze na niego wpływa.

- Salem alejkum - przywitał go młodzieniec. - Byłem już w „Gopłanie”.

- Alem salejkum - powtórzył Bartek. - Język mi się poplątał. Co to właściwie znaczy?

- To przywitanie arabskie - pokój z tobą czy coś w tym rodzaju. Witam cię tak, bo przed godziną spotkałem dwóch podejrzanych facetów wyglądających na Arabów i tego ze złamanym nosem. Plątali się przy wejściu do bunkra.

- Widzieli cię?

- Nie. Ale najważniejsze, że ja ich widziałem.

- Ja też - wyszeptał Bartek. - O godzinie jedenastej trzydzieści wyjechali z „Jantaru”. Byli w pełnej gali, jakby wybierali się na bal.

- Ciekawe, bo ja zobaczyłem ich w sportowych ciuchach, a ten ze złamanym nosem dźwigał kombinezon płetwonurka.

- Pewno będą szukali - wyszeptał chłopiec z obawą w głosie.

- Będą, ale nie znajdą.

- Nie rozumiem... dlaczego?

- Nie domyślasz się?

- Nie.

- Bo ja już znalazłem.

Chłopiec westchnął i spojrzał z niedowierzaniem.

- To niemożliwe.

- Możliwe, możliwe - uspokoił go Łukasz. - Cała paczka była... no, zgadnij, gdzie?

- Na dnie... - Utknął, nie mogąc się skupić.

- Mylisz się. W lufie tego starego działa.

- To świetne miejsce. A teraz gdzie ją schowałeś?

- Zostawiłem w tym samym miejscu.

- To ryzykowne.

- Nie martw się. Nikt tej paczki nie znajdzie.

- A co w niej było?

- Nie wiem, bo nawet jej nie rozpakowałem.

- Nie wierzę.

- Uwierzysz, gdy ją zobaczysz.

- Może jednak domyślasz się, co tam było?

- Na domysły nie mam czasu.

- Pewno materiały wybuchowe... plastik lub trotyl.

Łukasz zawahał się. Jego twarz stężała. Położył chłopcu rękę na ramieniu.

- Słuchaj, czy mogę na ciebie liczyć?

- Jak na Zawiszę.

- Uprzedzam cię, że to poważna sprawa. Poważna i niebezpieczna.

Chłopiec dumnie uniósł głowę.

- Piekielnie lubię taką robotę.

- Morowy z ciebie chłop... Ale musisz uważać, bo mamy do czynienia...

- Z groźną siatką szpiegowską - dokończył Bartek za niego.

- To jeszcze nie wiadomo, ale na pewno z grupą przestępczą.

Bartek cofnął się. Ogarnął Łukasza badawczym spojrzeniem.

- Ty, Łukasz, mówisz zupełnie jak glina.

Młodzieniec uniósł palec do ust.

- Ciii, dowiesz się o wszystkim w odpowiednim czasie. Teraz jesteś mi potrzebny. Czy możesz zwołać kilku chłopców na dziewiętnastą?

- To nie takie proste, jak ci się zdaje. O piątej są urodziny Muminka. Nie można być później? Teraz jest długi dzień.

- No, powiedzmy, na dwudziestą.

- Ciężko będzie.

- Postaraj się. Najlepiej byłoby, gdybyście udawali zabawę...

- Jaką zabawę?

- No, powiedzmy... na przykład w Indian. Widziałem tego chłopca, co z tobą rozmawiał. Wykapany Siuks.

Bartek zastanawiał się chwilę.

- To nawet dobry pomysł, tylko jak ja ich wszystkich zwołam?

- Roześlesz wici - zażartował.

- Postaram się.

- Nie, bratku. Muszę być pewny, że będziesz miał najmniej pięciu.

- Pięciu... To da się zwołać.

- Więc na mur.

- Na mur. Wszyscy będą w strojach bojowych.

- O to właśnie chodzi - odetchnął z ulgą młodzieniec. - Musicie udawać, że bawicie się w Indian. Zrobicie dużo szumu dokoła wejścia do bunkrów, tak żeby was było słychać z daleka. Rozumiesz?

- Kapuję. Ale co będzie, jeśli na przykład zjawi się ten ze złamanym nosem? To przecież groźny...

- Nic nie będzie - przerwał mu Łukasz. - Nikt wam nie może zabronić bawić się w czerwonoskórych.

- A jak się zjawi któryś z tych Arabów, to co? Może mam mu powiedzieć salem alejkum.

Łukasz uśmiechnął się.

- Możesz powiedzieć. To byłoby nawet zabawne.

- A co będzie z tą paczką?

- O, właśnie. To jest najważniejsze. - Ujął rękę chłopca i spojrzał mu w oczy. - Słuchaj mnie uważnie. Jak usłyszysz ten sygnał: - Wyjął z kieszeni zrobioną z gałązki czarnego bzu świstawkę. Dmuchał w nią. Jej dźwięk do złudzenia przypominał śpiew ptaka. - Więc - ciągnął - jak usłyszysz ten sygnał, to wpadniesz do bunkra, dobiegniesz do tego miejsca, gdzie zaczyna się woda. Tam będzie mój ponton, popłyniesz nim do tej wielkiej hali. Wyciągniesz z lufy paczkę...

- A jak nie dosięgnę? Lufa jest długa.

- Brawo, widzę, że jesteś bystry i roztropny. Nie bój się, wszystko opracowałem do najmniejszego szczegółu. Sięgniesz do lufy na głębokość łokcia. Wyczujesz koniec linki przyklejony plastrem do żelaza. Pamiętaj tylko, żeby nie upuścić linki, bo wtedy...

- Byłaby kłapa - dodał Bartek.

- Niezupelna, bo i na to trzeba być przygotowanym. - Wyjął z przewieszanej przez ramię torby kłębek mocnego sznurka zakończony podwójną kotwiczką. Nie rozwijając go, wyjaśnił: - Spuścisz tę kotwiczkę i wtedy przynajmniej jeden haczyk zaczepi się o tę paczkę. I to cała filozofia.

Bartek z uznaniem kręcił głową.

- Ty, bracie, jesteś kuty na cztery nogi.

- Raczej kopyta - zażartował. - Teraz, gdy będziesz miał już tę paczkę, popłyniesz spokojnie z

powrotem.

- A jak mnie ktoś zatrzyma?

- Nie przewiduję takiej ewentualności. Zapamiętaj więc dobrze: popłyniesz z powrotem, a potem z całą ferajną ruszycie do starego młyna, a tam umieścicie paczkę w łódce, która nazywa się Fela. - Trącił go mocno w ramię. - No, powtórz, co masz zrobić.

Bartek dokładnie, co do joty, powtórzył wszystkie polecenia, lecz gdy skończył, zmarszczył lekko brwi i rzekł niepewnym głosem:

- Jedno mi się w tym nie podoba... bo niby chcesz nakryć tę bandę, a tymczasem sam nie bierzesz w tym udziału.

- To kiepsko kombinujesz - zaśmiał się krótko Łukasz. - Czy ci nie przyszło do głowy, że ja w tym czasie odciągnę ich i zabezpieczę wasz odwrót?

- Jeżeli jesteś gliną, to nie masz się czego bać.

- Ech, niczego nie rozumiesz. Posłuchaj mnie uważnie. Ty pójdziesz po paczkę, twoi koledzy będą robili szum przy wejściu do bunkrów, a ja tymczasem będę się kręcił po lesie. Na kogo tamci zwrócą uwagę?

- Myślę, że na ciebie - odparł niepewnie Bartek.

- No, nareszcie przyszedłeś po rozum do głowy.

- Więc ty nie jesteś gliniarzem?

Łukasz przymrużył oko.

- Tego nie powiedziałem. I jeśli chcecie nakryć całą szajkę...

- To nie szajka. To siatka szpiegowska.

- Nieważne, jak ją nazwiesz. Mówiłeś mi wczoraj, że sami chcecie dokończyć tę akcję.

- Tak, bo my pierwsi wpadliśmy na ślady przestępstwa.

- Brawo! Więc rób, co ci poleciłem, a cała chwała udanej akcji spadnie na was. Postaram się, żebyście dostali medale za odwagę.

- Dziękuję, my nie dla medali... - powiedział trąc z przejęcia ucho. Jednocześnie pomyślał, jak to będzie wspaniale, gdy staną w szeregu, a ktoś ze starszych będzie przypinał im do piersi odznaczenia.

Łukasz uśmiechnął się do chłopca.

- W porządku. Więc wykonasz wszystko, jak umówione?
- Tak... - zająknął się. - Tylko nie wiem, czy ci dwoje, co tu rano weszli, też są w tej bandzie.
- To się dopiero okaże.
- Bo mnie się zdaje, że oni działają na własną rękę.
- To też możliwe, ale oni się nie liczą, tylko tamci, Arabowie z tym trzecim. No, co - skinął mu ręką - rozumiemy się?
- Tak.
- To pamiętaj, o dwudziestej... ósmej wieczorem.

UWAGA! MILICJA...

Bartek z całym impetem wpadł do ciasnego pomieszczenie przyczepy.

- Zulejka - zawołał zdyszany - musimy rozpuścić wici! O wpół do ósmej zbiórka na przystani.
- Dziewczyna leżała pod śpiworem. Czytała książkę. Na widok byłego podwładnego usiadła.
- Co ty, Bartek, urwałeś się z choinki?!
 - Nie. Tylko dzisiaj wszystko się rozstrzygnie.
 - Powiedziałam ci, że mnie to już nie interesuje.
 - Zulejka, przecież to fantastyczna okazja.
 - Nawet mi o tym nie wspominaj. - Położyła się z powrotem, podsunęła pod głowę Jasiek.
 - Jeżeli przepuścisz tę okazję - mówił coraz głośniej - to będziesz żałowała do końca życia.
 - To ty, ale nie ja.
 - Mówię ci, że to po prostu bomba. Dwóch Arabów i Krzywonos...

Zamknęła oczy, wzruszyła ramionami, a potem wyrecytowała z naciskiem:

- Nic mnie to nie obchodzi. Kapujesz?

Bartek zachłysnął się. Jął chaotycznie opowiadać o spotkaniu z Łukaszem.

- Nie wysilaj się - wtrąciła. - I tak wszystko puszczam mimo uszu.

- Zulejka - zawołał błagalnie - zlituj się, to przecież koronkowa robota! O takiej właśnie marzyłaś.

Dziewczyna skierowała nań chłodne spojrzenie.

- Radzę ci - idź na obiad. Jak zjesz, to może otrzeźwiejesz.

Bartek opuścił ręce. Westchnął głęboko.

- W takim razie zupełna klapa.

- Dlaczego? Możesz sam spróbować zwołać chłopców.

- Bez ciebie nie da rady. Nie usłuchają mnie.

- To zmów paciorek i pożegnaj się z medalem - rzuciła uszczypliwie.

- Dobrze - wydusił z siebie po chwili namysłu. - To ja sam... Nie potrzebuję twojej pomocy... a jak mi się nie uda, to, pamiętaj, przez ciebie.

Bartek punktualnie o szóstej zapukał do drzwi Muminka. Otworzyła mu pani Żednicka.

- O, jaki ty jesteś punktualny! W nagrodę dostaniesz podwójną porcję tortu.

- Dziękuję... ale to nie moja zasługa. Tata ma zegar elektroniczny w głowie. To on mi kazał...

- Nie szkodzi, w każdym razie jesteś pierwszym gościem i należy ci się nagroda. - Podeszła do stołu i z wielkiego termosu nałożyła mu na spodek porcję lodów.

- Hę... hę... - zaśmiał się Muminek - ale drugiej porcji już nie dostaniesz.

- Czesiu - skarciła go spojrzeniem babcia - jak ty możesz coś podobnego?

- Bo czytałem w gazecie, że jak ktoś zje dużo lodów, to zatruje się bronkowcami.

- Po pierwsze, gronkowcami, a po drugie - nie wygłupiaj się.

Muminek zrobił minę obrażonego jamnika.

- To ja wiem, co zrobię. Powiem, że to są zatrute lody. Nikt nie zje nawet jednej porcji.

- Głupstwa pleciesz - roześmiała się babcia. - A ty go nie słuchaj - zwróciła się do Bartka. -

On przeciwnie... Co ma, to rozda bez zastanowienia.

- Znam go, pro...pani - powiedział Bartek. Usiadł obok Muminka na tapczanie. - Ty - trącił go łokciem i szepnął do ucha - czy chcesz brać udział w akcji?

- W jakiej znowu akcji? - zapytał głośno malec.

- Ciii, bo babcia usłyszy. Robimy akcję przeciw siatce szpiegowskiej.

Muminek plasnął się w kolano.

- Ja chcę się bawić w Indian.

- Właśnie o to chodzi... Niby będziemy się bawili...

- Ja nie chcę na niby. Bo Zulejka mianowała mnie Wielkim Czarownikiem.

- To nie szkodzi.

- Szkodzi, bo Wielki Czarownik nie bierze udziału, tylko sam robi, co mu się podoba.

- Ciszej - syknął Bartek - bo babcia może usłyszeć. - Spojrzał w stronę pani Żednickiej, która w tej chwili układała na talerzykach kanapki z serem.

Malec wzruszył ramionami.

- Babcia nie usłyszy.

- A co... ma słaby słuch?

- Nie. Tylko teraz myśli o brylancie.

- Skąd wiesz?

- Bo ma taką tajemniczą minę.

Bartek jeszcze raz zwrócił oczy na panią Żednicką. Wrzucała kawałki lodu do wazy z kruszonem owocowym. Z jej twarzy można było wyczytać skupienie. Zastanawiał się, jak taka osoba, tak spokojnie wrzucająca do kruszonu kawałki lodu, może jednocześnie być członkiem siatki szpiegowskiej. Do tej pory ona właśnie stanowiła największy znak zapytania. Z jednej strony była najtroskliwszą babcią, a z drugiej... Czyżby mogła zdobyć się na taką dwulicowość? A może właśnie umie się tak świetnie maskować? A może kochany wnuczek ma rację? Taka osoba jest zdolna do wszystkiego. Nachylił się do ucha malca:

- Ty, ani pary z ust o tym, co ci powiedziałem.

- A dlaczego?

- Dlatego, że twoja babcia... - Chciał powiedzieć, że babcia Żednicka jest prawdopodobnie zamieszana w tę sprawę, lecz urwał w połowie słowa, gdyż ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - zawołała babcia śpiewnym głosem.

W drzwiach zjawiła się trójka Downarów. Przodem szedł Benek, niosąc na wyciągniętych rękach paczkę przewiazaną czerwoną tasiemką. Za nim kroczyły Mariola i Melinda, ubrane w zgrzebne koszule, które zapewne kupił im ojciec za granicą, a na końcu pani Downarowa, obwieszona biżuterią jak królowa Madagaskaru.

Benek podszedł paradnym krokiem do Muminka i wyrecytował kilka zdawkowych życzeń.

- Dobra jest - wpadł mu w słowo Muminek. - Mów, co jest w tym pudle.

- Sam musisz otworzyć - rzuciła znudzonym głosem Melinda.

- Nie możemy odebrać ci tej przyjemności - dodała Mariola.

- A mogę zgadywać? - zapytał malec.

- No jasne - zachęcił go Benek.

- Futbolowa.

Siostry Downarówny klasnęły jednocześnie.

- Ale ty jesteś domyślny!

- Wcale nie, tylko widziałem, jak Benek kupował piłkę w tym sklepie sportowym na Żeromskiego. Nawet wiem, ile zapłacił.

- Czesiu - upomniała go babcia - w takich wypadkach nie mówi się o pieniądzach.

Muminek przymrużył zbójcecko oko.

- A o czym się mówi?

- Powinieneś podziękować. To zupełnie wystarczy.

Malec zrobił bazyliшковatą gębę.

- Dziękuję wam, że kupiliście najtańszą piłkę, jaka była w sklepie.

- Czesiu! - zawołała pani Żednicka z ogromnym zakłopotaniem. - Ty chyba chciałeś coś innego powiedzieć.

- Nie, babciu. Właśnie to, co powiedziałem.

Nastąpiła chwila gnębiącej ciszy. Pani Żednicka uniosła ręce do skroni i rzuciła Muminkowi pełne żalu spojrzenie. Benek wciąż trzymał pudło i przebierał nerwowo nogami. Obie siostry zastygły z grymasem niesmaku na ustach, a pani Downarowa, zrobiwszy zgorszoną minę, powiedziała:

- Mój mąż zawsze zwraca na to uwagę... i sędzę, że moje dzieci wybrały naj... naj... najdroższy prezent.

Babcia Żednicka podeszła do pani Downarowej.

- Pani wybaczy, jest mi strasznie przykro, ale Czesiu ma czasem nie... jak to pani powiedzieć... - Utknęła w tym miejscu i, ani rusz, nie potrafiła dokończyć. Mariola i Melinda wpatrywały się uparcie w sufit, jak gdyby oczekiwały zjawienia się ducha. Benek coraz szybciej przebierał nogami. Jedynie Muminek nie stracił konceptu. Podeszedł do Benka. Wyjął mu z ręki pudełko.

- Na żartach się nie znacie - rzucił z rozbrajającym uśmiechem i w ten sposób rozładował napiętą atmosferę. Wziął z rąk Benka pudło. - To sobie jutro zagramy. Dziękuję ci. - Trącił go przyjaźnie.

Pani Żednicka, chcąc zatuszować przykre wrażenie, uniosła ze stołu wielką tacę pełną kruchych ciasteczek.

- Dzieci, proszę się częstować.

- Dziękujemy... - wyszeptała z kwaśną miną pani Downarowa. Chciała jeszcze coś dodać, lecz w tym momencie ktoś zapukał.

Babcia Żednicka otworzyła drzwi. W ich ramie ukazała się znajoma para: Żaloszna Mortadela i atlasowy Tolo. Ona ubrana oczywiście w czarny kostium z białym żabotem, a on w wytwornym alpagowym garniturze. Powiało chłodem i sensacją. Nikt nie spodziewał się tej wizyty. Tolo drobnym krokiem, jak gdyby stąpał po zbitym szkle, ruszył w stronę Muminka.

- No, Czesiu - zaczął cicho - życzymy ci wszystkiego najlepszego. A tu masz od nas prezent. - Podał chłopcu spore zawiniątko.

Ten zdarł z niego papier i nagle westchnął głucho. W jego ręku świeżym szklivem błysnęła figurka przedstawiająca tańczącego słonia. Bartek aż jęknął z wrażenia.

- Skąd pan wytrzasnął tę figurkę? - zawołał mimo woli.

Świeżo wygolone oblicze eleganta okraślił sztuczny uśmiech.

- Skąd? Mój drogi, byliśmy samochodem w sąsiedniej osadzie i tam w kiosku z upominkami kupiliśmy ten prezent.

- To niemożliwe - wyszeptał chłopiec.

- Jeżeli nie wierzysz, to możesz tam pójść i przekonasz się. Zostało jeszcze kilka egzemplarzy.

Pani Żednicka wzięła figurkę w rękę i obracając ją, bacznie się jej przyglądała.

- Tak, to zupełnie możliwe. Słyszałam, że takie same figurki wypalał tutaj pewien rzemieślnik i sprzedawał je w sklepach z pamiątkami.

Bartka zupełnie zamurowało. Doznał takiego uczucia, jak gdyby znalazł się w zaczarowanym złudnym kręgu fantazji.

- Jeszcze jedna - wyszeptał.

Muminek wyciągnął rękę po figurkę.

- Babciu, pokaż, może w niej jest brylant.

Pani Żednicka zrobiła taki ruch, jak gdyby chciała się przed kimś bronić.

- Czesiu, proszę cię bardzo, nie popisuj się przed gośćmi.

Bartek zbliżył się do niej.

- To ciekawe, bo przecież pani mówiła, że tego swojego słonia dostała w Budapeszcie.

- Bo tak właśnie było.

- To skąd się wzięły takie same słonie tutaj?

- Sama nie wiem. - Nagle zwróciła się do Tola. - Nie spodziewałam się, że jesteś taki złośliwy.

- Ależ ciociu - uśmiechnął się kpiąco - chcieliśmy Czesiowi zrobić niespodziankę. Nie mogliśmy znaleźć nic stosowniejszego... A ciocia przecież opowiadała, że taki słoń przynosi szczęście.

- Dziękuję - rzuciła z przekąsem. - Po tobie nie można spodziewać się niczego dobrego...

- Jeśli to ma być komplement, to serdecznie dziękuję. - Skłonił się obecnym. - I przepraszam, ale muszę już odejść, bo w hotelu mam czekać na ważny telefon... - Drobnymi kroczkami zbliżył się do drzwi, a gdy złapał za klamkę, zwrócił się do pani Żednickiej: - Do zobaczenia, ciociu, bo jutro wyjeżdżam.

- Bóg z tobą - rzuciła oschle.

Tolo wyszedł, a w pensjonatowym pokoju zapanowało kłopotliwe milczenie. Bartek w swym dociekliwym umyśle starał się zrozumieć, co się przed chwilą stało, lecz był tak zaskoczony, że nie potrafił uporządkować myśli. Patrzył więc na kobietę w czerni, a im dłużej się jej przyglądał, tym

wydawała mu się bardziej zagadkowa. Tkwiła wciąż w tym samym miejscu. Robiła wrażenie zdematerializowanej jak duch podziemnej krainy.

Milczenie przerwał Muminek.

- Babciu, a kiedy będę dmuchał w świeczki?

Pani Żednicka posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie. On jeden potrafił rozładować tę przykrą atmosferę. Podeszła więc do stołu i jęła zapalać świeczki, a gdy nad szóstą ukazał się chwiejny płomyk, skinęła na wnuka.

- Dmuchaaj, ale tak, żeby wszystkie zgasły.

Muminek zaczerpnął do płuc powietrza. Chciał dmuchnąć, lecz w tej samej chwili ktoś energicznie zapukał. Wszyscy skierowali wzrok na drzwi. Pani Żednicka powiedziała: „Proszę”. I nagle mocno pchnięte drzwi otworzyły się i stanął w nich nieznajomy mężczyzna. Był średniego wzrostu. Twarz miał pospolitą. Gwałtownymi ruchami i hardym spojrzeniem starał się zatuszować zakłopotanie, lecz mimo to robił wrażenie skrępowanego. Miał na sobie nieprzemakalny płaszcz i szary, płócienny kapelusz, przypominający odwrócony dnem do góry garnek.

- Milicja - powiedział głośno. - Czy to jest pokój pani Doroty Żednickiej?

- Tak - wyszeptała cicho. - A co się stało?

Mężczyzna wyjął z kieszeni kartkę.

- Mam nakaz przeprowadzenia rewizji.

GDZIE PANI SCHOWAŁA TEN BRYLANT?

Zapanowała zupełna cisza. Wszyscy wlepili oczy w nieznajomego i gdyby w tej chwili w pokoju ukazał się nosorożec, nie zrobiłby większego wrażenia niż ta wiadomość.

- To chyba jakaś pomyłka? - wyszeptała pani Żednicka.

Nieznajomy zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, proszę pani - powiedział cicho, jakby się chciał usprawiedliwić. Rozejrzał się po pokoju. - Przepraszam, ale będę musiał poprosić, aby każdy z państwa przeszedł do swego pokoju.

- A jeżeli ja tu nie mieszkam? - odezwała się Żałosna Mortadela.

- To proszę przejść do... - zająknął się. - Czy jest tu jakieś wspólne pomieszczenie?

- Jest pokój telewizyjny - odparł Muminek i na nic nie zważając, podszedł do tajniaka: - A pan ma przy sobie splotkę? - zapytał, nie zmrużywszy powieki.

Tajniak wzdrygnął się. Nie spodziewał się takiego pytania, więc zgromił malca spojrzeniem.

- A ty gdzie mieszkasz?

- Ja... u babci.

- A gdzie babcia?

Muminek uśmiechnął się chytrze.

- Babcia jest u siebie. A dlaczego pan pyta?

- Bo... radzę ci jak najszybciej przejść stąd do swojego pokoju.

- Nie mogę, bo to niemożliwe - odparł i za chwilę zapytał, łypiąc niewinnie oczami: - A czy wolno dmuchnąć?

- Przepraszam - powiedział mężczyzna nieco zakłopotany - nie wiedziałem, że u państwa dzisiaj rodzinna uroczystość. - Skinął na Muminka: - No, kawalerze, dmuchaj.

Malec skrzywił się pocieszenie.

- Przy panu to się nie liczy.

Tajniak wzruszył ramionami, podszedł do tortu i dmuchnął z całej siły. Mimo to dwie świece nie zgasły.

- Eee... - zaśmiał się Muminek - słaby pan w dmuchu.

Tajniak uniósł rękę, jakby go chciał uderzyć.

- Zjeżdżaj mi z oczu, bo przeszkadzasz.

- To mój wnuk - wyjaśniła pani Żednicka. - On tu ze mną mieszka.

- Nie szkodzi. On też nie może tu zostać.

- To co mam zrobić? - zaszczębiotał malec.

- Pójdiesz z tą panią - wskazał głową Mortadelę - do pokoju telewizyjnego.

- A czy jest coś w telewizji?

Mężczyzna chwycił go za kark i pchnął w stronę drzwi.

- I pamiętaj - pogroził mu - żebyś się stamtąd nie ruszał.

Chłopiec, nie zmieniając poważnego wyrazu twarzy, rzucił od drzwi:

- Pan nie wie, z kim pan ma do czynienia.

Zniecierpliwiony tajniak tupnął.

- Zwiewasz ty, czy nie!?

- Eee - westchnął malec - z panem to nawet nie można pożartować. - To powiedziawszy wziął czarną damę za rękę i razem wyszli z pokoju.

Tajniak otaksował obecnych wnikliwym spojrzeniem.

- Więc proszę... Nie będę dwa razy powtarzał.

Ruszyli ławą do drzwi. Pani Downarowa zgarnęła córki jak kwoka pisklęta.

- Chodźmy - odeła się. - To niesłychane, taki skandal... Taki wielki skandal.

Kiedy zatrzęsnęły się drzwi za ostatnią osobą, tajniak skierował surowy wzrok na panią Żednicką.

- Pani chyba domyśla się, w jakiej sprawie...

- Nie, proszę pana - przerwała mu. - I protestuję. Jak można tak nachodzić...

- Zaraz, zaraz droga pani, proszę powiedzieć, gdzie pani schowała tę porcelanową figurkę?

- Nigdzie i przed nikim jej nie chowałam - odparła gniewnym głosem. - Nie mam niczego do ukrywania. - Podeszła szybko do nocnej szafki i z szuflady wyjęła posklejaną figurkę.

Tajniak błyskawicznym ruchem wyrwał ją z dłoni kobiety. Chwilę przyglądał się jej z pełnym podziwu zaciekawieniem.

- No, no... Kto by się spodziewał, że w takiej zwykłej skorupie kryją się takie skarby.

- Zapewne chodzi panu o ten brylant?

- O, proszę - uśmiechnął się - jaka pani domyślna.

- Brylantu nie ma w tej figurce - powiedziała wolno.

- A gdzie jest?

Pani Żednicka wyprostowała się. Wyzywająco spojrzała mu w oczy.

- Wolalabym, żeby pan obejrzał ten brylant w obecności świadków.

- A to dlaczego? Przecież widziała pani nakaz rewizji.

- Tak, lecz ten kamień nie należy do mnie.

- Ciekawe. A do kogo?

- To zbyt długa historia, żebym teraz ją opowiadała.

- Historia mnie nie obchodzi, tylko brylant.

- Powtarzam, że on nie jest mój.

- Nie szkodzi. Najpierw wszystko wyjaśnimy, a potem oddamy go właścicielowi.

- Ja nie mogę...

- Może pani - przerwał jej głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Nie tylko może, ale musi. - Zbliżył się do kobiety i krzyknął: - To nie zabawa. Gdzie jest ten kamień?

Pani Żednicka zbladła, oczy jej błysnęły gniewnie, a zaciśnięte usta posiniały.

- Młody człowieku, zapomina pan, że jestem starszą kobietą. Proszę więc na mnie nie krzyczeć.

Tajniak przygryzł wargi.

- A ja jestem oficerem służby śledczej i mam rozkaz dostać od pani ten brylant.

- Mówię panu po raz trzeci, że to nie mój brylant i nie mam prawa oddawać go panu.

- Muszę przynajmniej zobaczyć - powiedział już ciszej.

- A ja nie mam ochoty pokazywać go panu.

- Radzę pani postępować rozsądnie. W przeciwnym razie będziemy musieli pruć cały pokój. Nie sądzę, by to było przyjemne.

- Dobrze - wyszeptała opuszczając bezradnie ramiona - ale niech pan przyrzeknie, że nie zabierze go pan.

- Co - zaśmiał się cierpko - milicji pani nie wierzy?

- Wierzę i dlatego pokażę panu brylant. - Podeszła szybko do szafy i z górnej półki wydobyla koszyczek z przyborami do szycia. Na nalanej twarzy tajniaka można było zobaczyć wielką ulgę. Dociekliwym wzrokiem śledził każdy ruch kobiety. Ta położyła koszyczek na stole, otworzyła go, by

spośród motków nici wyjąć motek przędzy. Ścisnęła go palcami i nagle jeszcze bardziej zbladła.

- Nie ma go - wyszeptała drżącym głosem.

Oficer wyrwał jej motek.

- Jest pani pewna, że tu go schowała?

- Tak.

- Więc co się z nim stało? - zawołał wzburzony.

- Sama nie wiem. Wczoraj, kiedy wróciłam od jubilera, schowałam go do tego motka.

- Może jednak gdzie indziej?

- Nie. Pamiętam doskonale.

- To co pani z nim zrobiła? - Chwycił ją za przegub ręki.

- Panie! - Spojrzała nań nienawistnie. - Proszę mnie puścić.

Oficer nie mógł opanować wielkiego zdenerwowania. Jeszcze mocniej ścisnął jej rękę.

- W takim razie robimy rewizję. - Dосkoczył do drzwi, pchnął je i wychyliwszy się, zawołał w głąb korytarza:

- Suliński, do mnie.

DRABINA

Zulejka zbliżała się do „Goplany”. Szła zamyślona, kopiąc bezwiednie napotkane na chodniku drobne kamienie. Ranne niepowodzenia wprowadziły ją w nastrój, dla którego trudno było znaleźć właściwe określenie. Staczała wiele potyczek z samą sobą; raz cieszyła się, że już nie będzie musiała śledzić podejrzanych, to znowu wpadała w gniew na myśl, że Bartkowi samemu uda się rozwiązać tajemnicę tańczącego słońca.

Czy to w ogóle ma sens iść na urodziny Muminka? - zastanowiła się. Będzie musiała spotkać Bartka, a ten zamęczy ją opowieściami o swych sukcesach.

Była już przy furtce, lecz zawróciła. Nie uszła jednak daleko. Za zakrętem pomyślała, że to

niezbyt chwalebne unikać wszelkich trudności, zwłaszcza w takim momencie, kiedy cała sprawa skłania się ku rozwiązaniu. Zawróciła więc powtórnie i niemal biegiem znalazła się przy drzwiach wejściowych do pensjonatu. Kiedy je pchnęła, drogę zastąpił jej milicjant.

- Do kogo? - zapytał, ćmiąc papierosa w kąciku ust.
- Ja na urodziny. - Chciała go minąć, lecz milicjant zastąpił jej drogę.
- Przykro mi, ale nikogo nie mogę wpuścić - rzucił znudzonym głosem.
- A co się tu dzieje? - natarła zuchwale.
- Ja tam nie wiem. Kazali stać, to stoję.
- Po kogo przyszli?
- Nie wiem - powiedział ostro. - I zjeżdżaj stąd, bo cię przegonię.

Zulejka wycofała się, a kiedy znalazła się na ścieżce ogrodu, wyszeptwała ze złością.

- Uprzedzili nas.

Zdało jej się, że to przez nią milicja wpadła na trop przestępców. Była bowiem pewna, że milicja przyszła do babci Żednickiej. Gdyby posłuchała Bartka, mogliby wcześniej przyczynić się do ujęcia całej siatki. Oczyma wyobraźni zobaczyła panią Żednicką skutą kajdankami i prowadzoną do milicyjnego samochodu. Pożałowała jej. Taka miła, a tak łatwo dała się wciągnąć w brudną robotę. To pewno przez tego wstrętnego Fajczarza. Na myśl o nim krew żywiej zaczęła krążyć w jej żyłach. Może jego również aresztowali. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Nie podlega dyskusji, że to właśnie on przewodzi temu szpiegowsko-przestępczemu towarzystwu. Z uciechy zatarła ręce.

Ej, Fajczarzu, Fajczarzu - pomyślała. - Łatwo ci było nabijać się ze mnie. Teraz chciałabym cię zobaczyć w bransoletkach na rękach.

Ledwo skończyła tę myśl, gdy nagle ujrzała przy furtce pociągłą gębę z fajką w zębach. Fajczarz na jej widok uśmiechnął się drwiąco.

- Dobry wieczór, dziewczusko. Czy znalazłaś coś ciekawego w tamtym starym domu?
- Tak - odparła czupurnie. - Znalazłam nakaz aresztowania pana... - Urwała, zastanawiając się, czy go uprzedzić o zasadzce, czy dać mu dojść do drzwi.

On tymczasem zmrużył znacząco oko.

- Za co mieliby mnie aresztować?
- Za to samo, co pana współniczkę.

Spojrzał z niedowierzaniem, a gdy Zulejka przytaknęła głową, cofnął się, zbladł i wyjął z ust fajkę.

- Co ci strzeliło do głowy, moja panno?

Ruchem głowy wskazała drzwi.

- Niech pan idzie, to pan się przekona.

Fajczarzowi drgnęła powieka.

- Co ty mówisz... Aresztowali panią Żednicką?

Zulejka zupełnie podświadomie dała się wciągnąć w tok myślenia wytrawnego inspektora policji. Weszła w tę rolę i wnet pozbyła się wątpliwości, a jej umysł zaczął pracować z dokładnością elektronicznego zegara.

- Niech pan lepiej uważa, bo i pana mogą przyskrzynić.

- Ty chyba żartujesz?

- Może się pan przekonać. No, proszę...

- Towarzystwo wariatów - powiedział Fajczarz i długim, posuwistym krokiem ruszył w stronę drzwi.

Zamurowało ją. Przypuszczała bowiem, że na tą wiadomość ucieknie, gdzie pieprz rośnie, a on tymczasem z podniesioną głową rusza prosto w paszczę lwa.

Klasa facet! - pomyślała. - Chce pomóc współpracze.

Fajczarz otworzył drzwi. W tej samej chwili - jak kukła pobudzona sprężyną - zjawił się milicjant.

- Nie wolno wchodzić - krzyknął i zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Fajczarz, zamiast się wycofać, jeszcze raz natarł na drzwi, a gdy nikt mu nie otworzył, jął walić w nie pięścią. Po chwili w uchylonych drzwiach ukazała się czapka milicjanta.

- Panie - powiedział gniewnie przedstawiciel władzy - jak pan chce, to mogę pana osadzić.

Fajczarz nie ustępował. Zapytał stanowczo:

- Chcę wiedzieć, co tam się dzieje.

- Nie wolno mi nikogo wpuszczać, rozumie pan?

- To proszę zawołać swojego przełożonego.

Milicjant wyrwał zza pasa pałkę.

- Zjeżdżaj pan, bo... - Zamachnął się.

Zulejka przymknęła oczy. Była pewna, że uniesiona pałka spadnie na głowę Fajczarza, lecz za chwilę usłyszała trzaśnięcie drzwi, a gdy otworzyła oczy, Fajczarza już nie było.

- Co, do licha - wyszeptała - rozpułnął się czy wyparował? - Wnet jednak zrozumiała, że albo sam siłą wszedł do domu, albo wciągnął go milicjant. Zatarła z emocji ręce. - Teraz dopiero zacznie się prawdziwe przedstawienie - a po chwili dodała w myśli: - Co ja bym za to dała, żeby być tam, w środku.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, w jej dociekliwym umyśle zaświtał genialny pomysł. Przecież można dostać się przez dach na strych w odwrotnym kierunku niż wczoraj, a potem?... - Nie dokończyła tej myśli, gdyż wydała jej się zbyt zuchwała. Rozejrzała się. Dokoła domu było zupełnie pusto i cicho. Bujne krzewy połyskiwały perliście kroplami, na ogrodowych rabatach krwiste begonie pochylały w ukłonach głowy, a wysoko, w konarach wiązu pogwizdywał ptak. Wtem jej wzrok spoczął na opartej o ścianę drabinie.

- To jest to! - wyszeptała radośnie i nie tracąc czasu, pobiegła pod ścianę. Jeszcze raz sprawdziła, czyjej ktoś nie widzi. Drzwi prowadzące do pensjonatu były zamknięte, a w promieniu swego wzroku nie spostrzegła żywej istoty.

Zaczęła więc działać: z wielkim trudem przesunęła ciężką drabinę, oparła ją o rynnę, potem zwinnie wspięła się na dach. Drabinę zostawiła na miejscu, by nie odcinać sobie odwrotu. Lgnąc do mokrych dachówek błyskawicznie oceniła swoje położenie. Najbliżej było do okna po jej lewej ręce. Na szczęście okiennica była uchylona, a okno zasłonięte firanką. Zastanawiała się chwilę, jak dostać się do parapetu. Wtem zasłona lekko zafalowała, a spoza okna odezwał się kobiecy głos. Z tej odległości nie potrafiła rozróżnić słów. Wnet jednak odezwał się drugi głos. Zulejka zadrżała z radości. Poznała bowiem głos Muminka.

Zastanawiała się, jak go przywołać do okna? Po chwili znalazła prosty sposób. Ujrzała bowiem kruszącą się dachówkę. Oderwała kilka okruchów, wychyliła się w stronę okna i rzuciła je w szybę. Zabębniły alarmująco na szkło. Po chwili ktoś pchnął okiennicę, a w oknie ukazała się - nie chciała wierzyć własnym oczom - głowa pani Irmy. Tak ją to zaskoczyło, że nie zdążyła schować się za kładkę łączącą kominy. Mortadela rozejrzała się bacznie. Była zapewne bardzo napięta, gdyż nie spostrzegła przyklejonej do dachu dziewczyny. Rzuciwszy kilka słów do kogoś w pokoju, zamknęła z hałasem okiennicę.

Co za pech - westchnęła Zulejka. - I skąd tam się wzięła szanowna dama w czerni? Czy ją też przyskrzypiła milicja? A najdziwniejsze - co tam robi Muminek? Orientowała się bowiem, że nie jest to okno jego pokoju.

Jak już ryzykować, to na całego - zdecydowała w myśli, a zgarnąwszy jeszcze jedną garść okruchów, z rozmachem cisnęła je w szybę.

Tym razem wychylił się Muminek. Zulejka przywołała go głośnym szeptem.

- Czy to ty, Gradowa Chmuro? - zapytał z powagą.

- Nie wygłupiaj się - ostrzegła go, a po chwili zapytała nieco głośniejszym głosem: - Czy masz pasek?

- Do czego ci pasek, szlachetny wodzu Arapachów? - ciągnął z niezwykłym spokojem.

- Masz czy nie?

- Mam.

- To rzuć go w moją stronę.

- A dlaczego?

- Bo zaraz spadnę z tego cholernego dachu.

- A wiesz, co u nas jest? - drażnił się z nią, łypiąc bazyliżkowato okrągłymi oczkami.

- Wiem, milicja.

- A wiesz, co robią u mojej babci?

- Ty, Muminku, zlituj się, bo będziesz mnie miał na sumieniu.

- A kiedy zaczniemy bawić się w Indian?

Zulejka westchnęła żałośnie.

- Wielki Czarowniku - zaczęła ceremonialnie - jeżeli nie podasz przyjaznej dłoni Gradowej Chmurze, to Wielki Duch Puszczy w jasny dzień zabije cię gromem.

Muminek łypnął okiem.

- Tak trzeba było mówić od razu. - Wychylił się z okna i rzucił Zuli jeden koniec paska.

- Trzymaj mocno, bo wylecisz! - ostrzegła go dziewczyna. Chwyła pasek, wstała i przebijając szybko nogami podreptała pod okno, a gdy oceniła odległość, rzuciła się i rękoma schwyciła parapet.

- No, udało się - powiedziała, kiedy zeskoczyła na podłogę pokoju telewizyjnego. Rozejrzała się. - A gdzie ta pani?

- Ta squaw? - zapytał nadając swej dziecinnej twarzy wyraz dzikiego Indianina.

- No, Mortadela. I nie wygłupiaj się, bo to ważne.

- A dlaczego?

- Ty, bo dostaniesz. - Chwyciła go za barki i potrząsnęła. - Mów, co się tu dzieje?

Malec zmarszczył kartoflany nosek.

- Rewizja u mojej babci - wyszeptał. - Szukają brylantu!

- I co, znaleźli?

- Nie.

- Skąd wiesz?

- I nie znajdą. - Zadarł chwacko głowę.

- Jesteś pewny?

- Tak. - Uśmiechnął się zbójcko i z kieszeni spodni wyjął motek szarej przędzy.

- Co to? - zdziwiła się Zulejka.

Podał jej motek.

- Pomacaj.

Dziewczyna z wypiekami na twarzy ścisnęła motek między palcami.

- Coś twardego...

- Nie bój się. Wyjmij.

Drżącymi palcami wyluskała coś małego jak ziarnko grochu, owiniętego w bibułę, a gdy usunęła bibułę, na jej dłoń potoczył się...

- Brylant - wyszeptała. - Skąd go masz?

Muminek nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w tej samej chwili ktoś pchnął drzwi, Zula bezwiednie zamknęła dłoń. W drzwiach zjawiała się Mortadela z młodym, ubranym po cywilnemu mężczyzną.

- To ty wlaźłaś przez okno? - zapytał, zbliżając się do dziewczyny.

- Nie, kto inny - odparła niemal wyzywająco.

- Po coś tu przyszła?

- Bo na dole była drabina.

- To tak się wchodzi do domu?

- Drzwiami nie mogłam... nie puścił mnie milicjant!

Mężczyzna złapał ją za ramię.

Już po mnie - pomyślała, ściskając w jednej dłoni brylant, a w drugiej motek przędzy. Ręce jej się pocily, a serce podchodziło do gardła.

- Kto cię tu przysłał? - szarpnął ją mocno.

- A pan kto taki, że mnie tak wypytuje?

Przyjrzała mu się bacznie. Był bardzo opalony, a jego niebieskie oczy w ciemnej oprawie wyglądały jakby pożyczył je od kogoś. Wejrzenie miał bowiem mdłe i niepewne. Za to ubrany był jak z „Playboya” - zamszowa kurteczka w najnowszym fasonie, czarna koszula, welwetowe, oliwkowe spodnie i mokasyny z przypalanej skóry. Szyk, pierwsza klasa!

Tajniak zachnął się.

- Odpowiadaj, bo zupełnie inaczej zacznę z tobą rozmawiać. - Chciał ją pchnąć, lecz niespodziewanie znalazł się między nimi Muminek.

- Niech pan ją puści! - wrzasnął. - To Gradowa Chmura, wódz szczepu Arapachów.

Mężczyzna spojrzał niedowierzająco.

- To wy bawicie się w Indian?

- Nie bawimy się, tylko jesteśmy Indianami.

- Niech pan im nie wierzy - odezwała się nieoczekiwanie Żałosna Mortadela. Od chwili wejścia do pokoju stała cicho przy zamkniętych drzwiach. W mroku wyglądała jak cień rzucony na tło białej ściany.

Zulejkę szarpnęło.

- A pani co tu robi? - zapytała gniewnie.

Mężczyzna spojrzał pytająco na kobietę. Ta milczała. Zula skinęła w jej stronę.

- Niech pan lepiej przepytaj tę panią. Niejedno ma na sumieniu. A jeśli chce pan wiedzieć prawdę, to właśnie ona najbardziej interesowała się tym brylantem. Ona i ten...

- Dość! - przerwał jej mężczyzna. Zulejce zdało się, że jej informacje wprawiły go w zakłopotanie. On tymczasem zamienił z panią Irmą porozumiewawcze spojrzenie, jak gdyby chciał się jej poradzić, a dla wypełnienia czasu przeczesał włosy palcami.

Czyżby ona była agentem milicji? - pomyślała dziewczyna i w błyskawicznym skrócie przebiegła zdarzenia. Wydało jej się dziwne, że za każdym razem, kiedy tylko w grę wchodził brylant, na horyzoncie zjawiała się smętna kobieta w czerni. Z zamyślenia wyrwał ją mężczyzna.

- Chodź za mną - rozkazał nie znoszącym sprzeciwu głosem.

Zulejka wzdrygnęła się.

- Proszę mnie zostawić w spokoju.

Złapał ją mocno za rękę.

- Chodź, bo nie mam czasu bawić się z tobą. - Pchnął ją ku drzwiom. Pani Irma usunęła się dyskretnie.

Dziewczyna przechodząc obok niej rzuciła drwiąco:

- Donosicielka.

Wyszli na korytarz. Tajniak prowadził ją, ściskając mocno jej rękę. Kiedy mijali drzwi pokoju Dziwiszów, Zulejka ujrzała w szparze twarz Bartka.

- Dokąd mnie pan prowadzi? - zapytała głośno i wyraźnie, by bliżej określić Bartkowi swe położenie.

Tajniak był tak nią zajęty, że nie spostrzegł uchylonych drzwi. Zatrzymał się przed wywieszką „Magazyn bielizny”. Otworzył z hukiem drzwi i pchnął dziewczynę do środka. Ta wpadła prosto na Fajczarza.

- To pan?! - wyszeptała zaskoczona.

- No, proszę - uśmiechnął się Fajczarz. - Znowu mam przyjemność... Drzwi zatrasnęły się za nią, a potem usłyszała szcęknięcie przekręcanego w zamku klucza. Magazyn był ciemną klitką bez okna. U sufitu paliła się słaba żarówka. Z dwóch stron pod ścianami umieszczono półki, na których układano czystą bieliznę i obrusy. Między półkami zostawiono ciasne przejście, przez które nie precisnęłaby się trochę bardziej zażywna osoba. Na szczęście oboje byli szczupli.

- Ładna historia - westchnęła Zulejka, gdy w korytarzu ucichły kroki odchodzącego tajniaka.

Fajczarz, jak na fajczarza przystało, nabijał fajkę tytoniem.

- Skąd ty się tutaj, dziewczuszko, wzięłaś? - zapytał tak spokojnie, jakby chodziło o łapanie much.

- Już prosiłam, żeby się pan do mnie tak nie zwracał.

- O, przepraszam, zupełnie o tym zapomniałem. - Powolnymi ruchami ubijał tytoń i patrzył na

dziewczynkę z ognikiem uciechy w oczach.

W rewanzu wykrzywiła się pociesznie:

- A pan to... to nawet się nie spodziewa, co pana czeka.
- W takich sytuacjach należy zachować zimną krew.
- Beknie pan za to wszystko...
- Za co?
- Tylko niech się pan nie wykręca! Ja dobrze wiem, co pan ma na sumieniu.

Fajczarz przechylił głowę.

- Chętnie bym się od ciebie dowiedział
- Gra pan takiego zimnego, opanowanego, a tymczasem ma pan porządnego stracha.
- I co dalej?
- Dalej to będzie z panem rozmawiał kontrwywiad.

Zdawało się, że fajka wypadnie mu z zębów, lecz wnet pokrył chwilowe zmieszanie pełnym wdzięku uśmiechem.

- Sądysz, że oni są z kontrwywiadu?
- Nie. Ci są z milicji, ale po rewizji...
- Kto ci powiedział, że była rewizja? - przerwał jej. W jego szarych oczach pojawił się cień lęku.
- Mówił mi Czesiu.
- To on też siedzi?
- Tak, w pokoju telewizyjnym.
- Więc skąd wie, że u babci jest rewizja?
- Ale się pan sypnął, bo właściwie skąd pan może wiedzieć, że u babci - zaskoczyła go. Zdawało jej się, że dopiero teraz zapędziła go w ślepią uliczkę.

Podrapał się cybuszkiem za uchem, a po chwili zastanowienia rzekł:

- Domyślam się tylko...

- Niech pan nie udaje. My dobrze wiemy, co knuliście z panią Żednicką.

- Ciekawe, ciekawe... - Uśmiechnął się znacząco. - Dużo więcej wiesz o mnie niż ja o sobie, i widzę, że jesteś niezwykle spostrzegawcza.

- Bo...w ogóle - popatrzyła kpiąco - pan na pewno jest szefem tej siatki.

Przymrużył figlarnie oczy.

- Siatki? Jakiej siatki?

Uniosła się lekko na palcach i pokręciła głową.

- No, no... Kto tu udaje takie niewiniątko. Ale ciekawa jestem, jak pan będzie śpiewał przed sądem wojskowym.

- Ach, tak - droczył się żartobliwie - posyłasz mnie przed trybunał wojskowy.

- Murowana czapa - zawyrokowała zdecydowanie.

Fajczarz zmrużył porozumiewawczo oko.

- Może jednak pozwoliłabyś mi wymknąć się z tej pułapki?

Spojrzawszy z niedowierzaniem, zamyśliła się.

- Pod jednym warunkiem.

- Pod jakim?

- Że pan da się nam złapać.

- Przecież to wszystko jedno, kto mnie złapie.

- Nie, bo my za doprowadzenie pana na milicję dostaniemy medal.

Fajczarz roześmiał się szczerze.

- Teraz rozumiem i jestem gotów pomóc wam, tylko jak się wydostać z tej klitki?

- Ma pan kawałek drutu?

- Chcesz zrobić wytrych?

- Tak.

- A czy umiesz?

- Nie takie drzwi otwierałam.

- Niestety, nie mam drutu... - Nagle klepnął się po kieszeni i wyjął przybory do fajki. - Może to się nada? - Podał jej płaski, metalowy przyrząd.

- Spróbujemy. - Podeszła do drzwi, otworzyła szpikulec, jęła nim obracać w dziurce od klucza.

- Niestety, klucz został w zamku. Trzeba będzie go wypchnąć...

Ledwo zdążyła to powiedzieć, gdy ktoś z zewnątrz przekręcił klucz. Odskoczyła, będąc pewna, że to tajniak. Tymczasem drzwi się uchyliły, a w szparze zobaczyli bazyliżkowatą gębę Muminka.

- Uciekaj! - wyszeptał spokojnie.

Nie patrząc na Fajczarza, wyskoczyła na korytarz. Rozejrzała się. Prócz Muminka nikogo na nim nie było. Wykorzystując to, ruszyła w stronę drzwi komórki. Muminek dreptał jej po piętach. Obejrzała się. Spostrzegła, że Fajczarz, jakby nic się nie zdarzyło, szedł za nią, pykając i wypuszczając z ust kłębiaste dymki. Zamknęła cicho drzwi

- Jesteś nieoceniony - trąciła łokciem Muminka.

Ten z lodowatym spokojem mruknął:

- Oddaj brylant.

Dopiero teraz przypomniała sobie, że w dłoni ściska drogocenny kamień.

- Oddam ci, ale później.

- Nie. - Spojrzał wyzywająco. - Oddaj teraz.

Ledwie to wypowiedział, drzwi zaskrzypiały i raptem w ciasnej komórce ukazał się Fajczarz.

- To pan też? - zapytała ostro.

Fajczarz przyłożył palec do ust.

- Ciii... - A potem dodał szeptem: - Zgadzam się na twoje warunki.

Dziewczyna trąciła go łokciem.

- To z pana fantastyczny facet.

- Nie traćmy czasu. - Szybkim krokiem podszedł do klapy i dźwignął ją. Powiało świeżym i chłodnym powietrzem. Fajczarz uczynił taki ruch ręką, jakby chciał ich ponaglić.

- Piorunem, bo szkoda czasu.

Pierwsza wyszła na dach Zulejka. Podała dłoń Muminkowi, wyciągnęła go. Fajczarz wy dostał się o własnych siłach, a gdy stanął na pomoście prowadzącym do komina, powiedział:

- Moja droga panno, dzięki tobie pierwszy raz znalazłem się na dachu.
- Ciii - napomniała go Zulejka. Wychyliła się spoza komina.
- To fantastyczne - wyszeptwała radośnie. - Są tacy pewni siebie, że nie zdjęli nawet drabiny.

GWALTU! CO SIĘ TU DZIEJE?

- Jak myślisz, tato, czy ona przedostała się do pensjonatu, czy ją tu przyprowadzili?

Pan Dziwisz zerknął na syna spoza książki.

- Znając ją, jestem przekonany, że sama tu przylazła.

- Chyba tak... Tylko szkoda, że ją capnęli.

- Bardzo dobrze - zamruczał pan Dziwisz. - Przynajmniej nie będzie przeszkadzała milicjantom w ich obowiązkach.

- Eee, tato, ty tego nigdy nie zrozumiesz.

- Czego?

- Jej brawury...

- Czy ty nie przesadzasz, chłopcze?

- Nie, bo ona jest fenomenalna.

- Fenomenalna - powtórzył drwiąco ojciec. - Szkoda, że nie wlaźła na dach.

- A właśnie, że wlaźła, bo ja już wysledziłem, że przy drzwiach na dole stoi cerber w mundurze.

Pan Dziwisz zaśmiał się sucho.

- To piękna sprawa - milicja ściąga z dachu dziewczynę.

- Ale jak ona dostała się na dach?

- Nie zawracaj mi głowy - sarknął ojciec i nakrywszy się kocem, wyciągnął się wygodnie na łóżku.

- Ciebie to nic nie interesuje, a tu chodzi o wielką rzecz.

- Nie przesadzaj i zrozum, że skoro zabrała się do tej sprawy milicja, musi to być coś bardzo poważnego.

- No jasne! Przecież tu chodzi o brylant za dwieście tysięcy...

- ...dolarów - dokończył z sarkazmem pan Dziwisz. - Czy wy zawsze musicie mieć tak wybujałą wyobraźnię?... A w ogóle, to nie wierzę, żeby pani Żednicka zrobiła coś przeciw prawu.

- To nie wierz - rzucił z żalem chłopiec. - A ja ci mówię, że ona jest zamieszana w aferę szpiegowską...

Pan Dziwisz pokiwał ze współczuciem głową.

- Ej, Bartek, kiedy ty wreszcie zmądrzejesz?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- A jednak... wybacz... ale jesteś wapniakiem.

- Dobra, dobra. - Pan Dziwisz zagłębił się w lekturze.

Bartek znowu uchylił drzwi. Cywil, który do tej pory pilnował korytarza, wyparował. Chłopiec na palcach wysliznął się z pokoju. Było zupełnie cicho i pusto. Rozejrzał się i cichutko podszedł do drzwi magazynu. Klucz nadal tkwił w zamku. Chciał go przekręcić, lecz zamek nie puszczał. Nacisnął klamkę. Zaskrzypiały pchnięte drzwi, a chłopiec ze zdumieniem spostrzegł, że magazyn jest zupełnie pusty.

- Co, do jasnej Anielki!?! - wyszeptał. - Niedawno tajniak zamknął dziewczynę, a już jej nie ma. Co mogło się stać? Czy zabrali ją na przesłuchanie, czy po prostu im związała?

Przychylił się raczej do pierwszej możliwości. A więc Zulejka spowiada się teraz przed jakimś tajniakiem. Był pewny, że da sobie radę. Najważniejsze, żeby ich nie zdekonspirowała i nie wypaplała, że pracują wspólnie nad rozwiązaniem kilku niezwykle ciekawych zagadek. W jednym wypadku milicja już ich uprzedziła, więc należało strzec się i działać ostrożnie.

Spojrzał na zegarek. Była szósta z minutami. Pocieszał się, że milicja szybko upora się z rewizją i z przesłuchaniami, a on przed ósmą zdaży zebrać cały szczepek Arapachów. Nagle na schodach usłyszał kroki. Powziął błyskawiczną decyzję. Wyjął klucz z zamka i ukrył się w magazynie. Przez szparę obserwował korytarz. Wkrótce w jego polu widzenia ukazała się znajoma sylwetka faceta w zamszowej kurtce, który uprzednio prowadził Zulejkę. Tajniak nie zatrzymując się, szarpnął znajdujące się naprzeciw magazynu drzwi.

- Proszę wyjść! - zawołał napiętym głosem.

Wnet w progu ukazała się tęga postać pani Downarowej.

- Proszę pana - zawołała wzburzona - dokąd zamierzają panowie trzymać niewinnych ludzi...

- Do skutku - przerwał jej tajniak.

- To skandal! - Uniosła się gniewem. - Chyba nie posądza nas pan...

Tajniak nie zwracał uwagi na jej protesty.

- Szybciej. Szybciej! Proszę przechodzić do sali telewizyjnej.

- Mój mąż - jęknęła pani Downarowa - wniesie na pana skargę. Nie można...

Milicjant, nie słuchając jej, otworzył drzwi pokoju Dziwiszów.

- A pan co tu robi? - zwrócił się do ufologa.

Bartek za chwilę usłyszał dobrze znany głos.

- Panie, czy pan oszalał? Przerwał mi pan w najciekawszym miejscu.

- Będzie pan mógł dalej czytać w świetlicy.

Za chwilę przed ukrytym w magazynie Bartkiem predefilowali wszyscy goście „Goplany”: rozszalona pani Downarowa, wystraszone jej córuchy, znudzony Benek, przeklinający ojciec, a na końcu pani Żednicka.

Babcia Muminka, jak na honorowego szpiega przystało, szła energicznym krokiem z podniesioną głową i pogardą w oczach. Mijając tajniaka, rugnęła go:

- Będziecie musieli zapłacić za wszystkie szkody. To barbarzyństwo tak bezmyślnie niszczyć pokój.

- Spokój! - zawołał. - Za wszystko pani zwrócimy.

Po chwili na korytarzu ucichło.

Bartek starał się zrozumieć, co się dzieje, lecz wszystko wyglądało bardzo tajemniczo i dziwnie. Zastanowił się:

Dlaczego kazali wszystkim opuścić swe pokoje i zebrać się w sali telewizyjnej? Chyba nie zorganizują pogadanki na temat „Wpływ pogody na samopoczucie”. Czyżby już znaleźli brylant? A może właśnie nie znaleźli? - rozmyślał. Wnet na korytarzu zadudniły czyjeś kroki, a po chwili ukazał się tajniak ubrany w zamszową Kurteczkę i welwetowe dzinsy.

- Czy już wszyscy w świetlicy? - zapytał tego głównego w deszczowcu i płóciennym kapeluszu-garnku.

- Zdaje mi się że nie ma jednego chłopca.

- Którego?

- Tego, który mieszka z ojcem pod piątką.

- To gdzie się podział?

- Nie wiem. Trzeba jeszcze raz przeszukać wszystkie pomieszczenia.

Ten w płaszczu, który był prawdopodobnie szefem, zbliżył się i poczęstował go pełnym niezadowolenia spojrzeniem.

- Ty, Zenek, żebyś tylko nie skrewił, bo wiesz, czym to pachnie?

- Nie martw się, zaraz go znajdziemy. - Podeszedł do przełożonego i zapytał prawie szeptem.

- Masz już ten kamień?

Tamten wzruszył ramionami.

- Gdzie tam... Znajdź chłopca i zabieramy się do roboty. - Spojrzał na zegarek. - Cholera, już po szóstej.

- No właśnie.. Według planu o tej porze powinniśmy być już...

- Spiesz się, Zenek - przerwał mu szef. - Szukaj chłopca, a ja dam znać Irmie. Tylko piorunem, bo wiesz... - Nie dokończył, gdyż podwładny dwoma krokami był już u drzwi piątki. Szarpnął je i nie zamykając za sobą, znikł w pokoju.

Bartek z zapartym tchem śledził bieg wydarzeń. Rozmowa tajniaków wydała mu się podejrzana. Obaj byli zdenerwowani. Wprawdzie można było wytłumaczyć to niepowodzeniem w poszukiwaniu brylantu, lecz po co te nie opanowane gesty, nie wyważone słowa? Dlaczego ten ważniejszy powiedział: „Wiesz, czym to pachnie” i o jaki plan im chodziło? A przede wszystkim - o jakiej wspomniał Irmie? Czyżby chodziło o Mortadelę? Chłopiec rozważał gorączkowo zaistniałą sytuację, a im dłużej myślał, tym więcej rodziło się w nim wątpliwości. Wreszcie, gdy w drzwiach prowadzących do pokoju telewizyjnego zobaczył panią Irmę, doznał takiego uczucia, jakby spadał z wysokiej wieży.

Żałosna Mortadela była najbardziej roztrzęsiona. Ujrawszy stojącego pod siódmką tajniaka, złapała go za rękaw.

- Zenek, spartaczyliście całą robotę - rzuciła gniewnie. - Teraz na wszystko jest za późno.

- Nie łam się - odburknął tajniak. - Obrabiaj teraz pokoje.

Bartek aż westchnął z wrażenia.

To ona w milicji - pomyślał - albo w kontrwywiadzie? Nie pozwolili mu zastanawiać się dłużej, gdyż w tej chwili ten drugi w kapelusiku-garnku zjawił się obok nich i bez słowa skierował się do drzwi magazynu. Bartek był na tyle przytomny, że zdążył przymknąć drzwi i przekręcić klucz w zamku. Ledwo to uczynił, tajniak dopadł drzwi i jął szarpać klamką.

- Gdzie się podział klucz? - zapytał głośno.

- Ciszej! - zabrzmiał przytłumiony głos pani Irmy. - Pewno schowałeś do kieszeni.

Zapadła cisza. Bartek skulił się pod drzwiami i zachichotał cichutko. Sytuacja wydała mu się coraz bardziej groteskowa. Co to za milicjanci - pomyślał - denerwują się, zapominają kluczy i kłócą się między sobą. - Zanim zorientował się, o co chodzi, usłyszał napięty złością głos Mortadeli.

- Gdzież jest ten klucz?

- Do jasnej... - odpowiedział męski głos - zdaje mi się, że zostawiłem go w zamku.

- To gdzie się podział?

- Nie wiem...

- Dziękuję. Pięknie nas urządziłeś. Może jednak orientujesz się, gdzie się podział ten chłopiec?

Bartek jeszcze bardziej się skulił. Był pewny, że tajniak wyważy drzwi. Tymczasem na korytarzu zapanowała cisza. Przyłożył ucho do szpary. Nie doszły go żadne szmery. Otworzył więc ostrożnie drzwi i spojrzał na korytarz. W jego polu widzenia pojawiła się nagle Mortadela. Biegła na palcach, trzymając w ręce zniszczoną teczkę jego ojca.

W co tu się gra? - zastanowił się chłopiec. - Do czego jej potrzebna teczka mojego staruszka? Co będzie do niej pakowała? A może ojciec przechowywał w niej jakieś ważne dokumenty? - Był tak podniecony, że nie potrafił pozbierać myśli. Dopiero gdy zobaczył, że Mortadela wchodzi do pokoju Downarów, zaświtało mu w głowie podejrzenie: może to nie milicjanci ani agenci kontrwywiadu? Myśl ta pchnęła go do działania. Wychylił głowę przez szparę. Korytarz był pusty. Wyszedł więc na palcach i ostrożnie zbliżył się do schodów. Obejrzał się. Nikt go nie zauważył. Zaczął schodzić na palcach. Kiedy znalazł się na zakręcie schodów, pod sobą w sieni ujrzał mundurowego. Milicjant dla zabicia czasu bawił się wyciągniętą z pochwy pałką. Bartek podjął decyzję. Zbiegł ze schodów i zanim milicjant zdążył zerwać się z krzesła, powiedział głośno:

- Panie władza, szef pana wzywa na górę.

Tak zaskoczył stróża porządku, że ten najpierw uniósł się, a potem znowu opadł na krzesło.

Bartek nie stracił zimnej krwi.

- Niech pan tylko nie zapomni zamknąć za mną drzwi - rzucił, dziwiąc się, skąd zdobył się na taką szarżę.

Dopiero ta uwaga poderwała przedstawiciela władzy. Wstał, spojrzął na drzwi. Były zamknięte, a w solidnym zamku tkwił klucz. Uspokojony drasnął chłopca spojrzeniem, lecz nie zatrzymał się przy nim, tylko biegiem ruszył w kierunku schodów. Sadził w górę co trzeci stopień, a gdy zniknął w korytarzu, Bartek przekręcił klucz, pchnął drzwi i jak sprinter pognął przed siebie. Zatrzymał się dopiero na ulicy.

- Uff... - odetchnął - udało się.

TWOJA BABCIA TO TEŻ DOBRY NUMER!

- Udało się - powiedziała Zulejka, kiedy z Muminkiem znaleźli się na ulicy Żeromskiego.

Muminek spojrzął nieufnie.

- Ty, Zulejka, oddaj brylant.

Zulejka zachłysnęła się.

- Kurcze pieczone, gdzie ja go mam?

- Tylko nie bujaj, że go zgubiłaś.

- Czekaj, czekaj... - Uniosła dłoń do ust, jakby chciała ssać palec. - Trzymałam go w prawej ręce, a tę przędzę w lewej... Potem...

Muminek przyglądał się ponuro.

- Chyba nie powiesz, że spuszczałaś się z dachu z brylantem w łapie.

- Nie przerywaj - ofuknęła go - bo jeszcze zapomnę. No... więc, kiedy miałam przejść przez kłapę, schowałam go... ale gdzie?

- Radzę ci, przypomnij sobie, bo inaczej... ciemna mogiła.

- Och... nie przeszkadzaj. I w ogóle, po co ci teraz ten brylant?

- Bo chciałem wam jutro fundnąć lody i gofry.

- Za ten fantastyczny brylant?

- No nie... za resztę pojechałbym statkiem do Ameryki.

- Dlaczego właśnie do Ameryki?

- Bo tam nie musiałbym bawić się w Indian. Tylko zapisałbym się do szczepu Arapachów i byłbym ich czarownikiem.

- Głuptasku - zaśmiała się - przecież do szczepu nie można się zapisać.

- Coś ty, za taki brylant?

- Nawet za dziesięć razy większy. Arapachem trzeba się urodzić... A jeśli się nie mylę, to Arapachowie już wymarli.

- Ty - zaprotestował - nie zagaduj mnie, tylko oddaj ten brylant.

- Oddam go twojej babci.

Malec poczerwieniał ze złości.

- Zaraz oddaj, bo inaczej ściągnę z ciebie skalp.

- To przecież jej brylant.

- Coś ty?! A kto go uratował? Gdyby był u babci, to już dawno zabraliby go milicjanci.

- Już mam! - zawołała dziewczyna i szybkim ruchem sięgnęła do tylnej kieszeni spodni. Za chwilę w jej palcach błysnął drogocenny kamień.

- Oddaj! - krzyknął Muminek, wyciągając rękę.

- Nie zgubisz go?

- Coś ty...ja?

- Woląabym trzymać go przy sobie.

- Odpada. Daj tę przędzę i wsadź go, tak jak było, do środka motka.

- A gdzie go schowasz?

- Ja już dobrze wiem gdzie. I nikomu nie mów, że go mam.

Dziewczyna z tej samej kieszeni wyjęła motek szarej przędzy i kawałek zmiętej bibułki. Starannie owinęła kamień w bibułkę, potem wcisnęła go między sploty przędzy.

- Masz i nie płacz, a jak zgubisz, to pamiętaj, że cię ostrzegałam.

Na widok motka w jego oczach błysnęło zadowolenie.

- Ha... - zaśmiał się. - Teraz jestem milionerem. Kupię fabrykę lodów i wytwórnię gofrów. Na obiad będę codziennie jadł pierogi z jagodami, a na kolację kogel-mogel. Będę miał własnego osiołka i dwie tresowane foki, a jeździł będę tylko mercedesami... Tobie - zwrócił się do dziewczyny - kupię dom z lalkami. Taki, który będzie miał na dachu fontannę... - Przerwał, spojrzał pytająco na Zulejkę. - Te, która to godzina?

- Za dziesięć siódma.

- To my, zamiast rozesłać wici...

- Jakie wici? O czym ty mówisz?

- Bartek kazał wszystkim dzielnym Arapachom zebrać się o ósmej.

- Aha... - bąknęła pod nosem. - No to na co czekasz? Rozsyłaj.

- A ty?

- Ja, jak wiesz, przestałam się bawić...

Malec zrobił żalostną gębę.

- Bądź człowiekiem, Zulejko. Bez ciebie nie ma hecy.

- To nie heca - wyszeptała w zamyśleniu. - To wcale nie zabawa - powtórzyła rozglądając się dokoła.

- Czego szukasz?

- Do stu tysięcy stokrotek, przez ten brylant zapomnieliśmy o Fajczarzu. Gdzie on się ulotnił?

Istotnie, w momencie kiedy zaczęli rozmawiać o brylancie, Fajczarz, który szedł nieco z tyłu, odwrócił się i spokojnie odszedł. Tego pani inspektor nie mogła darować. Jak to bywa w takich wypadkach, wszystko skrupiło się na Muminku.

- To nie mogłeś go pilnować? - rzuciła mu ze złością.

- Zulejka, zlituj się, przecież dla mnie ważniejszy brylant niż ten literat.

- Literat?... - zdziwiła się. - Jaki literat?

- Moja babcia powiedziała, że on pisze książki.

- Może sobie pisać, ale jest szefem szajki.

- Zastanów się. Jak jest szefem, to nie miałby czasu na pisanie.

- Babcia mogła sobie mówić, bo z niej też dobry numer.

Muminek zaśmiał się ironicznie.

- Ty chyba z byka spadłaś. Moja babcia...

- Tak - przerwała mu. - Posługuje się szyfrem, a dla zmylenia kontrwywiadu biega rano z Fajczarzem po lesie.

Muminek zwrócił na nią pełne zdumienia oczy.

- To ja w takim razie jestem parasolem.

- Nie przejmuj się - pocieszyła go. - Jako starsza osoba dostanie pięć lat. A teraz - pchnęła go - wal do wszystkich i zarządz zbiórkę na siódmą na przystani. - Skinęła mu na pożegnanie ręką i ruszyła biegiem w stronę bulwaru.

Muminek stał jeszcze chwilę.

- Nie wierzę - wyszeptał - moja babcia to najwspanialsza babcia na świecie.

NIE BÓJMY SIĘ DUCHÓW

Bartek ukrył się za pniem drzewa. Nie mógł ochłonać z gorączki, w jaką wpędziły go nieoczekiwane przygody. Wnet jednak zrozumiał, że ulica nie jest odpowiednim miejscem do śledzenia. Okrążył więc ogród i przesadziwszy płot, ukrył się między krzakami agrestu.

Na dworze roz pogodziło się. Nad dachem pensjonatu ukazała się jasna pręga oświetlonych słońcem chmur, a cały ogród roz błysnął w perlistej zamieci kropel. I jaskółki opłotły niskim lotem wysokie topole. Dom stał jak wymarły. Drzwi, które chłopiec zostawił otwarte, były teraz zamknięte na trzy spusty, a okna pensjonatu zasłonięte firankami. Wszystko tonęło w głębokiej ciszy. Tylko od czasu do czasu ulicą przejechał samochód, wzbijając spod kół bryzgi wody. A gdzieś dalej, od strony jeziora, dolatywało ciche gruchanie dzikiego gołębia. Czas płynął wolno i leniwie...

Nagle zaskrzypiała zasuw, a w drzwiach ukazała się ciemna sylwetka Mortadeli. Na chwilę kobieta zatrzymała się, rozglądając się bacznie dokoła. Wnet jednak ruszyła szybkim krokiem. W ręce trzymała zniszczoną teczkę pana Dziwisza.

- Mam cię! - wyszeptał Bartek. Jak pocisk wyprysnął z kryjówki, przemierzył ogród, a potem,

kryjąc się za żywopłotem, dobiegł do furtki. Gdy znalazł się na ulicy, w odległości około stu metrów zobaczył Mortadelę. Szła kołysząc się w biodrach. W rękę trzymała teczkę, która była zapewne ciężka, gdyż pani Irma pod jej brzemieniem przechylała się na jeden bok.

Bartek, jako wytrwały wywiadowca, biegiem zmniejszył dzielącą ich odległość, a gdy uznał ją za odpowiednią, ruszył indiańskim krokiem, bacząc, by go nie zauważono.

Przy kiosku „Ruchu” Mortadela przecięła ulicę, zbaczając na ścieżkę między ogrodem a płotem budującego się domu.

Dokąd ona idzie? - zastanowił się. Nie znał tej ścieżki, więc trudno mu było zorientować się w terenie, lecz gdy tylko wyszli na równoległą ulicę, a w dali za drzewami ukazały się wydmy Białej Góry, był pewny, że zmierza do starego, opuszczonego domu. Nie mylił się. Po kilku minutach marszu za szpalerem świerków ukazał się dach zrujnowanego budynku.

Pani Irma dotarła do pierwszych zarośli i obejrzała się za siebie. Nie spostrzegłszy tropiącego ją chłopca, zagłębiła się w dziki gąszcz i znikła w nim jak pływak w rozkołysanej, zielonej fali.

Co się tu dzieje? - zastanowił się. - Wszyscy walą do tej rudery. Wnet jednak przypomniał sobie przedpołudniowe spotkanie z panią Irma i Tolem i wywnioskował, iż pani Irma zechce zapewne przedostać się z tej rudery do podziemi, a potem do hali, gdzie miały być ukryte tajne dokumenty, ba, może nawet skarby. Spojrzał więc na zegarek. Było piętnaście po szóstej. Do siódmej pozostawało sporo czasu. Do tej pory zdąży zawiadomić chłopców o zbiórce. Zawahał się jednak, a po chwili namysłu zdecydował nadal tropić czarną damę.

Okrążywszy ogród, znalazł się na tyłach domu. Mortadeli już nie było. Zdumiał się.

Jak ona potrafiła tak szybko wśliznąć się przez małe piwniczne okienko? - pomyślał i jednocześnie przeraził się, czy mu nie sprzątną sprzed nosa wspomnianej przez Łukasza paczki. Wnet jednak doszedł do przekonania, iż samymi rozważaniami nic nie wskóra. Jął bacznie obserwować dom i nasłuchiwać.

Po chwili na piętrze rozległo się ciche pobrzękiwanie, jakby ktoś stapał po blasze, i jednocześnie rozległ się stłumiony okrzyk.

Nie zastanawiając się wiele, doskoczył do znanego mu już okienka i ze zręcznością kota przedostał się do piwnicy. Kiedy opuścił się na zwał węgla, pod jego stopą z przeraźliwym trzaskiem rozleciał się kawałek szyby. Znieruchomiał. Wnet jednak opanował się, a stwierdziwszy, że w pobliżu nikt się nie porusza, jął skradać się na palcach w stronę schodów.

Muszę odzyskać tę teczkę... Muszę... - powtarzał w myśli. Ostrożnie wspiął się po schodach, a gdy znalazł się w pokoju z fortepianem, ktoś błyskawicznie chwycił go za kark. Chciał krzyknąć, lecz mocna dłoń zamknęła mu usta.

- Znowu nas śledzisz - usłyszał znajomy głos.

- Proszę mnie puścić! - wykrztusił.

Tolo odwrócił go błyskawicznie do siebie i złapawszy za szyję, przycisnął do ściany. W półmroku chłopiec ujrzał twarz napastnika i tłące się gniewem oczy.

- Ja pana wcale nie śledziłem - dodał. - Pierwszy raz widzę tu pana.

- Ale szedłeś za panią...

Bartek zrobił niewinną gębę.

- Jaką panią? Pierwszy raz słyszę.

Tolo zacisnął mocniej dłoń na szyi chłopca.

- Nie wykręcaj się, bo cię zaduszę jak szczenię.

- Jak bichme... nikogo nie śledziłem.

- To czego tu szukasz?

- No... - zająknął się.

- Mów.

- Jak mogę mówić - wybełkotał - kiedy pan ściska mi gardło.

Tolo rozluźnił nieco chwyt.

- No, słucham.

- My... bawiliśmy się tu w Indian - fantazjował. - Chciałem wyszukać dobrą kryjówkę, żeby Apacze... - Zająknął się, nie wiedząc, co dalej mówić, lecz z opresji wybawiło go dziwnie brzmiące gulgotanie, jakby ktoś płukał gardło. Niemal równocześnie rozległ się huk spadającego ciężkiego przedmiotu.

- Irma, to ty? - zawołał Tolo.

Odpowiedział mu bolesny jęk.

- Irma! - krzyknął głośniej.

Po pustych pokojach poniósł się piekielny chichot, jak gdyby sto czarownic urządziło sobie sabat. Tolo zbladł. Puścił chłopca.

- Irma! - wrzasnął pełnym gardłem.

Ucichło, a potem dały się słyszeć miękkie kroki, jakby ktoś zbliżał się, idąc po dywanie. I nagle z bocznych drzwi wyszła Żałosna Mortadela. W czarnym golfie, w czarnych spodniach i

czarnej przepasce podtrzymującej jej długie włosy wyglądała jak zjawa. Oczy jej pałały gniewem.

- Ty kretynie! - zwróciła się przytłumionym głosem do Tola. - Ty idioto, zawsze musisz wszystko zepsuć.

- Ależ, Irmo, o co ci chodzi? Przecież słyszałaś, że ktoś jest na piętrze. I te wrzaski.

Irma zaśmiała się drwiąco.

- Jeżeli powiesz, że straszą tu duchy, to możesz stąd iść prosto do zakładu dla wariatów.

Tolo zachnął się.

- Może nie słyszałaś?

- Słyszałam - powiedziała cedząc każdą zgłoskę przez zaciśnięte zęby. Nagle pełne bezsilnego gniewu spojrzenie przeniosła na Bartka. Pokiwała z politowaniem głową. - I po co znęcasz się nad tym miłym chłopcem.

- Jak to? - zająknął się. - On nas śledzi.

- Niech śledzi. Nie mamy nic do ukrycia, a on bawi się pewno w detektywa - zauważyła, siląc się na spokój.

- A teczka mojego taty? - wtrącił mimo woli Bartek, żałując w tej samej chwili, że w ogóle otworzył usta.

Mortadela posłała mu pełne zdziwienia spojrzenie.

- O jakiej teczce mówisz?

- O żadnej... Tak mi się tylko wymknęło. - Odetchnął z ulgą. Był bowiem pewny, że w tym przykrym położeniu lepiej nie wspominać o teczce, ani o niczym, co by łączyło się ze sprawą brylantu i z całą aferą. Nagle doznał olśnienia. Zrozumiał, że Irma nie była w milicji, a całe improwizowane śledztwo... było dziełem sprytnej szajki.

- No, tak - przerwał mu tok myśli Tolo, a skinąwszy głową w stronę pani Irmy, dodał uszczypliwie: - A mnie się zdawało, że on...

- Gdybyś się zastanowił - przerwała mu - to nie strzeliłbyś takiego głupstwa. Puść go - rozkazała.

Tolo pchnął chłopca.

- Dobrze, ale pamiętaj... że to ty...

- Nic już nie mów, bo znowu palniesz jakąś straszliwą gafę.

Scena ta tak zaszokowała Bartka, że stał chwilę, nie rozumiejąc, co się stało. Dopiero gdy pani Irma wykonała szybki ruch ręką, jak gdyby chciała go odsunąć, wycofał się. Kiedy znalazł się blisko schodów prowadzących do piwnicy, odwrócił się. Zbiegł na dół, nie wierząc, że uszło mu to bezkarnie. Czuł się jak wypuszczony z klatki ptak. Błyskawicznie wspiął się na stertę węgla, a przez okienko prześliznął się jak wąż, lecz wciąż jeszcze nie wierzył, że tamci dali mu odejść. Dopiero gdy z krzaków usłyszał ciche poświstywanie, a po chwili ujrzał wyłaniającą się głowę pani inspektor, odetchnął z najcudowniejszą ulgą. Nie zważając na kolce dzikich róż, wcisnął się w zarośla. Zulejka przywitała go chichotem i zanim przyszedł do siebie, schyliła się i z krzaków podniosła... - nie chciał wierzyć własnym oczom - teczkę jego ojca.

- Zula - zachłysnął się - skąd masz tę teczkę?

Dziewczyna przymrużyła łobuzersko oko.

- Z nieba mi spadła.

- Nie żartuj. Przecież miała ją Mortadela.

- Ale już jej nie ma - droczyła się żartobliwie.

- Jak to zrobiłaś?

- Sposobem.

- Nie kpij ze mnie.

- Sierzancie - uderzyła się dłonią w czoło - twoje klepki są nie naoliwione.

- No, mów, bo pęknę z ciekawości.

W jej zielonych oczach zabłyśły wesołe ogniki.

- A słyszałeś hasającego po piętrze ducha?

Chłopiec spojrzał z niedowierzaniem.

- To ty tak jęczałaś i...

- A kto, jak myślisz?

- To było piramidalne.

- Do kwadratu.

- A skąd się wzięłaś w tym domu?

- Przeczulałam, że ty wpadniesz tam w tarapaty.

- Znów żartujesz.

- Bo chce mi się śmiać, jak sobie przypomnę twoją minę, gdy Tolo złapał cię za kark.

- Naprawdę mnie widziałaś?

- Nie... nadawali w telewizji.

- Przestań mnie dręczyć.

Zulejka pokiwała głową.

- Ej, sierżancie, sierżancie, beze mnie tobyś już dawno zginął. - Poklepała go protekcjonalnie po ramieniu i zaczęła opowiadać o tym, co się zdarzyło od chwili, gdy się rozstali, a gdy doszła do momentu, kiedy pożegnała Muminka, dokończyła:

- Wyobraź sobie, ten wstrętny Fajczarz zniknął, jakby się rozplynał w powietrzu. Chciałam go odszukać, ale na bulwarze nawinął się Tolo. W brezentowym worku dźwigał coś ciężkiego i z trudem doszedł do starego domu.

- No dobrze, ale jak on przecisnął się z workiem przez okienko?...

Zula pokiwała głową.

- Nic a nic nie kapujesz. Przecież ci mówiłam, że jest wygodne wejście przez werandę. Trzeba tylko odsunąć dwie deski.

- Zapomniałaś, że mówiłaś mi... pamiętasz, że nie mogłaś wejść przez werandę, kiedy spotkałaś Fajczarza.

- Widocznie byłam tak zdenerwowana, że nie mogłam odszukać tych desek.

- A ja dzisiaj znowu dwa razy przechodziłem przez piwnicę.

- Wiem, wiem. - Uśmiechnęła się współczująco. - Więc pan Tolo wszedł do środka, a ja za nim.

- Nie spostrzegł cię?

Wzruszyła ramionami.

- Człowieku, gdyby mnie spostrzegł, to nie udałby się następny numer... - Przeciągała wolno słowa, jakby się chciała znęcać nad Bartkiem.

- Mów, co dalej?...

- Dalej? - zastanowiła się. - No cóż, pan Tolo zaczął wyjmować z worka cały ekwipunek:

kostium pletwonurka, butle z tlenem, linę, jakieś haki i młotki... Jednym słowem...

- To, co mu było potrzebne do wyprawy po podziemne skarby - dodał fachowo. - Ale powiedz, z jakiego miejsca go obserwowałaś.

- Nie przerywaj - ofuknęła go. - Jesteś za mało spostrzegawczy. Nie zauważyłeś, że w suficie jest dziura? Przez tę dziurę zobaczyłam Mortadelę z teczką...

- Teraz rozumiem, w jaki sposób zniknęła mi tak szybko.

- No jasne, weszła do domu przez werandę.

- A co zrobiła z teczką?

- Brawo - klasnęła - nareszcie jakieś uczciwe pytanie. - Weszła do bocznego pokoju, tego, który miał połączenie z korytarzem.

- Rozumiem. I tam zostawiła teczkę.

- Wspaniale! Coraz lepiej!... Więc Mortadela położyła ją pięknie w kącie pokoju... a wtedy zjawiliś się ty.

- I ty to wszystko widziałaś? - Spojrzał zdumiony na Zule.

- Jasne - chrząknęła znacząco - a najbardziej chciało mi się śmiać, kiedy capnął cię ten...

- Mądra! - Wzdrygnął się urażony. - Ciekawe, co byś zrobiła na moim miejscu.

- W każdym razie nie opowiadałabym bajeczek, że bawię się w Indian. No i... - ciągnęła z werwą - myślę sobie: trzeba ratować mojego sierżanta... I zaczęłam udawać ducha.

- To już wiem, ale jak zdobyłaś teczkę?

Zulejka uśmiechnęła się tajemniczo.

- Po prostu miałam szczęście. Kiedy Mortadela zaczęła rugać szanownego Tola, to ja po cichutku na palcach zesłam do korytarza, potem do pokoju i cap... Teraz już wszystko wiesz. Możemy działać dalej.

- Stop! - powiedział Bartek. - Przecież nie wiemy, co jest w tej teczce.

Spojrzeli na siebie znacząco i jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

- Sierżancie - rzekła pani inspektor - jesteś doprawdy znakomity.

Schyliła się, otworzyła teczkę. Na wierzchu leżał jedwabny szal.

- To pani Downarowej - powiedział Bartek z odcieniem rozczarowania.

Zulejka zawtórowała mu westchnieniem.

- A ja myślałam, że będą jakieś ważne i tajne dokumenty.

Bartek odsunął szal. Wyjął spod niego parę damskich butów.

- Włoskie - oceniła fachowo dziewczyna. Schyliła się i jednym szarpnięciem wyciągnęła batystową nocną koszulę. - Francuska.

W tej samej chwili Bartek spod koszuli wyjął ciężką, złotą bransoletę. Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- To też pani Downarowej. - Wnet jednak dodał z żalem: - Myślałem, że to siatka wytrawnych szpiegów, a tymczasem...

- Pospolici złodzieje - zawyrokowała Zulejka. - Zostają jeszcze Fajczarz, Krzywonos i pani Żednicka.

- Nie znaleźli brylantu, to obrobili panią Downarową na cacy. Musisz jednak przyznać, że nalot na „Goplanę” zrobili fachowo i z polotem.

Dziewczyna zamyśliła się.

- Zapomnieli jednak, że mają do czynienia z nami.

Bartek spojrział na zegarek.

- Teraz musimy rozesłać wici.

- Już rozesłane. Zrobił to Muminek.

- To wspaniale. - Skinął w stronę dziewczyny. - Zabierz teczkę i zanieś ją do siebie na kemping, a ja muszę zorientować się w sytuacji. O ósmej spotykamy się na przystani.

INDIANIE WKRAČZAJĄ NA WOJENNĄ ŚCIEŻKĘ

Zulejka wystąpiła przed szereg Arapachów.

- Słuchajcie, dzielni wojownicy! - przemówiła uroczyście. - Nadszedł czas walki. Musimy wykopać z ziemi toporki i naostrzyć je, bo wróg chce zabrać nam nasze tereny łowieckie...

Wojownicy w wyczekującym skupieniu słuchali przemówienia Gradowej Chmury. Na tle wzburzonego jeziora i lasu oświetlonego miedzianym blaskiem przebijającego się przez chmury słońca wyglądali jak prawdziwi łowcy skalpów. Wszyscy oprócz Bartka wymalowali twarze, odziali się w najparadniejsze stroje, uzbroili w najokazalszą broń, a teraz czekali tylko na rozkaz wkroczenia na wojenną ścieżkę.

- Gradowa Chmuro - wyrwał się Kieł Kuguara, w cywilu Muminek - dlaczego wróg chce zabrać nam najlepsze tereny?

Zulejka posłała mu pełne przygany spojrzenie.

- Nie przerywaj, Kle Kuguara...

- Nie jestem już Kłem Kuguara, tylko Wielkim Czarownikiem - oburzył się malec.

- Jak to?! - zachnął się tyczkowaty chłopiec w okularach. - Kto cię mianował?

- Ja go mianowałam - wyjaśniła Gradowa Chmura.

- Przecież to ja byłem Wielkim Czarownikiem - zawołał dryblas płacząco.

- Tak, byłeś, ale już nie jesteś.

- To niesprawiedliwe - wtrącił Młody Łoś, czyli Franek Grzyboń.

Wódz podniósł rękę.

- Uspokójcie się. O sprawach personalnych pogadamy jutro. Dzisiaj musimy zebrać wszystkie siły, by pobić na łeb...

- Gradowa Chmuro - przerwał jej Płomienne Oko, chłopiec o rudych włosach i zielonych oczach - jeżeli mamy walczyć, to dlaczego Milcząca Skała nie ubrał wojennego stroju?

Wszyscy wlepili oczy w Bartka Dziwisza. Stał z boku w długiej ojcowskiej pelerynie z tak poważną miną, jak gdyby wybierał się do Krainy Wiecznych Łowów.

- Nie dziwcie się - wyjaśniła Gradowa Chmura - on ma udawać cywilizowanego Indianina.

- A co to znaczy cywilizowany? - wyrwał się Muminek.

Gradowa Chmura uniosła rękę, nakazując milczenie.

- Nie wygłupiajcie się, bo to poważna sprawa - zawołała, a potem dodała z indiańska: - Musimy pokazać tym cuchnącym Czarnym Stopom...

- To my nie naporzamy się z Apaczami? - wtrącił Róg Jelenia, poprawiając na nosie okulary.

- Wódz Apaczów je teraz u Brodacza gofry - wyjaśnił Kieł Kuguara.

Zulejka tupnęła.

- Spokój, gnojki, bo was przepędzę na cztery wiatry.

Ta dyplomatyczna przestroga uciszyła rwących się do walki czerwonoskórych. Gradowa Chmura skoczyła na skrzynkę po butelkach po piwie.

- Słuchajcie, dzielni wojownicy, dzisiaj staniemy do walki z dorosłymi wrogami. Jest to plemię wielkoludów. Nie damy im rady w walce wręcz. Musimy więc zgnębić ich podstępem. Będziemy nękać ich i zwodzić aż do zwycięstwa.

- A dlaczego? - zawołał Kieł Kuguara cieniutkim głosem.

Milcząca Skąła odrzucił połą peleryny i jak burza doskoczył do niego.

- Zamknij się, bo cię palnę.

Malec zmarszczył łuszcący się nasek.

- Ty nie masz głosu, bo udajesz cywilizowanego.

Gradowa Chmura zerknęła na zegarek.

- Wojownicy! - zawołała gromko, unosząc wysoko buńczuk wodza. - Zbliża się historyczna chwila wymarszu. Za mną, dzielni Arapachowie! Unieście wysoko czoła i nie miejcie litości dla wroga!

Ruszyli na ugiętych kolanach w luźnym szyku indiańskim. Gdyby ich ktoś zobaczył, mógłby sądzić, że zbierają grzyby. Oni tymczasem posuwali się szparko, a gdy minęli Białą Górę, wódz dał znak, żeby się zatrzymali. Przypadli do ziemi, kryjąc się za pniami sosen i kępami paproci. Bartek podczołgał się do wodza.

- Widzisz coś?

Zulejka wyciągniętą ręką wskazała kępę czarnego bzu.

- Fajczarz! - wyszeptała z przejęciem.

Nie myliła się. Na tle bujnych paproci widniała dobrze im znana sylwetka. Fajczarz rozglądał się, jak gdyby nic się wokół nie działo, a srebrnym szpikulcem grzebał w wygastej fajce.

- Łotr, przecież przyrzekł ci, że dobrowolnie odda się w nasze ręce.

- Podwójny łotr, bo miał już wycofać się z przestępczej kariery. - Zulejka uniosła wysoko buńczuk i z okrzykiem „Śmierć bladym twarzom!” pierwsza ruszyła na wroga. Za nią poderwali się

wojownicy. Wywijając w powietrzu toporkami, z wojennym okrzykiem na ustach biegli do ataku. Tylko cywilizowany Indianin pozostał w tyle. Jeszcze nie wybiła jego godzina. Czekał na sygnał Łukasza.

Pierwsza do wroga doskoczyła Gradowa Chmura.

- Śmierć siwemu skalpowi! - zawołała tak głośno, że okrzyk przeszedł w piskliwe zawodzenie.

Fajczarz uniósł ręce.

- Poddaję się - powiedział, nie wypuszczając fajki z zębów.

Arapachowie otoczyli go tanecznym kręgiem. Podskakując i wywijając bronią wznosili bojowe okrzyki...

- Mamy cię, ścierwo kojota!

- Pożegnaj się z swym robaczym życiem!

- Nie będziesz oddychał powietrzem naszej prerii!

- Na stos z nim!

Zulejka doskoczyła tak blisko, że stanęła z nim twarzą w twarz.

- Złamał pan słowo - rzuciła cicho, żeby wojownicy nie usłyszeli jej głosu.

Fajczarz uśmiechnął się przekornie.

- Pierwszym przykazaniem każdego jeńca jest - uciekaj.

- Nic pana nie uratuje. I tak pójdzie pan za kratki.

- Zobaczymy. - Nonszalanckim ruchem przesunął kapelusz na tył głowy. - Ten się śmieje, kto się śmieje na ostatku.

Zulejka potrząsnęła buńczukiem tuż przed jego nosem i zawołała pełnym głosem:

- Zostaniesz spalony na stosie, a twe popioły rozsiejemy we wszystkie strony świata.

Wojownicy odpowiedzieli dzikim okrzykiem i jeszcze szybciej jęli krążyć wokół niego. Kieł Kuguara pogroził Fajczarzowi toporkiem.

- Zrobię z ciebie krwawą masę! - wrzasnął, a przybliżywszy się dodał cicho: - Niech się pan nie boi, to tylko tak na niby. Jaką pan teraz pisze książkę?

Inni byli bezlitośni. Domagali się zdarcia skalpu z jego głowy, a potem całopalenia.

Fajczarz zostałby zapewne rozniesiony na toporkach, gdyby nagle wśród stuletnich sosen nie pojawił się Krzywonos. Pierwszy zauważył go Bartek.

- Uwaga! - zawołał. - Zbliżają się posiłki.

Z tym wrogiem nie poszło im tak łatwo. Krzywonos, nie bacząc na liczbową przewagę Arapachów, wdarł się w ich krąg. Wyraz jego twarzy nie wróżył im nic dobrego. Odepchnął brutalnie nacierającego nań z uniesionym toporkiem Roga Jelenia i zawołał szorstko:

- Chłopcy, dość tej zabawy!

Mylił się jednak, myśląc, że Indianie zostawią go w spokoju. Nieustraszeni wojownicy jęli go atakować z doskoku. Gdy odpędzał jednego, zaraz z tyłu nacierał następny. Z boku wyglądało to jak kołomyjka. Krzywonos z wolna tracił cierpliwość, a gdy otrzymał następny cios, złapał za rękaw przeciwnika, lecz ten, nie bacząc na całość wiatrówki, wyrwał się, zostawiając rękaw w dłoni wroga. Widząc, że nie da im rady, zaczął paktować.

- Panie Henryku - zwrócił się do Fajczarza - niech im pan wytłumaczy.

Ten opuścił bezradnie ramiona.

- Przeciwnik, jak pan widzi, ma przewagę.

- Pan chyba też zupełnie zdziecinniał - rzucił mu oschle.

Fajczarz zrobił taki gest, jakby chciał się usprawiedliwić, lecz w tej samej chwili wśród wojowników ukazał się Arab... Ten wysoki, przystojny, który rano przyjechał do „Jantaru”. Syn spalonej pustyni na tle słowiańskich borów wyglądał jak bożek. Jego pełna godności postawa onieśmieliła wojowników. Wycofali się na przyzwoitą odległość, przestali wymachiwać toporkami i wykrzykiwać.

Arab zwrócił się do Krzywonosy po angielsku.

- Co on mówi? - Zulejka zapytała Bartka.

- Nie rozumiałem.

- Przecież mówiłeś, że uczysz się angielskiego.

- Ale on mówi z arabskim akcentem - wyłgał się.

Tymczasem do rozmowy włączył się Fajczarz.

- On też zna angielski - szepnęła Bartkowi do ucha Zulejka. - To międzynarodowa szajka.

Fajczarz skinął na najbliższych stojących wojowników.

- Słuchajcie, chłopcy, ten pan - wskazał Krzywonosą - ma zagranicznych gości. Bądźcie więc tak dobrzy i odejdźcie spokojnie, bo to nie wypada...

Cofnęli się o kilka kroków i spojrzeli pytająco na wodza. Zulejka uniosła do góry buńczuk.

- Polak, jak chce, potrafi być gościnny - powiedziała głośno z przekąsem, a potem dodała szeptem: - Wiara, to tylko chwyt taktyczny. Zaraz im tak przygrzejemy, że uciekną na pustynię. - Potrząsnęła buńczukiem i pierwsza ruszyła w przeciwnym kierunku. Czerwonoskórzy wojownicy poszli za nią ławą.

Bartek zatrzymał się. Usłyszał bowiem umówiony sygnał. Nikt oprócz niego nie zwrócił nań uwagi. Brzmiał tak naturalnie, jak głos zaszytego w gąszczu ptaka. Bartek trącił łokciem Zulejkę.

- Walę do bunkrów, a ty pamiętaj, nie daj im spokoju.

- Odprowadzimy cię - wyszeptała. - Tak będzie lepiej. Nikt cię nie posądzi... - Jeszcze raz buńczukiem wskazała kierunek marszu. Przebrnęli przez moczary, a kiedy znaleźli się już blisko ukrytego wśród zarośli wejścia do bunkrów, Bartek zatrzymał Zulejkę.

- Jest ten drugi Arab - skinął głową w kierunku brzoźowego przylasku.

Wśród młodych drzewek stał znany Bartkowi z plaży towarzysz pani Irmy. Na widok zgrai ukrył się w gęstwinie.

- Musisz go stąd odciągnąć - powiedział Bartek drżącym z emocji głosem.

- Dobra - odparła krótko i potrząsając buńczukiem, zawołała najgłośniejszym jak potrafiła.

- Nieustraszeni, za mną! Na wroga!

Poderwani bojowym okrzykiem ruszyli ławą. Z ich gardeł wyrwał się bojowy okrzyk: hurrra! Unieśli toporki i dzidy. I nagle zrobiło się groźnie i tak bojowo, że sami przerazili się własnego krzyku, lecz na nic nie zważając, biegli na spotkanie i ukrytym w brzezynie wrogiem.

Bartek odłączył się od nich. Chwilę badał teren, a gdy stwierdził, że nikt go już nie widzi, jął skradać się ku zamaskowanemu włazowi.

No, brachu - pomyślał - teraz na ciebie kolej.

GDZIE TEN PONTON?

Nie zapalając latarki, skradał się wzdłuż ściany korytarza. Wnet znalazł się nad wodą. I tu czekała go pierwsza niespodzianka: nie było gumowego pontonu. Kilka razy krok za krokiem przemierzał skraj wody. Niestety, za każdym razem daremnie. Targnął nim lęk. Zastanawiał się, co mogło się stać. Kto zabrał ponton? A może Łukasz nie zostawił go w umówionym miejscu. Może Tolo z Mortadelą uprzedzili go i teraz śmiejąc się poszukują domniemanego skarbu? Mogli to zrobić bez trudu, mając do dyspozycji składak i dokładny plan terenu.

Pierwsze niepowodzenie tak go podcięło, że zastanawiał się, czy się nie wycofać. Po chwili jednak poczucie obowiązku wzięło górę. Splunął trzy razy, żeby nie zapeszyć sprawy, rozebrał się szybko, ubranie zwinął i zapakował w nieprzemakalną pelerynę, spiął ją paskiem, a pod pasek wepchnął latarkę. Nie zważając na ziąb, wszedł do wody.

W ubiegłym roku na obozie harcerskim nauczył się pływać z ekwipunkiem, więc samo pływanie nie sprawiało mu trudności. Jedynie myśl, że każdej chwili może go spotkać nowa niemiła niespodzianka, usztywniała jego ruchy. Płynął jednak zawzięcie, a gdy wyczuł, że korytarz się rozszerza, wyciągnął spod paska latarkę. Zaświecił. Snop światła wydobyl z ciemności kształty starych maszyn.

Ucieszył się, że tak łatwo dobrnął do znanego z poprzedniej wyprawy zalewiska. Dopłynął do suchego brzegu, rzucił tobołek z ubraniami i krocząc ostrożnie, ruszył w stronę sterczącej lufy armatniej. Potem wspiął się na leżący obok wrak jakiejś rozpadającej się maszyny. Sięgnął do wylotu lufy.

- Jest! - szepnął. Pod palcami wyczuł bowiem przylepiony do metalu plaster, a pod nim linkę. - Jest! - zadrżał z niepohamowanej radości. Chwycił linkę poniżej plastra i szarpnął. Plaster odkleił się, a linka została w ręce. Wyciągał ją powoli, a gdy wyczuł opór, jął owijać linkę wokół dłoni. Wnet z lufy, niby z gardła potwora, wyłonił się solidnie okręcony sznurkiem pakiet.

Ciężkie te szpiegowskie dokumenty - pomyślał, wążąc paczkę w dłoniach. - Trzy kilo, a może i więcej.

Zastanawiał się chwilę, jak dotaszczyć paczkę do wylotu korytarza, wnet jednak wpadł na zbawienny pomysł. Z grubego sznurka zrobił ramiączka plecaka, mocno związał je z paczką, a potem cały ciężar - jak plecak - zarzucił na ramiona. Wszedł do wody. Była lodowata. Dopiero teraz poczuł, że drży z zimna. Zaczął płynąć. Paczka i tobołek z ubraniami utrudniały mu ruchy. Przemógł się jednak i zagarniając mocno wodę, posuwał się dość szybko.

Kiedy znalazł się na środku zalewu, w korytarzu biegnącym w stronę sztolni usłyszał cichy plusk. Wpadł w popłoch. Jego ruchy były zrazu szybkie, a potem rwane i gwałtowne. Czuł, że słabnie. Z głębi korytarza coraz głośniejsz dochodził plusk, a po oleście czarnej wodzie przemknęły smugi światła. Gdy spojrzął za siebie, w mdłej poświacie ujrzał wyłaniającą się z mroku łódź; kierowała się prosto na niego.

Zaczerpnął więc powietrza i dał nura. Dzięki obciążeniu szybko dosięgnął dna. Ni to płynąc, ni krocąc, dotarł do betonowej ściany, a gdy się wynurzył, natknął się dłonią na wbity w beton hak. Uchwycił go kurczowo i jeszcze raz zanurkował. Starał się jak najdłużej wytrzymać pod wodą.

Zdawało mu się, że rozerwie mu płuca, a w uszach pękną mu bębenki. Zakrztusił się.

Gdy się wyłonił i spojrzął w stronę korytarza, zamiast składaka Tola zobaczył ponton, a w pontonie zamiast wytwornego młodzieńca i Żalostnej Mortadeli, nieznanego mężczyznę w kostiumie płetwonurka.

Co tu się dzieje? - pomyślał zdumiony. - Kto śmiał zabrać ponton? Gdzie się podziali amatorzy łatwych sukcesów? Dlaczego... - Nie dokończył tej myśli, gdy nagle nieznanomy zmienił kierunek i po kilku silniejszych pchnięciach wiosłem, wylądował w miejscu, gdzie z mroku wyłoniła się żelazna gardziel armaty.

Bartek odbił się nogą od ściany, popłynął bardzo wolno i niezwykle ostrożnie w stronę wylotu korytarza. Gdy był już w przyzwoitej odległości, obejrzał się. Z ulgą stwierdził, że nikt go nie ściga.

DOPIERO TERAZ... NIC Z TEGO NIE ROZUMIEM

Gromada rozsierdzonych natarciem Indian dotarła do brzozowego zagajnika. Zulejka spostrzegła grubego Araba.

- Śmierć tchórzliwym wrogom! - zawołała.

Wojowników nie trzeba było zachęcać do walki. Uderzyli z wielkim impetem i głośnym wyciem. Arab na widok czerwonych od matczynej szminek twarzy podniósł się i jął gniewnie miotać polskimi słowami z arabskim akcentem:

- Nie halasić. Tu las. Chronić przyroda! Ptak uciekną i jelenie!

- To pan mówi po polsku? - zawołała zdumiona Gradowa Chmura.

- Ja pracownik instytutu ornitologia. Wy mi płoszyć ptaki. Zjeżdżać mi w podskok. - Mówiąc to wymachiwał we wszystkie strony rękami, a gdy w zapale uniósł ramiona, spod jego sportowej kurtki wysunął się wiszący na specjalnych szelkach pistolet.

Zulejka zaśmiała się drwiąco.

- A z tej spluwy to pan strzela do kanarków?

Gwałtownym ruchem zakrył pistolet i zapiął kurtkę na okrągłym brzuchu.

- Kanarek nie w las. Tu kos, sikora i zięba.

- Aż pana też dobry ptaszek.

- Ty mi tu głupstwa - prychnął gniewnie - a ja lubi dobra praca. Wynocha. - Chciał pchnąć dziewczynę, lecz ona wywinęła się i krążąc wokół niego, wykrzykiwała:

- Ja wiedzieć, co pan knuć! Ptaszek świergolić w pana głowa. A naprawdę to pan z tamtymi międzynarodowa szajka.

- Precz z tego las! - rozsierdził się, lecz jego baryłkowata postać, nastroszony wąs i wypukłe oczy, a przede wszystkim arabska polszczyzna rozśmieszały i czerwonoskórych. Puścili się więc w bojowy taniec, otoczyli go zwartym kręgiem i im bardziej się ciskał i denerwował, tym głośniej rozbrzmiewał śmiech wojowników. Kiedy zrozumiał, że jest bezradny wobec tej rozkrzyczanej zgrai, opuścił bezradnie ręce i skapitulował.

Muminek, jakby tylko na to czekał, podbiegł do niego i krzywiąc się niemiłosiernie, zawołał:

- Odrzuć broń, bo cię sprzątnę!

Arab udając, że go nie słyszy, wolnym krokiem wycofał się z brzozowego zagajnika.

- Ja jeście nie widział takie dziecko. Co ich uczyć w szkoła!?

Okularnik uniósłszy dzidę, podbiegł za nim, lecz Zulejka zagroziła mu drogę.

- Daj mu odejść - rozkazała.

- Eee... nawet skalpu nie dasz ściągnąć - zawołał rozgoryczony.

Z gęstwiny paproci wychylił się Kieł Kuguara.

- Co z ciebie za wódz - natarł. - Wypuszczasz z rąk żywego wroga.

- Nie wygłupiaj się - ofuknęła go Gradowa Chmura. - O to nam tylko chodziło, żeby stąd odszedł.

- Wolałbym, żeby go odnieśli na tarczy.

- Taki zuch z ciebie!? A widziałeś, co miał pod marynarką?

- No jasne, pistolet szybkostrzelny typu GX-16, belgijski.

- Skąd wiesz?

- Bo ja się na tym znam. Takich spluw używają w Ameryce gangsterzy.

- A co by było, gdyby tak wyjął pistolet i...

- Coś ty... on przecież kynolog - zaperzył się malec.

- Chciałeś powiedzieć - ornitolog?

- Czy to jakaś różnica?

- Zasadnicza... Ale on tylko udaje ornitologa. To całe towarzystwo to siatka szpiegowska. Kapujesz?

- Nie, ale lubię, jak się naporzają.

- Gradowa Chmuro - wtrącił Płomienne Oko - kogo teraz atakujemy?

- Odpocznij chwilę - odparła siadając na zwałonym pniu.

- Ja już od tego krzyczenia zachryłem - poskarżył się Róg Jelenia, przecierając chustką zamglone okulary.

- Siadajcie - rozkazał wódz. - Czeka nas jeszcze najtrudniejsza robota.

Płomienne Oko wyjął z kieszeni torebkę z cukierkami. Położył ją na pniu.

- Częstujcie się - zapraszał.

- Ty - zauważył Kieł Kuguara - Indianie nie jedli cukierków.

- A co?

- Pieczeń z bizona, bo od cukierków wypadały im zęby... - Zanim wypowiedział te słowa, jego sroczce oczko spostrzegło, że w krzakach obok wejścia do bunkrów coś się porusza. - Hej, wodzu - dał znak Zulejce - ktoś tam jest. Pewno cywilizowany Indianin.

Nie mylił się.

Po chwili z gęstwiny wyłonił się Milcząca Skala. Nie przypominał jednak ani dzielnego Indianina w cywilu, ani nawet chłopca, którego znali pod imieniem Bartek. Miał na sobie tylko slipy. Jego nagie ciało oblepiały wodne mchy i wodorosty. W jednej ręce dźwigał zawinięte w pelerynę ubranie, w drugiej - starannie osznurowaną paczkę. Na jego widok wszyscy poderwali się i stanęli jak wryci.

Pierwsza ze zdumienia ocknęła się Zulejka. Podbiegła do bohatera i złapawszy go za ramiona, zapytała:

- Masz?

Bartek nieco wyżej uniósł paczkę.

- Jak widzisz...

Dziewczyna z dumą spojrzała na Bartka.

- To fantastyczne - rzekła uroczyście. - Sierzancie, mianuję cię inspektorem.

- Teraz jesteś wodzem Indian - wyrwał się Muminek - więc nie możesz go mianować...

- A zresztą nie o to chodzi - dodał Bartek. - Najpierw musimy bezpiecznie przetransportować paczkę do starego młyna.

Indianie otoczyli Bartka ciasnym kręgiem.

- Co to? Gdzie to znalazłeś? Co mamy zrobić? - posypały się pytania.

- Spokój, wiara! - uciszyła ich Gradowa Chmura. - To tajne dokumenty tych tchórzliwych białych. Musimy je niepostrzeżenie przenieść do starego młyna.

- Mam pomysł - wyrwał się Płomienne Oko. - Czytałem w jednej książce, że Indianie zamiast wozu używali włók.

- Jakich tam włók?! Oni do tego mieli juczne konie - zauważył Kieł Kuguara.

Gradowa Chmura odsunęła malca.

- Ty zawsze wiesz najlepiej. Pomysł z włókami jest świetny. Dawajcie dwa paliki i trochę cetyny - rozkazała. - Tylko piorunem, bo nie mamy czasu.

Indianie rozbiegli się po lesie. W mgnieniu oka znaleźli dwa suche paliki i kilka sosnowych gałęzi. Płomienne Oko zabrał się do roboty.

Tymczasem wódz Arapachów zbliżył się do Milczącej Skały.

- Nikt cię nie widział? - zapytał szeptem.

- Chyba nie.

- Dlaczego chyba?

- Bo był tam jakiś facet zupełnie nieznany.

- Może Łukasz?

- Nie. Mówię ci, że nieznany. Pływał pontonem Łukasza.

- A ty?

- No... ja musiałem popłynąć wpław.

Wojownicy uwinęli się szybko z włókami. Między palikami przywiązali sznurkiem dwie

poprzeczki, a z drobniejszych patyków zrobili kratownicę. Nawet prawdziwi Czejenowie znani z dobrej roboty nie zrobiliby lepszych. Wnet na kratownicy rozpostarli pelerynę, położyli na niej paczkę, wszystko przykryli świeżą cetyną, a gdy byli gotowi, Kieł Kuguara zapytał:

- Wszystko w porządku, ale kto będzie koniem?

Zgłosił się Okularnik. Podniósł dyszle i ruszył dziarsko z kopyta. Inni wojownicy, nie czekając na rozkaz, rozstawili się wokół i poszli za Okularnikiem. Pochód skierował się do starego młyna.

Kiedy zbliżyli się do wydm, spoza wzgórz wychyliła się otaczająca młyn kępa starych drzew. Ruszyli więc raźniej.

Chłodny wiatr przetarł nieboskłon i zmarszczył lustro wody. Nad młynem krążyły rybitwy, a w przybrzeżnych trzcinach kumkały głośno żaby.

Bartek podszedł do Zulejki.

- Zdaje mi się, że wszystko się udało.

- No jasne - uśmiechnęła się - zrobiliśmy ich na perłowo. Tylko czy ten Łukasz... - urwała nagle.

- Co chciałaś powiedzieć?

- No, wiesz... czy on nie robi nam jakiegoś kawału?

- Coś ty... To świetny gość.

Dochodzili już do celu. W konarach olch szemrał sypko wiatr, nietoperz bezszelestnym lotem, pętla za pętlą, otaczał omszały dach młyna. Słysząc było plusk wody spadającej z młyńskiego jazu.

Nasi łowcy przygód nie rozczulali się nad pięknem krajobrazu ani nie podziwiali śpiewu kosów i drozdów. W uroczystym milczeniu okrążyli młyn, a gdy zbliżyli się do rybackiej kładki, Płomienne Oko rzucił dyszle włók, Bartek szukał wzrokiem łódki Łukasza. Przy próchniejących palach pomostu kołysały się na wodzie dwie łódki, żadna jednak nie nazywała się Fela.

- Coś mi tu nie klapuje - wyszeptał niemile zaskoczony. - Nie ma łódki Łukasza.

Zulejka zwróciła ku niemu zalęknione oczy.

- To co robimy?

- Czy ja wiem? Może ukryjemy tę paczkę w zaroślach, a Łukasz... - zamilkła i spłoszone spojrzenie skierowała na ścieżkę.

W tej samej chwili spoza walącego się młyna wyszedł Krzywonos. Po tajemniczym uśmiešku błędzącym między oczami a kącikami ust można było spostrzec, że jest w doskonałym nastroju.

- Witajcie, dzielni Indianie - powiedział, a gdy zbliżył się do kładki, dodał: - Gratuluję wam. Bez was nie znaleźlibyśmy tego skarbu.

Zapanowała kłopotliwa cisza. Nikt nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Zulejka z Bartkiem zamienili zdumione spojrzenia.

- A pan... - zająknęła się Zulejka - to właściwie kto? - Myślała, że zblednie, zamieni się w słup soli lub da drapaka, a on tymczasem przymrużył figlarnie oko.

- Ja? Poznaliśmy się przecież. Jestem Krzywonos.

Bartek zachłysnął się.

- Skąd pan wie, że tak pana nazywaliśmy?

- Dobry agent obcego wywiadu musi wiedzieć więcej, niż sędzicie.

Zulejka rozsierdziła się.

- To skandal - natarła z impetem - nie dość, że jest pan szpiegiem, to jeszcze pan sobie z nas bimba.

Krzywonos przyjął teatralną pozę.

- A ty, dzielny wodzu szczepu Arapachów, wiesz przynajmniej, kim jestem?

- Przecież przed chwilą przedstawił się pan bardzo wyraźnie.

- A ja kim jestem? - dał się słyszeć z zarośli dobrze znajomy głos.

Wszyscy zwrócili się w tę stronę. Po chwili z płataniny krzaków wyłonił się Fajczarz. W kącikach jego ust igrał przekorny uśmiezek. Zulejka podbiegła do niego.

- Pan jest najprzewrotniejszy z przewrotnych. Proszę mi powiedzieć, ile jajek znosi sójka na wiosnę? - zapytała przechylając zaczepnie głowę.

- Brawo! Jesteś naprawdę dowcipna.

- A ja wiem, kim pan jest - zapiał cieniutko Muminek. - Pan pisze książki i jest pan teleratem.

- Mówi się literatem - poprawiła go Zula. - Ale ja i tak w to nie uwierzę. Świetnie się pan maskuje. Na moje wyczucie jest pan szefem tej szpiegowskiej szajki.

Krzywonos zbliżył się do włók.

- A tu są ukryte tajne dokumenty i plany.

Zulejka zagroziła mu drogę.

- Proszę nie ruszać, bo za chwilę przybędzie milicja.

- Właśnie przybyła. - Uśmiechnął się znacząco.

- Ten pan was nie bujał, on rzeczywiście jest oficerem milicji - wyjaśnił z uśmiechem Fajczarz.

- Niemożliwe - wymamrotała Zulejka.

- A ten pan, pan Bartkowski - Krzywonos ujął Fajczarza pod rękę - jest znanym pisarzem dla młodzieży.

- Nie wierz im - zawołał Młody Łoś - oni chcą cię zrobić w konia.

Bartek uniósł rękę gestem rozpaczy.

- To niebywałe! Sami zrobiliśmy z siebie idiotów. Teraz już poznaję pana Bartkowskiego. Przecież widziałem pana w telewizji.

Pan Henryk Bartkowski przestał być Fajczarzem, a Indianie Indianami. Młodzi poszukiwacze przygód z uznaniem i tajoną ciekawością przyglądali się sportowej sylwetce pisarza.

- To pan... naprawdę pan... napisał „Przygodę w Strzebrzeszynie”? - zapytał Płomienne Oko.

- Tak... To ja. A wy nie martwcie się. Dzięki wam pan kapitan Summerski...

- To nie pan kapitan - Zulejka z respektem spojrzała na oficera - tylko my odnaleźliśmy...

- Tak - potwierdził kapitan. - To dzięki wam odzyskaliśmy część towaru.

- Właśnie, właśnie - wtrącił Muminek - co właściwie jest w tej paczce, bo umieram z ciekawości?

Kapitan zrobił tajemniczą minę. Wyjął paczkę spod świerkowych gałęzi i przeciął scyzorykiem sznurek, a potem rozwinał papier. Wszyscy ze wzrastającą uwagą śledzili każdy jego ruch. Nagle z papieru wyłoniło się kilka porcelanowych figurek.

- Tańczący słoń - zawołała Zulejka.

- Sześć tańczących słoń - poprawił ją Bartek.

Zulejka podeszła do kapitana i z tekturowego pudełka wyjęła jedną figurkę. Przyglądała jej się chwilę, a potem spojrzenie zwróciła na oficera. - Dopiero teraz nic z tego nie rozumiem.

ZAKŁADAMY GAZETKĘ

Po słotnej niedzieli przyszedł pogodny poniedziałek. Świat wystroił się w barwy. Skrawek lasu po drugiej stronie jeziora wyglądał jak rzucony na taflę wody fioletowy pasek. Jezioro jeszcze się pienilo i słaby przybój mlaskał cicho, podmywając rozkołysane trzciny, a w dali sunęły białe żagle. I rybitwy szybowwały nad płycizną.

- Brrr... ale zimna dziś woda! - zawołała Zulejka, biegnąc wzdłuż brzegu. Spod jej nóg wytryskały srebrzyste bryzgi.

Bartek podkasał dzinsy. Kroczył wolno za dziewczyną.

- Poczekamy do południa. Może się ogrzeje.

- Czekaj tatka latka... Mówię ci, tak się strasznie nudzę, że... - dodała wychodząc na piaszczystą łachę.

- Zulejka, przecież dopiero wczoraj skończyliśmy robotę.

- Skończyliśmy... skończyliśmy... Nawet nie wiesz dokładnie, kto jest kto, co kto od kogo i z czym?

- Nie bądź niecierpliwa. Dowiemy się...

- Ja nie... bo nie mam ochoty błagać o informacje, które nam się należą. Pamiętasz, jak nas potraktował ten cały Krzywonos.

- Czego chcesz od niego? Przecież pogratulował nam.

- Może tobie to wystarczy, ale mnie nie. Potem w ogóle nie chciał ze mną gadać.

- Zrozum, Zulejko, że on nie miał czasu. Musiał przesłuchać wszystkich...

- Kogo? Ludzie mówią, że wszyscy im zwiali.

- Co ty pleciesz? Jacy ludzie?

- Dzisiaj rano posłał mnie fater do samu po chleb. Żebyś wiedział, czego się tam nasłuchałam.

- To plotki. Na własne oczy widziałem, jak przez Żeromskiego jakiś tajniak prowadził atlasowego Tola i Mortadelę.

- A w sklepie mówili, że oni uciekli za granicę.

Bartek z politowaniem pokiwał głową.

- A ty kupujesz jak leci.

Dziewczyna urwała źdźbło trawy. Gryzła je chwilę w zamyśleniu.

- Bo ja już nie wiem, co o tym myśleć.

Bartek z zakłopotaniem tarł czoło.

- Pójdziemy do Fajczarza, to nam wszystko opowie.

- Ho... ho... już idę. Nie wiesz nawet, jak ci literaci umieją fantazjować. - Zrobiła taki ruch palcem, jakby chciała przewiercić sobie na czole czaszkę. - Nie ma naiwnych. Jeszcze by nas wyśmiał...

- To ja pójdę do Krzywonosy.

- Do tego gliny? On ci powie, że milicja nie jest upoważniona do informowania.

- Informowania?... - Bartek zastanowił się. - Czekał - uderzył się dłonią w czoło - mam świetny pomysł. Słyszałem kiedyś w domu, jak ojciec mówił mamie, że premier zarządził, by wszyscy urzędnicy obowiązkowo udzielali informacji dziennikarzom.

- Ty przecież nie jesteś dziennikarzem - rzuciła uszczypliwie.

- Ale mogę nim być.

- Za sto lat albo i później.

- Nie. Teraz. - Chwycił ją mocno za rękę. - Słuchaj, załóżmy gazetkę.

- Gazetkę?... Wykluczone.

- Będiesz redaktorem naczelnym.

- A ty? - Spojrzała już przychylniej.

- Ja, oczywiście, twoim zastępcą.

- A kto będzie sekretarzem redakcji?

- Możesz być jednocześnie naczelnym i sekretarzem.

- A kto będzie drukował?

- Nie martw się teraz o takie drobiazgi.

Zulejka wypluła źdźbło.

- A właściwie po co nam ta gazeta?

- Po to, żeby przeprowadzić wywiady z Fajczarzem, Krzywonošem... no, kapujesz. Oni nie mogą odmówić redaktorom.

- Wiesz - zmrużyła lekko oczy - to mi się zaczyna podobać. - Uderzyła pięścią w dłoń. - To na co czekamy? Ja idę do Fajczarza, a ty... Ty wal do kapitana. - Powiedziawszy to, ruszyła biegiem.

- Zaczekaj - zatrzymał ją zastępca redaktora naczelnego. - Przecież nie mamy nawet nazwy gazetki. Co powiesz, jak cię spytają, z jakiego jesteś pisma?

- Powiem, że jestem z prasy.

- Ale z jakiej?

- Młodzieżowej.

- Zrozum - każda gazeta musi mieć tytuł.

- To niech będzie „Tańczący Słoń”.

- Może „Ziewający Hipopotam”.

- A co? Niedobrze?

- Wyobraź sobie, przyjdiesz do Fajczarza i powiesz: „Jestem reporterką z »Tańczącego Słonia«,,

- Masz rację... To jakoś nie tak...

- Może... „Echo Młodzieży”.

Zulejka zachichotała.

- Nie klapuje, bo musiałbyś dwa razy pisać to samo; raz to, co powiesz, a drugi, co odbije echo.

- Dowcipna - zachnął się. - Już wiem. „Głos Młodzieży”.

Zulejka spojrzała z niedowierzaniem.

- Głos?... Młodzieży? - Przecięła ręką powietrze. - Niech już tak będzie. To cześć. - Skinęła mu głową. - Walę do Fajczarza, potem do babci Żednickiej. A ty bierzesz na siebie kapitana.

BĘDZIE NOWY SERIAL TELEWIZYJNY

Biegła przez łąkę pełną złotych jaskrów, fioletowych dzwonków i białych złocieni. Nad łąką unosił się łąch ledwo widocznego oparu. Światło odbijało się w nim tęczowo i zdawało się płynąć przez wysokie trawy.

Kiedy dobiegła do domu, w głębi ogrodu ujrzała leżak, a na nim szanownego Fajczarza, czyli pana literata Bartkowskiego. Pykał leniwie z fajki. Błękitne kłębuszki dymu uciekały z wiatrem i rozplywały się w czystym i rześkim powietrzu.

- Dzień dobry panu - przywitała Fajczarza, zbliżając się wolno do leżaka.

Fajczarz uniósł głowę znad książki.

- A... To ty? Jak to miło przywitać bohaterkę wczorajszego dnia.

Zulejka wydeła lekko wargi.

- Znowu pan zaczyna kpić sobie ze mnie i bimbać.

- Przeciwnie, jestem pełen uznania dla waszej detektywistycznej spółki. A gdzie sierżant? - zapytał udając powagę.

- Już nie jesteśmy detektywami.

- Szkoda... - westchnął. - Znając was, sądzę, że teraz zmieniliście zawód i upodobania.

- Zgadł pan. Założyliśmy gazetkę i jesteśmy redaktorami.

- Pięknie - zawołał niemal z entuzjazmem. - Mam nadzieję, że zaprosicie mnie do współpracy.

- Bardzo chętnie, bo nie mamy jeszcze reportażu o dudkach i lelku kozodoju.

- Przyrzekam, że napiszę coś o sójce-Zulejce.

Pani redaktor odęła się.

- Jestem korespondentem naszego pisma „Głos Młodych”, więc proszę mnie traktować poważnie.

Pan Bartkowski wyjął na chwilę fajkę z zębów i spod przymrużonych powiek spojrział przyjaźnie na panią redaktor.

- Postaram się potraktować ten wywiad najpoważniej w świecie. Proszę tylko, nie rozśmieszaj mnie swoją grobową miną. Spróbuj poprowadzić tę rozmowę z humorem.

- Nie omieszkałam - rzuciła kpiąco. - Tylko proszę się nie gniewać, jeśli wyjdzie pan trochę komicznie.

- Dobrze. Zaczynamy.

Zulejka wyciągnęła z torby zeszyt. Zajrzała doń jak do ściągawki.

- Więc... - zaczęła niepewnie - dlaczego pan zakopał na wyspie tę nieszczęsną figurkę?

- Haaa... - zamyślił się. - Czy pisałaś kiedyś scenariusz serialu telewizyjnego?

- Ja?... skądże.

- No, właśnie - podjął wesoło - a ja mam już pięć na sumieniu. Szósty chciałem napisać na podstawie prawdziwych zdarzeń.

- To się mówi z autopsji.

- Tak, z autopsji.

- Ale co to ma wspólnego z tańczącym słoniem?

- Przyjechałem tutaj, żeby zebrać materiał.

- A my mieliśmy służyć jako króliki doświadczalne?

- To za mocno powiedziane. Przyglądałem się waszym zabawom. Muszę cię zmartwić - nie pobudzaliście zbyt silnie mojej wyobraźni. Zwłaszcza gdy zaczęliście bawić się w Indian.

- Rozumiem pana, to zbyt naiwne.

- Nie. Tylko już napisałem na ten temat książkę i scenariusz...

- Znam - przerwała mu Zulejka. - Książki nie czytałam, a scenariusz... Ten serial „Kowboj z Montany” był zupełnie udany.

Pisarz uśmiechnął się dobrodusznie.

- Dziękuję za uznanie, więc... co to ja mówiłem?...

- Że przyglądał się pan naszym zabawom.

- O, właśnie... I doszedłem do wniosku, że w jakiś sposób muszę was pobudzić do działania... Proszę cię, nie przerywaj... Zaraz ci to wytłumaczę. Jak wiesz, jestem wysportowany, więc codziennie rano biegam.

- Z panią Żednicką - dodała.

- Nie, moja panno, biegałem sam. Dopiero po kilku dniach spotkałem panią Żednicką. Znałem ją z wydawnictwa „Kłos”, więc wszczęliśmy rozmowę. I zapewne zdziwisz się bardzo - to właśnie ona podsunęła mi tę genialną myśl, by zakopując figurkę...

- Dlaczego właśnie tę figurkę? - przerwała mu w pół słowa.

- Poznałem historię tańczącego słonia. Pani Żednicka opowiedziała mi ją jeszcze w Warszawie. Pomyślałem, że gdy ktoś z was nakryje mnie przy zakopywaniu tej figurki, zaczniesz się dźbiać coś ciekawego. I nie myliłem się.

Zulejka przechyliła kokieteryjnie głowę.

- Coś tu nie klapuje... Dlaczego pan wybrał właśnie mnie?

- Moja droga, nie gniewaj się, ale ty z nich wszystkich najbardziej rozrabiałaś i muszę przyznać, że miałaś najwięcej fantazji. Po klęsce, jaką wasz szczerp poniósł na wyspie, byłem pewny, że postaracie się odebrać przeciwnikom ich szczerpowy totem. Popłynąłem rano na wyspę i - jak sama wiesz - nie myliłem się.

Dziewczyna zmarszczyła zabawnie nosek.

- To pan z zimną krwią wystawił mnie tak do wiatru?

- Wybacz, lecz nie przypuszczałem, że cała akcja rozwinie się tak bujnie, ba, można powiedzieć awanturniczo. Gdybym chciał się zrewanżować, to pytam: kto odsądził mnie od czci i wiary i zrobił ze mnie wrednego szefa szpiegowskiej szajki? Kto?

Zulejka pokiwała znacząco głową.

- Zasłużył pan sobie na to... - Zapisała coś w notesie, a gdy skończyła, odgarnęła z czoła sypiące się włosy. - Tańczący słoń... - szepnęła zamyślona.

- Czy może mi pan powiedzieć, którą figurkę zakopał pan pod sosną?

- Jak to - którą? Tę oryginalną, od pani Żednickiej. A czy były wtedy jeszcze jakieś inne?

Pani redaktor uśmiechnęła się kpiąco.

- Wtedy nie, ale pod koniec było ich zatrzesienie, jakby się rozmnożyły.

- No tak. Podobno wytwarzał je pewien mieszkaniec tej osady. Lecz, jeżeli chodzi o tę, którą zakopałem, pochodziła z Budapesztu.

- To w jaki sposób pan kapitan Summerski zdobył drugą figurkę, zupełnie podobną do tej oryginalnej?

- Moja droga, nic o tym nie wiem. Możesz przecież zapytać o to Krzywonosą - dodał mrużąc

filuternie oko.

- O, właśnie - podjęła niecierpliwie. - Może mi pan wyjaśni, jak to było z tym Krzywonosem.

- Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to oficer milicji. Domyślałem się jedynie, że czegoś szuka, gdyż zbyt gorliwie zbierał wszelkie informacje o miejscowości i ludziach. W dniu, w którym wyprawiliście się moją łódką na wyspę, spotkaliśmy się jak zwykle przy obiedzie. Kapitan był dziwnie podniecony. Ni stąd, ni zowąd wyciągnął z zanadru nieszczęsnego słonia i położył go przede mną na stole. Widocznie chciał się pochwalić zdobyczą, lecz mina mu nieco zrzedła, gdy się dowiedział ode mnie czemu miała służyć figurka. Zaczął mnie szczegółowo wypytywać o nią: a skąd, a gdzie, a jak? A gdy wspomniałem o was, dał mi do zrozumienia, żebym was nie wciągał w sprawę słonia. Byłem ogromnie zaskoczony, a rola magistra ekonomii w tej niecodziennej sprawie wydała mi się dziwna, ba, nawet podejrzana.

Zulejka zatarła z przejęcia dłoń.

- To piekielnie ciekawe... ale czy mógłby mi pan powtórzyć dokładnie, co on wtedy o nas powiedział?

- Dokładnie! - zachnął się. - Masz za duże wymagania, lecz o ile mnie pamięć nie zawodzi, powiedział coś w tym rodzaju: „Jeżeli się nie mylę, to oni - to znaczy oczywiście wy - bawią się w detektywów. Lepiej jednak byłoby, gdyby tego zaniechali, gdyż to może być niebezpieczne”.

- No jasne - zachichotała Zulejka. - Nie wiedział, z kim ma do czynienia.

- O właśnie - wykrzyknął pisarz - tego i my, to znaczy ja z panią Żednicką, nie mogliśmy przewidzieć. Muszę przyznać, że dobrze daliście się nam we znaki.

- I zależli za skórę - dodała z przekąsem. - Ale skąd tego samego dnia wieczorem figurka znalazła się znowu u pani Żednickiej?

- Po prostu kapitan oddał mi ją, a ja odniosłem pani Dorocie.

Zulejka odłożyła na chwilę notes. Sącząc smakowity sok, zapytała:

- Pan chyba wiedział, co jest w środku figurki.

- Ależ skąd! Nie wiedziałem ani ja, ani pani Żednicka. To dopiero ty, rozbijając figurkę, wyzwoliłaś mnóstwo domysłów i podejrzeń. Jeśli pozwolisz, to ja ci zadam pytanie. Czy celowo ją stukłaś?

- Oczywiście - przerwała mu Zula. - Pan chyba wie, że dziewczęta są bardzo wścibskie.

- Oj, są... są... A do tego, delikatnie mówiąc, zuchwałe. Bo jak można określić twoją wizytę w moim mieszkaniu, kiedy...

- A co miałam robić - wpadła mu w słowo... - kiedy byłam pewna, że pan jest szefem siatki

szpiegowskiej?

Pan Bartkowski roześmiał się.

- Czy ja na takiego wyglądam?

- Wygląd o niczym nie świadczy. Czytałam, że szefem wywiadu aliantów podczas drugiej wojny był skromny nauczyciel szwajcarski.

- Zgadza się - potwierdził. - Może nalać ci jeszcze trochę tego soku?

- Pyszny, ale dziękuję.

- No tak... - pan Bartkowski wyciągnął się wygodnie na leżaku - w piękne mnie wystroiłaś piórka. Ja... szefem wywiadu... To mi się nawet podoba. I domyślam się, co ci podsunęło to przypuszczenie. Szyfry schowane w figurce.

- O, właśnie - podjęła Zulejka. - Wszystko układało się jak w filmie szpiegowskim. Jest tajemniczy pan z fajką. Zakopuje tajemniczą figurkę, a potem... A właściwie, proszę mi powiedzieć tak szczerze: czy to zamiłowanie do ptaków miało służyć do szklenia nam oczu?

- Ależ skąd! - zaprotestował porywczo. - Zajmuję się ornitologią od dawna. I nawet wtedy, kiedy ratowałem cię z opresji w piwnicy starego domu, byłem tam, bo szukałem gniazda puszczyków. Sowy chętnie gnieźdzą się w takich opuszczonych domach.

- A wczoraj, kiedy pan przyszedł do „Goplany” i tak łatwo dał się zamknąć w magazynie, to może pan szukał słowików?

- Nie, moja droga, dlatego nie przestraszyłem się stojącego przy drzwiach milicjanta, bo byłem przekonany, że to właśnie ktoś z milicji rozprawiał się z...

- Z panią Żednicka - wtrąciła z odcieniem kpiny.

- Och, nie! Pani Żednicka jest najuczciwszą kobietą, jaką znam. Doświadczony oficer służby śledczej nie mógł zrobić takiej pomyłki. Jak już ci mówiłem, domyślałem się, a później nabrałem przekonania, że kapitan Summerski śledzi kogoś i rozpracowuje jąkaś... No, jakby to określić...

- Grupę przestępczą - podsunęła mu Zulejka. - To śmieszne - on rozpracował tamtych, a my jego.

Pisarz uniósł ręce gestem zadowolenia.

- No proszę! Czy to nie wspaniały temat na serial telewizyjny? Usiąść i pisać.

- I zabawiać innych naszym kosztem. - Pokiwała znacząco głową. - Proszę mi powiedzieć, czy pan do końca był pewny, że kapitan...

- Domyślam się, o co ci chodzi. Zawahałem się dopiero wczoraj, kiedy zobaczyłem kapitana w towarzystwie dwóch Arabów. Był wtedy taki moment, że podejrzewałem ich o jakąś aferę.

- O, właśnie! A pan się dziwi, że my... - urwała w połowie zdania, a potem zapytała: - To dlaczego pozwolił pan podejrzanemu osobnikowi pisać na swej maszynie?

- Wtedy jeszcze myślałem, że Sumerski jest pracownikiem urzędu statystycznego. Prosił mnie o zrobienie mu tej uprzejmości. Czy mogłem mu odmówić?

- I zostawił go pan samego w pokoju?

- Na ogół mam zaufanie do ludzi. Do was też miałem zaufanie.

- I dlatego wystawił pan nas na próbę. Ładnie tak wykorzystywać...

- Przepraszam - przerwał jej - był taki moment w tej całej zabawie, że chciałem się ujawnić, bo wydało mi się, że narażam was na niebezpieczeństwo.

- Ciekawe, kiedy?

- Wtedy, gdy wyszłaś na dach, by podsłuchać panią Żednicką.

- Phi - uśmiechnęła się lekceważąco - też mi wyczyn. W Warszawie w Lasach Kabackich zrobiliśmy konkurs, kto wejdzie najwyżej na stare drzewo, dąb - jeśli mnie pamięć nie myli. I proszę sobie wyobrazić, że to ja wygrałam. Pobiłam wszystkich chłopców na łeb, na szyję.

- Wierzę, wierzę - rzekł z uznaniem - lecz wtedy pani Żednicka zaczęła się niepokoić. Nie chciała przeholować... Byliśmy już skłonni przerwać tę pasjonującą grę.

Fajczarz wstał, wyprostował się, jakby przygotowywał się do ważnego przemówienia. Chrząknął znacząco, z nowej butelki nalał soku Zulejce i sobie, a potem uniósł szklanekę w stronę pani redaktor.

- Moja panno... - zaczął z udaną powagą.

- Nie jestem pana panną - zaperzyła się dziewczyna. - Ani dziewczuszką, ani... - zająknęła się. - Po prostu jestem Zula.

Pisarz przymrużył żartobliwie oko.

- W takim razie, Zulu! Napijmy się za pomyślnie zakończoną grę... Chyba można tak nazwać naszą przygodę.

Zulejka przechyliła przekornie głowę.

- A ja mam jeszcze jedno pytanie. Co miał znaczyć ten list, który widział u pana Bartek?

Pisarz prychnął niemal gniewnie.

- Nie wspominaj mi o tym chuliganie! Do tej pory nie zabrał do pralni poplamionej kapy ani nie nabierał malin mojej przezacnej gospodyni.

- Sierżant? - udała zdziwienie. - Pan mu wybaczy, ostatnio był bardzo zajęty. Ale teraz to już ja sama go przypilnuję. Pan jednak nie odpowiedział na moje pytanie.

- Ach... ten list. - Grzebał chwilę w wygastej fajce. - To nie był list. Musisz wiedzieć, że każdy literat po swojemu pisze książkę. W tym wypadku scenariusz. Otóż ja początkowo robię krótkie notatki, z których później buduję kanwę utworu. Ten list był po prostu jedną z takich szkicowych notatek.

- Do tego scenariusza o nas i o naszych przygodach?

- Tak, moja... Przepraszam. Tak, Zulejko, teraz już nie będę tracił czasu. Jutro siadam do roboty.

- Mam nadzieję, że zaprosi nas pan na pokaz tego serialu.

Fajczarz wolnym ruchem uniósł palec do ust, jak gdyby zapowiadał coś tajemniczego.

- Nie tylko was zaproszę, ale wcześniej podsunę myśl reżyserowi, żeby was zaangażował do zagrania głównych ról w tym serialu.

Zulejka podskoczyła z radości i zrobiła przed Fajczarzem kilka tanecznych pas.

- To wspaniałe! Fenomenalne! Będziemy grać siebie!

HISTORIA TAŃCZĄCEGO SŁONIA

Babcia uniosła ręce błagalnym gestem.

- Ach... moja droga, żebyś wiedziała, ile razy żałowałam tej chwili, kiedy podsunęłam panu Bartkowskiemu ten piekielny pomysł z tańczącym słoniem. - Jej spojrzenie spoczęło na uśmiechniętej przekornie twarzy dziewczyny. - Z czego się śmiejesz? Przecież mogłaś spaść z dachu i złamać sobie nogę... I w ogóle z ciebie to szatan pierwszej wody. Nie chciałabym być na miejscu twego ojca.

Zula przymrużyła filuternie oko.

- A mój tata jest ze mnie zadowolony.

- To on chyba był pogromcą dzikich zwierząt.
- Mówi, że z moim temperamentem dam sobie radę w życiu.
- Co do tego nie mam wątpliwości.

- A pani nie opowiedziała mi historii tańczącego słonia.

- Wykluczone. Nie chcę nawet o tym myśleć. Już dość miałam z jego powodu emocji i przykrości. Czy nie możemy pomówić o pogodzie lub...

- Proszę pani - przerwała jej Żuła - przecież to takie ciekawe.

- Jak dla kogo. Teraz mam jeszcze jeden kłopot. Co zrobić z tym brylantem.

- Ciekawa jestem, na ile ocenił go jubiler?

- Powiedział, że to majątek.

- To czemu się pani martwi?

- Nie rozumiem cię. Co masz na myśli?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Właściwie nic... - Po chwili dodała: - Jeśli pani przeszkadza, to może pani oddać go Czesiowi. On chce wykupić budkę z lodami i pojechać na Hawaje.

Babcia uśmiechnęła się skrycie.

- Wyobraź sobie, co by to było, gdyby zgubił ten kamień.

- A co by było, gdyby go pani nie świsnął?

Pani Żednicka machnęła lekceważąco ręką.

- Nie miałabym przynajmniej kłopotu, bo... Teraz nie wiem, co mam z nim robić.

- To niech pani mnie odda - zażartowała Żuła.

Babcia westchnęła.

- Mój Boże, gdyby to był mój brylant.

- Nie rozumiem - zdziwiła się Zulejka - przecież ta figurka jest pani, więc brylant...

- Nie, moja droga. Figurka też nie należy do mnie.

- A do kogo?

Babcia uśmiechnęła się tajemniczo.

- Widzę, że jednak muszę ci opowiedzieć historię tańczącego słonia.

- To wspaniale. - Dziewczyna podskoczyła na palcach.

Babcia wskazała krzesło.

- Siadaj, Zulu. - Potem, otworzywszy szufladę komody, wyjęła z niej porcelanową figurkę.

Na jej widok Zulejka westchnęła. W jednej chwili przewinał się przed jej oczami barwny film ostatnich wydarzeń, a jej serce zabiło żywiej i czulej.

Babcia usiadła na tapczanie, chwilę przyglądała się tańczącemu słoniowi. Wnet jednak przeniosła spojrzenie na Zulejkę i zaczęła cicho.

- Mówiłam ci, zdaje się, że całą okupację spędziłam na Węgrzech, w Budapeszcie. W grudniu 1944 roku wojska radzieckie zaczęły oblężenie Budapesztu. W mieście broniło się kilka dywizji niemieckich. Przeżyliśmy sześć tygodni w piwnicy domu przy ulicy Vesseliny'ego. To były najcięższe miesiące w moim życiu. Artyleria radziecka waliła bez przerwy. Ziemia drżała. Dokoła wybuchały pożary. Nie było nic do jedzenia. - Westchnęła ciężko i na chwilę ukryła twarz w dłoniach, a kiedy znowu spojrzała na dziewczynę, w kącikach jej oczu nabrzmiwały łzy. Wnet jednak opanowała wzruszenie, otrząsnęła się, jakby zrzuciła z barków ciężar. - Mówię ci, Zulo, myślałam, że nie przeżyjemy.

- To musiało być straszne - wtrąciła dziewczyna ze współczuciem.

- Makabryczne... Pod koniec oblężenia zjawił się w piwnicy młody mężczyzna i od tej pory świat jakby nieco poweselał... Zapomniałam ci powiedzieć, że miałam wtedy tyle lat, co ty teraz. Byłam dwunastoletnią Polką z warkoczykami...

- Czy pani była bez opieki?

- Nie. Mieszkałam w Budapeszcie z matką. Ojciec w czterdziestym roku przeszedł z Węgier do Jugosławii, a potem dostał się do Francji.

- A kto to był ten młody?

- Wyobraź sobie, że Polak. Nazywał się Maciek Gąsienica Niebies i pochodził z Zakopanego.

- Góral - powiedziała Zula z odcieniem radości.

- I to jaki! Kurier, który niemal całą wojnę kursował między Budapesztem a Zakopanem. Mówię ci, wszystko się nagle zmieniło. Potrafił wnieść do tej koszmarnej piwnicy nastrój pogody i walki. Dla każdego znalazł kilka słów pociechy, zabawiał nas opowiadaniem góralskich gadek i

piosenkami góralskimi. Węgrzy go ubóstwiali. Śpiewali razem z nim, jakby byli z Podhala. A najważniejsze, że potrafił jemu tylko znanymi sposobami wyszukać żywność. Raz z dwoma Węgrami przebili mur w jakiejś piwnicy i obłowili się smakołykami. Była wtedy wędzona słonina, salami, konserwy rybne, nawet peklowane mięso. W piwnicy koczowało chyba więcej niż dwieście osób, więc nie na długo tego starczyło.

Pewnego razu - ciągnęła babcia opowiadanie - a było to chyba w przededniu uwolnienia nas z piwnicy, ktoś przyniósł wiadomość, że na rogu bulwaru Istvana leży rozszarpany przez pocisk artyleryjski koń. Maciek dobrał jeszcze dwóch młodych Węgrów i ze słowami „Będziemy mieć na obiad rosół”, wyszedł z piwnicy. Nie czekaliśmy zbyt długo, gdy zjawił się z powrotem. Był śmiertelnie ranny. Ledwo doczołgał się do drzwi. Moja mama podbiegła do niego. Chciała go ratować, lecz on już konał...

- Boże - wyszeptała Zula - to straszne.

- Tak - podjęła pani Żednicka - umarł na kolanach mamy. Wcześniej jednak wyciągnął spod płaszcza figurkę słonia i poprosił, by mama, kiedy wróci do kraju, oddała ją jakiejś pani Wandzie. Podał jej adres, lecz nie zdążył powiedzieć nazwiska. - Pani Żednicka zamilkła. Utkwiła wzrok w oknie i chwilę patrzyła przed siebie.

- Z tego wynika, że pani mama nie знаła tej osoby - odezwała się Zula.

- Wyobraź sobie, że mama ustaliła jednak nazwisko tej kobiety. Nazywała się Wanda Koszycka. Była pielęgniarką w sanatorium dla dzieci. Niestety, ani mama, ani ja nie odnalazłyśmy jej po wojnie. Podobno - tak przynajmniej twierdzą jej sąsiedzi i znajomi - pod koniec wojny Niemcy wywieźli ją na roboty. Szukałyśmy jej przez Czerwony Krzyż, dawałyśmy ogłoszenia w gazetach polonijnych, poszukiwałyśmy jej rodziny. Nikt się jednak nie zgłosił. - Babcia uniosła wysoko figurkę. - Tak, moja droga - westchnęła - oto cała historia tej niewielkiej figurki.

- A skąd się w niej wziął brylant? - zapytała nieśmiało Zulejka.

Pani Żednicka rozłożyła ręce gestem wyrażającym bezradność.

- Nie wiem, moja droga. Rozmawiałam w tej sprawie z panem Bartkowskim. Snuliśmy rozmaite domysły. Najbardziej sensowna jest hipoteza pana Bartkowskiego. Sądzi on, że młody góral miał rozkaz przenieść zaszyfrowane wiadomości z Budapesztu do Rabki i przekazać je łączniczce, Wandzie Koszyckiej.

- A brylant? - wtrąciła Zula.

- Pan Bartkowski wysunął takie przypuszczenie: meldunki przysyłał dobry znajomy lub nawet krewny pielęgniarki. Korzystając ze sposobności, posłał jej również...

- Brylant - dokończyła Zula. - Tylko skąd go miał, skoro wszyscy twierdzą, że to niezwykle cenny kamień.

- Na to nie mogę ci dać odpowiedzi. Podczas wojny działo się tyle niewiarygodnych rzeczy, a

losy ludzkie były tak powikłane, że można przyjąć każdy domysł.

- A szyfry? - zapytała coraz bardziej zafascynowana dziewczyna.

- Szyfry... - babcia pokiwała głową - ktoś je dzisiaj potrafi odczytać bez klucza.

- Tak - dziewczyna podniosła się z krzesła - znalazła się pani w trudnej sytuacji. Bo właściwie ma pani ten brylant, a jednak go nie ma.

- I nie wiem, co teraz robić. Pan Bartkowski twierdzi, że z punktu widzenia prawa, brylant należy już do mnie, ale jakże mogę go zatrzymać, skoro wciąż jeszcze mam nadzieję, że odnajdę tę kobietę.

- Przepraszam, że panią męczę, ale chciałam jeszcze zapytać, jak pani sądzi, czy mogła istnieć jeszcze taka sama lub podobna figurka?

- Oczywiście - odparła z namysłem pani Żednicka. - Szkoda, że nie byłaś na urodzinach Czesia. Wyobraź sobie, że ten okropny Tolo, jakby chciał ze mnie zakpić, jako prezent urodzinowy dla Czesia przyniósł figurkę tańczącego słonia.

- To łobuz! - westchnęła Żuła.

- I powiedział, że w sąsiedniej osadzie w sklepie z pamiątkami można ich kupić, ile się zechce.

- Podobnych, lecz nie takich samych.

- W tym wypadku nie miało to znaczenia. Byłam tak zdziwiona, że weszłam do sklepu i zapytałam właściciela, skąd ma te figurki. Powiedział, że jeden z rzemieślników dostarczających mu pamiątki wyjechał kiedyś na Węgry i przywiózł z Budapesztu takiego tańczącego słonia, a potem według tego wzoru wypalał podobne i sprzedawał...

- Ach, tak - westchnęła dziewczyna. - To znaczy... - zająknęła się. - Już kapuję. Podobną figurkę można było po prostu kupić tutaj i w okolicy. Tylko dlaczego pani nam tego nie powiedziała?

- Moja Zulu, to ja wymyśliłam dla pana Bartkowskiego tę całą zabawę. Gdybyś wszystko wiedziała, to nie byłoby sensu ciągnąć tego dalej.

Zulejka zamknęła zeszyt z notatkami.

- Dziękuję pani. Historia tańczącego słonia była bardzo ciekawa.

MEDAL... TO NIE NAJWAŻNIEJSZE

- Słuchaj, chłopcze, gdzie tu mieszka Bartek Dziwisz? - zapytał kapitan Summerski na schodach prowadzących na piętro „Goplany”.

Muminek poważnym spojrzeniem ocenił oficera milicji.

- A dlaczego? - mruknął niechętnie.

- Co dlaczego?

- Dlaczego pan go szuka?

- Mam mu przekazać bardzo ważną wiadomość.

- To nie może pan mi powiedzieć? - zapytał Muminek, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Nie. Muszę jemu osobiście...

Muminek przymrużył cwaniacko oko.

- Co mi pan da, jak panu powiem, gdzie go pan może znaleźć? Kapitan złapał go za ramię.

- Ty, figlarzu, mów szybciej, bo się spieszę.

Malec zsalutował, unosząc dłoń do czoła.

- To cześć! Idę nad jezioro.

- A co byś chciał?

- Bransoletki.

- Jakie bransoletki?

- No... kajdanki.

Surową twarz oficera złagodził ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Dobry jesteś. Do czego ci kajdanki?

- To tajemnica. - Łypnął przekornie, a po chwili dodał: - Pan myśli, że nie wiem, kto pan jest?

- No kto?

- Glina z czterema gwiazdkami.

Sumerski spojrział na zegarek.

- Zgadłeś, ale ja nie mam czasu. Powiedz Bartkowi, żeby się do mnie zgłosił... Hotel „Jantar” -

pokój nr 38. Zapamiętasz? - Zawrócił ze schodów i trzema susami był przy drzwiach.

- Panie władzo! Niech pan zaczeka - zawołał malec napiętym głosem. - Już mówię... - A kiedy Sumerski zatrzymał się w progu, dorzucił: - Nie zna się pan na żartach i wszystko kupuje jak leci. To śmieszne, bo pan szuka Bartka, a Bartek pana. On poszedł właśnie do hotelu.

Sumerski skinął mu ręką.

- Do widzenia! Spotkam go po drodze. - Chciał zamknąć za sobą drzwi, lecz w polu widzenia pojawił się zdyszany Bartek.

- Dzień dobry! - przywitał kapitana z powagą.

Muminek zawołał spoza pleców Sumerskiego:

- Ty, Bartek, będziesz miał medal.

Kapitan zwrócił ku niemu zdumione oblicze.

- Skąd wiesz, gagatku?

Muminek uśmiechnął się bazyliżkowato.

- Miał pan to wypisane na twarzy. Wydelektowałem.

- Mówi się, wydedukowałem - poprawił go Bartek.

Muminek wzruszył ramionami.

- Coś taki ważny? Jeszcze nie dostałeś medalu, a już...

Bartek machnął ręką, jakby się chciał opędzić od uprzykrzonej muchy.

- Uspokój się, bo cię palnę.

Malec zamierzał coś powiedzieć, lecz uprzedził go kapitan. Zwracając się do Bartka, wyciągnął doń rękę.

- Gratuluję. Dzwoniłem dziś rano do komendy wojewódzkiej. Przedstawiłem cię do medalu za odwagę.

Bartek był tak zaskoczony, że przez chwilę nie mógł złapać oddechu. W jego oczach błysnęły drobne jak okruchy szkła iskiereki.

- To niemożliwe. Ja... pan przecież wie, że my... - plątał mu się język.

- To już postanowione, panie sierżancie - powiedział żartobliwie Sumerski.

- Nie jestem sierżantem. Teraz robimy gazetę i pełnię funkcję zastępcy redaktora naczelnego.
- A kto jest naczelnym?
- Zula Siwoszówna... I w ogóle nie mogę przyjąć medalu... Bo jej się też należy.
- To przecież ty wyniosłeś z bunkrów tę paczkę.
- Tak, ale my działaliśmy wspólnie.
- Dobra, jeżeli jesteś taki solidarny, to dostaniecie oboje.
- A ja? - zawołał zza pleców Bartka Muminek.

Sumerski skinął nań głową.

- A ty za co?
- A za to, że uratowałem brylant.

Bartek uderzył się w czoło.

- Puknij się, szczeniaku. Do tego nie trzeba było odwagi. Tylko trochę sprytu.

Muminek odął się.

- A za rozum to się nie daje medali? - Odwrócił się i wzruszywszy ramionami, odszedł udając obrażonego. Po kilku krokach zatrzymał się i rzucił gniewnie: - Gwiżdżę na wasze medale. Świsnę babci brylant i pojedę do Australii.

Bartek zamienił z Sumerskim zdziwione spojrzenie.

- Dlaczego właśnie do Australii?

- Żeby cię mieć pod nogami i deptać po tobie. - Zagrał palcami na nosie i tanecznym krokiem oddalił się.

- Zabawny malec - powiedział kapitan. Wyjął z kieszeni duży notes i spisał personalia Bartka, a gdy skończył, chłopiec zapytał:

- Czy mógłby mi pan poświęcić trochę czasu? Chcę zrobić z panem wywiad.
- Ze mną? - zdziwił się Sumerski. - Wywiady robi się ze sławnymi ludźmi. A ja...
- Bardzo mi na tym zależy. Zamieścimy wywiad z panem w najbliższym numerze naszej gazetki.
- Wybacz mi, redaktorze, nie mam czasu.

- To nie potrwa długo.

- Więc pytaj, tylko piorunem.

Bartek z urzędową miną wyjął notes i długopis.

- Dlaczego pan zabrał nam tańczącego słonia i skąd pan wiedział, że go mamy?

- To długa historia, ale postaram się ci ją opowiedzieć w skrócie. Otóż rok temu Interpol...

- Wiem - wtrącił Bartek - to jest międzynarodowa organizacja policyjna.

- Świetnie. Nie muszę ci tłumaczyć. A więc Interpol dał nam znać, że w Szwecji natrafiono na aferę przemytu narkotyków. Stwierdzono, że droga przemytu wiodła przez Polskę. Dano nam znać, że biały proszek przemycają w figurkach przedstawiających tańczącego słonia.

- No jasne! - westchnął Bartek. - W tej paczce były figurki wypełnione narkotykami.

- Tak, lecz proszę, nie przerywaj mi. Mieliśmy zdjęcie takiej figurki, zaczęliśmy naszą akcję od Szczecina. W bagażu pewnej pani, którą celnicy podejrzewali o przemyt innych rzeczy, znaleźliśmy figurkę z białym proszkiem. Przycisnęliśmy trochę przemytniczkę, po kilku godzinach przesłuchania pękła i wyśpiewała, że figurkę otrzymała od niejakiego Kizonia, który do ubiegłego roku mieszkał w tej miejscowości, w której teraz jesteśmy, bo właśnie on w swojej pracowni ceramicznej wypalał figurki słonia.

- I on zostawił paczkę z figurkami w lufie armaty - dodał rozgorączkowany Bartek.

- Nie, mój drogi, a jeśli mi jeszcze raz przerwiesz, to cześć, nie dowiesz się niczego. Szefem całej szajki był niejaki Glińczyk, który - teraz dopiero się zdziwisz - zorganizował wczoraj blefowany najazd milicji na „Goplanę” w celu...

- Podiwania brylantu! - zawołał Bartek, nie bacząc na ostrzeżenie kapitana.

Ten skarcił go tylko spojrzeniem.

- Tak.

- A tym Glińczykiem był aksamitny goguś Tolo.

- Nie - zaprzeczył kapitan, krzywiąc się z niesmakiem. - Tolo i ta czarna dama to pionki. Wykonawcy rozkazu. Oni podsunęli mu tylko pomysł.

- Bo w gruncie rzeczy chodziło im przede wszystkim o odzyskanie tej paczki z narkotykami.

Kapitan z uznaniem pokręcił głową.

- Muszę cię pochwalić. Rozumujesz zupełnie logicznie. Kto wie, czy nie byłby z ciebie dobry...

- O, nie - zaprzeczył chłopiec - ja będę lotnikiem.

- Jeszcze lepiej. - Spojrzał na zegarek. - Mój drogi - dodał - mamy mało czasu.

- Więc kto ukrył tę paczkę w lufie armaty?

- Niejaki Zabłuda, prawa ręka Glińczyka. Wtedy właśnie dostali cynk ze Sztokholmu, że była wsypa, więc postanowili przerwać na jakiś czas tę niezbyt chwalebłą działalność, a ukrycie towaru powierzyli właśnie Zabłudzie. Miał jednak pecha, bo kilka dni później capnęli go mundurowi przy innej robocie. Glińczyk i jego ludzie nie znali miejsca ukrycia tych figurek. Kilka dni temu strażnicy więzienia przyłapali gryps Zabłudy, w którym był plan ukrycia narkotyków.

- I dlatego Tolo zaczął poszukiwania tej paczki - wtrącił Bartek napiętym z emocji głosem.

- Widocznie plan nie był zbyt dokładny, skoro Tolo z Przehybską nie mogli znaleźć...

- A w jaki sposób znalazł paczkę Łukasz? Czy on był z konkurencyjnej bandy?

- Nie gorączkuj się - uspokoił go kapitan. - Łukasz jest studentem Politechniki Gdańskiej. Tutaj zaś zabawiał się w amatora-poszukiwacza skarbów.

- No dobrze, ale skąd wiedział...

- To bardzo ciekawy wypadek w kryminalistyce. Czasem niewinny zbieg okoliczności potrafi spłatać figla. Zapisał się do miejscowej biblioteki i pożyczył w niej jakąś książkę. Kiedy wieczorem ją otworzył, pomiędzy kartek wypadł złożony arkusz pergaminu, a na arkuszu był naszkicowany plan podziemi, zalanych korytarzy, hal i stanowisk ogniowych, a w pewnym miejscu znalazł się czerwony krzyżyk z rysunkiem armaty. Łukasz zaczął poszukiwania...

- Przepraszam - wtrącił Bartek - ale skąd w książce znalazł się plan podziemi?

- Tego do tej pory nie wiemy. Może któryś z tej bandy był amatorem powieści, pożyczył książkę, a planu używał jako zakładki.

- Łukasz mówił mi, że szukał tego miejsca trzy miesiące.

- Tak, to prawda. Bo musisz sobie wyobrazić, że ten fragment podziemnych fortyfikacji jest jedynie niewielką częścią całości, a do bunkrów jest kilka wejść.

- Jedno z nich sam odkryłem - wtrącił Bartek z nutą dumy.

Kapitan pokręcił z przyganą głową.

- Pistolet z ciebie, ale pomyśl, co by było, gdyby cię Łukasz nie znalazł? Albo gdybyś zamiast na Tola, natknął się na Glińczyka. Jego koledzy nazywają go Ciężką Rączką. Ćwiczył kiedyś karate i jednym uderzeniem pięści rozbija stos cegieł.

- Eee tam... Nic by mi sienie stało - rzucił zuchowato.

- Na twoim miejscu nie byłbym taki pewny. - Znowu odchylił mankiet i zerknął na zegarek. - My tu gadu, gadu, a ja przez ciebie spóźnię się na spotkanie. No więc w skrócie. Kiedy tu przyjechałem, sytuacja tak się przedstawiała. Z szajki ciężkiej Ręki była tylko Irma Przehybska. Posłali ją jako zwiad. My natomiast pchnęliśmy do „Jantaru” sierżanta Interpolu, Alego El Hazima...

- Tego grubego?

- Tak. Gruby - wtrącił kapitan - ale na cacy rozpracował Przehybską. Dowiedział się od niej, że przyjeżdża Tolo i Ciężka Rączka ze swoimi ludźmi.

Bartek spąsowiał z podniecenia.

- To ci, którzy w nalocie na „Goplanę” byli po cywilnemu?

- Tak. Dowiedzieli się od Przehybskiej o brylancie, który kilkadziesiąt lat przeleżał się w brzuchu słonia i postanowili go zdmuchnąć. Była to jakby rozgrzewka przed główną akcją.

- Przecież - zauważył Bartek - oni jeszcze nie wiedzieli, gdzie schowano paczkę z figurkami.

- Niestety, a właściwie na szczęście, już wiedzieli, gdyż po nieudanej wyprawie Tola z Przehybską, wtedy, kiedy ty ich widziałeś...

- A skąd pan wie, że ja ich widziałem? - zapytał nieco zaskoczony.

Kapitan uśmiechnął się.

- Mój drogi - zazartował - oficer śledczy musi mieć w głowie radar. Ale jeszcze raz proszę, nie przerywaj, bo ja już od dziesięciu minut powinienem być w „Jantarze”. Na czym to ja skończyłem? Aha... Ciężka Rączka z jeszcze jednym zaczęli według planu badać miejsce ukrycia paczki.

- I nie znaleźli.

- Nie przeszkadzaj - łypnął zniecierpliwiony. - Znaleźli.

- To dlaczego od razu nie zabrali łupu?

- Bo spłoszył ich nasz człowiek.

- Może ten, który mnie tam zaskoczył, gdy już taszczyłem paczkę.

- Tak. Młody, bardzo zdolny porucznik.

- Nie rozumiem - zastanowił się Bartek. - Dlaczego nie zabraliście paczki, skoro wiedzieliście, gdzie jest ukryta.

- O, panie redaktorze - kapitan pogroził mu żartobliwie - widzę, że nie zawsze umiemy logicznie myśleć.

- Już kapuję. Chcieliście za jednym zamachem zgarnąć całą szajkę.

- Brawo. Teraz nadszedł odpowiedni moment. - Kapitan uśmiechnął się. - Obstawiliśmy ludźmi dwa znane ci wejścia do bunkrów...

- Przepraszam - przerwał mu Bartek. - Jednej rzeczy nie rozumiem, dlaczego przed akcją wystąpiliście wszyscy w pełnej gali, w krawatach i wizytowych ubraniach.

- Domyślasz się chyba, że my, śledząc tamtych, sami byliśmy przez nich śledzeni. Chcieliśmy ich po prostu zmylić, żeby myśleli, że wyjeżdżamy. I muszę przyznać, że chwyt ten udał się znakomicie. Byli tak pewni siebie, że odważyli się zrobić nalot na „Goplanę”.

- A kto to był ten wysoki, śniady Arab, który wyglądał jak księżę nubijski?

- Ten, który przyjechał wozem marki audi? To komisarz Zuzanga, Marokańczyk, pracujący w Interpolu w oddziale zwalczania handlu narkotykami. Znakomity fachowiec i uroczy kompan.

- Phi - prychnął Bartek - to musiała być bardzo ważna akcja, skoro specjalnie tu przyjechał.

- Nie mylisz się. Jesteśmy na tropie jednej z największych band przemytników białego proszku. Ten odcinek w Polsce to tylko małe odgałęzienie. - Kapitan odsapnął z ulgą. - To chyba wszystko, co miałem ci do powiedzenia.

Bartek wyciągnął rękę, jakby chciał go zatrzymać.

- Jeszcze jedno, panie kapitanie - czy Łukasz będzie ukarany?

- Nie. Nie popełnił żadnego czynu przeciw prawu, a szczerze mówiąc, ułatwił nam robotę.

- A tamci?

- Wszyscy są już w naszej sieci. - Kapitan zbliżył się do Bartka. - Panie redaktorze - przymrużył porozumiewawczo oko - chyba zaprosi mnie pan na oficjalny pokaz serialu, w którym prawdopodobnie odegram niepoślednią rolę. A teraz jeszcze raz gratuluję i chciałbym być przy tym, kiedy będą was dekorować medalem za odwagę.

Warszawa, marzec 1984 r.